Nr. 23. Poznań, Niedziela 3-go Czerwca 1900 r. Rok IV.



Zielone Święta.



Zielone Święta, czyli jak zazwyczaj mówimy, „Zielone Świątki“ to najmilsze bodaj i najweselsze ze świąt naszych całego roku.

Przypadają zazwyczaj w porze, w której wiosna panowanie swe już wszędy rozpostarła i jako ta „matka wesela“ swą szczodrą ręką rozesłała kobierce z ziela i wszędzie rzuciła promienie, blask i ciepło słońca, które doszły do pałaców możnych, i do chat i mieszkań ubogich, rozniecając radość i wesele, budząc świeże nadzieje i nową chęć do życia.

W przyrodzie całej i w piersiach ludzkich rozbrzmiewa teraz to wesołe słowo: Wiosna, wiosna! Świadczą o niej śpiewnych ptasząt radosne chóry, drzewa kwiciem czereśni i wiśni i jabłoni osypane jak śniegiem; świadczy o niej zielona ruń pokrywająca ojczyste nasze niwy; już żyto się wygrywa i poczyna kwitnąć, oziminy pszeniczne idą szybko w górę, a i z pod zieleni wiosennych siewów nie widać już szarej rodzicielki ziemi. Rolnik patrzy na tę wzrastającą pracę rąk swych i w sercu jego rośnie nadzieja, że przecież ta matka ziemia nie zawiedzie, a bogate wyda mu plony.

Wiosna, wiosna! to czarowne słowo przejmuje pierś starca wdzięcznością dla Stwórcy za tę wiosnę, której mu jeszcze dał doczekać i ufnością, że i ta jeszcze nie będzie ostatnią.

Wiosna, wiosna! to słowo drzeniem przejmuje niejedną pierś młodą, nowe w niej budząc uczucia, pragnienia, myśli:

„Gdy zielenić gaj się zacznie
W majową pogodę,
Poczynają się nieznacznie
Budzić serca młode.“

Na taką to porę wiosenną, słoneczną, jasną, przypadają „Zielone Świątki“; i dlatego, że łączy się z niemi pojęcie wiosny, słońca, nieba, zieleni, młodego życia, ptasząt świergotu wszyscy się na nie cieszymy; cieszy się na nie młody i stary, wieśniak i mieszczuch, każdy, co Boga ma w sercu.

Lecz nie w tem tylko leży znaczenie „Zielonych Świąt.“ Te wesołe dni są poświęcone czci Ducha świętego, tego Ducha, którego Zbawiciel dać nam obiecał jako „innego Pocieszyciela Ducha Prawdy.“

Przyjście tego „Pocieszyciela“ i zstąpienie Jego na apostołów, rozpamiętywać więc winniśmy w tych dniach wesela, by i na nas On zstąpił jako „Ducha Prawdy,“ prawdą przejął serca nasze i przyniósł nam swoje dary:

Dar *mądrości i rozumu*, abyśmy po krętych życia tego ścieżkach wiedzieli zawsze kędy iść, by prawą drogą dojść do prawdy i dobra, dojść prosto do Boga.

Dar *rady,* abyśmy nietylko sami szli tą drogą, ale i bliźnich swych zawsze zdrową wsparli radą i wszyscy wspólnie każdej dobrej służyli sprawie.

Dar *męstwa i umiejętności,* abyśmy mężnie i umiejętnie bronili i strzegli naszych wielkich dóbr moralnych, narodowych, a umieli zawsze mężnie stać przy przekonaniu swem niewzruszeni i umiejętnie go bronić.

Dar *pobożności,* nie tej, która w pacierzu woła: Panie, Panie! ale tej, za pomocą której, życie całe można wieść po bożemu i z życia jeden wielki pacierz złożyć.

Dar *bojaźni bożej,* ktora jest początkiem mądrości.

Jeżeli ten „Pocieszyciel, Duch Prawdy,“ darami swemi napełni serca nasze, serca całego narodu, możemy zbrojni w Jego mądrość, męstwo i bojaźń bożą staczać zwycięzką walkę nietylko z wrogiem politycznym, ale i z każ-

dym gwałtem, fałszem, zbrodnią godzącą na nasz byt narodowy, materyalny i moralny. Zbrojni w Jego mądrość i męstwo i bojaźń bożą możemy się stać, my dzisiaj „włóczęgowie wśród narodów, wzgardzeni i ubodzy“ znowu jak dawniej narodem wielkim i potężnym, co władał od morza do morza i któremu hołdy składali, ci „pyszni parweniusze, co chcą dzisiaj pomiatać polskiem imieniem.“

Do takich to poważnych a nadziei pełnych myśli niechże nas nastroją te „Zielone Święta“ poświęcone czci Pocieszyciela „Ducha Prawdy.“

W tej też myśli życzy wszystkim swoim Czytelnikom i Przyjaciołom: „Wesołych Zielonych Świątek“

Redakcya „Pracy.“

Uroczystość zesłania Ducha św.

Kościół nasz uroczyście obchodzi pamiątkę zesłania Ducha świętego na apostołów, która przypada pięćdziesiątego dnia po Wielkiejnocy. Ztąd nazywa się „pięćdziesiątnicą,“ po łacinie „Quinquagesima,“ po grecku „Pentekostos.“

Apostołowie i uczniowie Chrystusa, powróciwszy z góry Oliwnej, z obawy prześladowania, zostawali w ukryciu, gotując się wszyscy, podług rozkazu Zbawiciela, do przyjęcia Ducha świętego. Kiedy dnia dziesiątego, o godzinie 9-tej z rana, byli na modlitwę razem z Najświętszą Maryą Panną zebrani, znagła powstał szum wielki gwałtownego wiatru i napełnił cały dom, w którym się znajdowali. Wtedy ukazały się nad każdym z nich ogniste języki i Duchem świętym napełnieni zostali. Na ten szum zbiegło się wielu ludzi, i widzieli to cudowne zjawisko na apostołach, którzy wtedy niejako stali się nowymi ludźmi, obdarzonymi mądrością i gorliwością w wyznawaniu wiary Chrystusowej.

Było wówczas w Jerozolimie wielu żydów z różnych krajów zebranych. Ci z wielkiem zadziwieniem słyszeli apostołów mówiących językami różnych narodów, i cud ten sprawił, że wielka liczba przytomnych przyjęła wiarę chrześcijańską...

W sobotę przed uroczystością zesłania Ducha świętego, Kościół nasz zachowuje zwyczaj, i święci uroczyście wodę do chrztu, z temi samemi obrzędami jak w wielką sobotę, na pamiątkę, że w tym dniu katechumenów chrzcono. Nabożeństwo to dawniej zaczynano z wieczora, a przeciągało się do późnej nocy.

W potocznej mowie nazywamy tę uroczystość „Zielonemi Świątkami,“ z tego powodu, że zwykle wtedy mai się cała ziemia Boża, kwiaty się rozwijają, a rola faluje już kłosami ozimego posiewu.

Na całym obszarze Polski, Zielone Świątki lud nasz obchodzi uroczyście według starego obyczaju, z tą tylko różnicą, że skutkiem wyniszczenia lasów, nie może już zdobić tak obficie drzwi chat swoich, wrót i płotów zieloną brzeziną. Z musu najczęściej dziś poprzestaje na polnem kwieciu i tataraku.

Po wielu okolicach w Zielone Świątki rozpoczynają palić ognie sobótkowe, a jak Ruś nasza nazywa, „kupalne.“ Zabawa ta, zabytek z przedchrześciańskich czasów trwa wtedy aż do wigilii św. Jana, czyli 23-go czerwca. Ze wschodem słońca dnia 24-go gasną wszystkie stosy płonące.

W Galicyi w Zielone Świątki lud gdzieniegdzie obchodzi jeszcze uroczystość z pogańskich wieków, zwaną „turzyce.“ Nazwę tę wyprowadzają badacze nasi od zwyczaju obchodzenia z turem (żubrem), który niegdyś napełniał puszcze nasze. Około Pińska ubierają dziewczynę w suknię plecioną z samych gałązek brzozowych, nakształt płaszcza, a dziewczęta jej towarzyszą, przy śpiewie i tańcu. Na Białej Rusi zwą cały tydzień od tych świąt „zielonym.“ W Morawii dziewczęta obnoszą zieloną gałąź przystrojoną. Słowacy w Węgrzech, najbliżsi nam mową, Zielone Świątki podobnież Turzycami zowią.

W wyobraźni ludu ukraińskiego, w noc poprzedzającą Zielone Świątki, zaczynają leśne boginie, Rusałki, swe zabawy i swawole, a biada człowiekowi, gdy wpadnie w ich ręce. Zaczepione długiemi zielonemi warkoczami o gęste konary dębu lub brzozy, huśtają się swobodnie, strasząc podróżnych zapuszczających się w las tej nocy. Z drzew skaczą na konia albo wóz przejeżdzającego, i z dzikim śmiechem dopóty go łaskoczą, dopóki nie wyzionie ducha.

Dziatwa wiejska w tę noc po wsiach dla ochrony od łaskotania Rusałek, ściele sobie piołun pod głowę. Gorycz jego i zapach wystrasza je z chaty.

Jeżeli gdzie pastuchy młode pasą bydło w lesie, Rusałki pojawiają się w postaci pięknych dziewek wiejskich i wabią do siebie. Biada temu, który ulegnie pokusie i odstąpi ogniska; zawiedziony w gąszcz boru, pod łaskotaniem skona. Pozostałe, aby przytłumić jego śmiech krzykliwy, podnoszą śpiew, a śpiewają tak cudnie i uroczo, że się serce w człowieku rozpływa. Jedynym sposobem odróżnienia Rusałki od wiejskiej dziewoi, jest pilne przypatrzenie się jej włosom. Rusałki mają je zawsze zielone.

Wiele pieśni lud ukraiński nucił o pięknych Rusałkach, jak w noc Zielonych Świątek rozpoczynały swe igraszki i stawiały wabne sidła na dzielnych parobków. Niedola i gorzałka, dwa wrogi naszego ludu, zatarły je w pamięci jego. A wieleż to cudnych pieśni i dum pod tak przeważnym zaginęło naciskiem! Dziś wyrzec możemy z jednym z największych poetów naszych (J. B. Zaleskim):

„Że te dumy z laty,
Przenuciwszy długie chwile,
Z ludźmi głuchną gdzieś w mogile.“

K. Wł. W.

Do młodzieży.

W poczuciu swej bezsilności wobec wzrastających objawów polskiego ducha w naszem społeczeństwie, germanizatorowie wysilają swój umysł nad wynalezieniem nowych sposobów i nowych dróg, jakiemi by się dało sączyć jad wynarodowienia w serce ludu polskiego. Baczne ich oko śledzi zazdrośnie każdy objaw polskości, bada każdy czynnik społeczny i rolę jego wobec naszej sprawy. I oto dziwna rzecz się dzieje: bo na drodze, która germanizatorów oddziela od upragnionego ich celu, a naszej zagłady, w miarę ich usiłowań wyrastają coraz to nowe przeszkody, stają z nimi do boju coraz to nowi wrogowie, a obrońcy ideału narodowego. I wre walka, a przeciw coraz to nowym wrogom swym germanizacya coraz to nowych używa sposobów walki.

Dowiedzieliśmy się niedawno, że w Księstwie od pewnego czasu odbywają się systematyczne rewizye i poszukiwania książek polskich u uczniów gimnazyalnych. Profesorowie, przybierając co najmniej dziwną dla swego zawodu rolę, niespodzianie wpadają do mieszkań uczniów, przerzucają szuflady, szafy, kuferki, — sięgają nawet „*nach berühmten Mustern*“ do pularesów i przeglądają notatki, a to wszystko w celu — — zwalczania agitacyi wielkopolskiej. Opinia publiczna poruszona została wieścią o nieprawdopodobnych,

a jednak prawdziwych faktach, że kilku uczniów gimnazyalnych, krótko przed zdaniem egzaminu dojrzałości zostało wydalonych z gimnazyum za to, że czytali i posiadali książki polskie i gazety......

A więc nowego wroga odkryli germanizatorowie — i rozpoczęli z nim walkę!

Nasza młodzież gimnazyalna powinna się doprawdy czuć dumną z tego postępowania władz pruskich, bo z niego dorozumieć się nie trudno, że one uważają tę młodzież naszą za czynnik, godny walki a więc za czynnik, który przecież coś zaważyć może w rozwoju myśli narodowej naszego społeczeństwa.

Ponieważ rewizye i nagabywania wszelkiego rodzaju nie dotyczą wyjątków wśród naszej młodzieży gimnazyalnej, lecz dotyczą jej ogółu, widzimy, że mamy tu do czynienia z systemem: a jak niegdyś na polu walki pasowano szlachetnych młodzieńców na rycerzy, tak dziś ten właśnie system, którego ostrze zwraca się przeciw naszej młodzieży gimnazyalnej, pasuje ją na polu walki z germanizacyą na rycerzy, którzy zawsze godnie pod sztandarem narodowym gromadzić się powinni.

Nie chcielibyśmy, aby nas źle zrozumiano.

Nie mamy zamiaru młodzieży naszej podsuwać myśli, które by ją od właściwych jej zadań i celów — od nauki odciągnąć miały; niech naszych słów młodzież tu nie pojmuje w ten sposób jakbyśmy doradzali: na czele wszystkich waszych obowiązków postawcie agitowanie za sprawą polską, szerzenie oświaty wśród ludu, krzewienie patryotyzmu, czynny bodaj udział w polityce. Dalekimi jesteśmy od tego. Owszem, młodzież nasza najlepiej sprawie i społeczeństwu się zasłuży, jeśli wytrwale zdobywać będzie podstawy naukowe wykształcenia swego — bo nasz naród na polu oświaty i nauki nierównie ciężką walkę o byt staczać musi, niż na polu polityki; dlatego też na pierwszym planie stawiamy naukę i jeszcze raz naukę, bo do polityki zawsze jeszcze dość czasu pozostanie. Ale nie idzie zatem, abyśmy mieli podzielać zdanie tych, którzy oburzają się na samą myśl, że młodzież kształcąca się o czemś innem myśleć może, czemś innem interesować się prócz książki. My rozumiemy, że zwłaszcza w dzisiejszych, odmiennych od dawnych warunkach młodzież nasza uczuwać musi potrzebę interesowania się sprawami publicznemi i źleby było gdyby tej potrzeby nie uczuwała w chwili, gdy na całej linii wre walka w obronie najdroższych ideałów ojczystych. Wszak z tej dorastającej młodzieży wychodzi kwiat naszej inteligencyi, wychodzą adwokaci, lekarze, obywatele ziemscy, przyszli posłowie i przewodniczący narodu. Skąd mają oni czerpać w przyszłości poczucie gorącego patryotyzmu, które w całem ich życiu prowadzić ich powinno jak wierna busola prowadzi żeglarza po spienionem morzu? Skądże ich serce ma płonąć później nieudanem, szczerem a prostem przywiązaniem do naszej sprawy, jeżli za młodu niem nie nasiąknie i służyć mu się nie nauczy?

Dlatego też uważamy, że obowiązkiem każdego dorastającego ucznia jest czytanie gazet polskich, interesowanie się sprawami publicznemi, rozmowa o tych sprawach ze starszymi, wreszcie czynna praca — na polu oświaty ludowej. Pomyślmy tylko, ile to pożytku sprawa nasza jużby odniosła, gdyby tak każdy prymaner, przebywając na wakacyach w domu — na wsi, lub w małem miasteczku, lub gdziekolwiek bądź — uczył czytać i pisać po polsku kilkoro dzieci gospodarzy wiejskich lub rzemieślników. Ile pożytku dla stron obydwóch z tak pojętej pracy by wynikło!

Młodzież nasza, polska młodzież, co tyle tradycyi ma po za sobą na polu pracy narodowej, nie może być obojętną dla sprawy naszej; nie sama nauka zrobi z niej pożytecznych działaczy dla kraju. Wolimy nawet widzieć w tej młodzieży nadmiar, zbytek patryotyzmu, niż obojętność dla sprawy i zasklepienie się w ciasnem kółku kursu naukowego.

Młodzież, kształcąca się, od niedawna dopiero zaczęła się w Poznańskiem budzić, a na uniwersytetach, gdzie spotykali się studenci z pod trzech zaborów, nie Poznańczycy to prym trzymali pod względem rozbudzenia narodowego. Zasklepienie się w sferze niezamąconej niczem nauki trwało w dalszym ciągu na uniwersytecie, poparte logiką: „nie przeszkadzać sobie w nauce — potem, gdy się posadę dostanie — to się pomyśli o wszystkiem.“ A po ukończeniu kursów ten i ów otrzymywał posadę — w Niemczech i stracony był dla społeczeństwa.

Obecnie się to zmienia. Od młodzieży kształcącej się, która chętnie czytuje nasze pismo, wiemy, jak szybko posuwa ta zmiana, jak budzi się zainteresowanie do książek polskich, do literatury ojczystej, jak szybko dokonywuje się przełom w pojęciach i zwrot ku „naszej sprawie.“ Dziś, gdy objaw ten wykryty został i oficyalnie ogłoszony przez niezwykłe kroki władz pruskich, możemy o tem mówić otwarcie.

I otóż w tej właśnie chwili, pod świeżem wrażeniem rewizyi i wydalań naszej młodzieży z gimnazyów, chwytamy za pióro, aby tej młodzieży zawołać: *Niech was to nie przeraża — po dobrej idziecie drodze! Wolimy mieć was jako takich, którzy wśród swych książek mają historyą polską i literaturę, i Mickiewicza, i Słowackiego i nowsze utwory polskie -- niż jako takich, z którymi tylko o Goethem albo o Schillerze, o Lessingu i Heinem rozmawiać można — bo nic innego po nad to nie znają.*

Po dobrej idziecie drodze! Budźcie się sami i budźcie innych! Wam, młodzieży polska, z czasem przypadnie trudniejsza może walka w udziale niż nam, krzepcie się zatem na podniosłych dziełach mistrzów naszego słowa, szukajcie krynicy czystego patryotyzmu w rodzinnej literaturze i idźcie śmiało za natchnieniem, które z tej krynicy zaczerpniecie.

Ale bądźcie ostrożni! Niech wam się nie zdaje, że praca dla dobra sprawy polega na szydzeniu z Niemców.

Nie bierzcie pozorów za prawdę! Nie sądźcie, że ten z pomiędzy was, kto napisał jednę lub dwie korespondencye do gazet, ma większą zasługę, niż ten, co nauczył czytać po polsku dziecko znajomego rzemieślnika. Zwłaszcza odradzamy pisania korespondencyi politycznych. Gazety galicyjskie, nie znając stosunków tutejszych, korespondencye takie drukują, jak to niedawno się stało, a to ściąga przykre następstwa na podejrzanych o autorstwo, korzyści zaś nie przynosi żadnej.

I do nas z kół uczniów kilkakrotnie pisano korespodencye, omawiające wewnętrzne stosunki szkolne. Z korespondencyi tych cieszyliśmy się szczerze, widząc zwrot na lepsze w usposobieniu młodzieży, ale drukować ich nie mogliśmy.

„Naród, którego młodzież nie żyje gorącem uczuciem narodowem, podobny jest do drzewa, które młodych pędów nie puszcza i obumiera“ — temi słowy chcemy zakończyć dzisiejszy artykuł. Zawiera się w nich uznanie dla tego zwrotu ku ideałom narodowym, który się dokonywuje obecnie w umysłach i sercach naszej młodzieży, a zarazem — nadzieja, że ta nasza kochana młodzież przecież nie da uschnąć staremu owemu drzewu, które zasadzone ręką Mieczysławów i Chrobrych, a podlewane obficie krwią wielu pokoleń przetrwało tyle wieków i tyle burz przetrwało — a da Bóg przetrwa je wszystkie, aż się spełni przeznaczenie, a wraz z niem zawita sprawiedliwość i wolność.

Vester.

Wiec kobiet Wielkopolskich,

odbyty w Poznaniu dnia 24 Maja, w dzień Wniebow. Pańskiego 1900 r.

O! nie zginęła jeszcze ojczyzna
Póki niewiasty tak czują,
Bo z ich to piersi płynie trucizna,
Którą wrogowie się trują.

W. Pol.

Kilka dni już minęło od wieca i obrad jego, a przecież wszyscy jesteśmy jeszcze pod ożywczem jego tchnieniem; bo też podziałał on i cały przebieg jego wśród naszej dusznej atmosfery jak przewiew świeżego powietrza, w którem głębiej i szerzej i śmielej piersi oddychają. Odtąd mąż raźniej będzie chwytał za pióro, czy za pług lub lemiesz, z większą ochoczością pospieszy do pracy, bo widzi i czuje, że w tej twardej walce o byt duchowy jego dziatek mężnie stoi przy nim towarzyszka jego trosk i bólów, przyjaciel jego i żona. A i w tych domach, w których dla obojętności męża ognisko uczuć narodowych może już wygasa, rozniecą mężnie niewiasty pod świeżem wieca wrażeniem nowy zapał w sercu męża i wszczepią go na zawsze w piersi dziatek.

Nie tu miejsce powtarzać za codziennemi gazetami mowy poszczególnych pań; każde z tych przemówień było protestem przeciwko krzywdzie, jaką dziatkom naszym wyrządzają, wydalając język ojczysty ze szkół, nawet z nauki religii, było wylewem gorących a obrażonych uczuć matki, Polki-patryotki, było głosem do Boga o sprawiedliwość i pomstę wołającym.

Każde z tych przemówień, było wymownym dowodem, jak głęboko odczuwają nasze kobiety obowiązek swój patryotyczny i jak rozumnie pojmują uczciwą emancypacyą, to jest współubieganie się w dobrem z mężczyzną. Na tej drodze każdy z rozumnych z radością wita nasze kobiety i ze czcią schyla przed niemi czoło. A co najbardziej nas w tym całym doniosłym i podniosłym akcie cieszy to to, że wśród pań czynnie na wiecu występujących były przedstawicielki wszystkich warstw; nad wszystko z radością witamy przedstawicielkę włościan, przemawiającą w imieniu stanu włościańskiego. Słowa jej wypowiedziane z całą gorącością szczerej a prostej duszy są dowodem świadomości narodowej i społecznej, budzącej się wśród naszego wiejskiego ludu, są zapowiedzią tej przyszłości, w której byt nasz na ludzie wiejskim oprzeć będziem mogli.

Jedna z mówczyni, przypominając bohaterską Chrzanowską, obronicielkę Trębowli, rzekła oto te słowa: „Odtąd każda kobieta powinna być Chrzanowską, a każdy dom polski Trębowlą“. Niech to sobie głęboko zapiszą w sercach wszystkie kobiety, które godnie chcą zwać się Polkami, bez wyjątku wszystkie czy to szlacheckiego, czy mieszczańskiego, czy wiejskiego pochodzenia! Każdy dom niech będzie Trębowlą, niech będzie niezdobytą twierdzą, o którą jak bezsilne, złamane groty odbijać się będą wszystkie próbki germanizacyjne skierowane przeciwko naszym dzieciom.

W górę serca! miejmy nadzieję, że ten ogień rozpalony na wiecu nie będzie słomianym płomykiem, lecz że będzie świecił i ogrzewał na zawsze i cały naród. Niechże wszyscy, co mają tego potrzebę, korzystają z „Biura pomocy“, znajdującego się przy ul. Wiedeńskiej 10 w mieszkaniu p. J. Omańkowskiej, gdzie znajdą zawsze radę i pomoc w walce z władzami szkolnemi.

Łatwa poniekąd rzecz, urządzić raz wiec i na nim wystąpić z ognistemi mowami; ale trudniej, a jeszcze potrzebniej to, co na wiecu postanowiono, w życie wprowadzić każdego dnia, każdej godziny.

A przecież od tego, czy życie nasze po domach rodzicielskich będzie patryotyczne polskie każdego dnia, każdej godziny zależy przyszłość dzieci naszych, przyszłość tej naszej polskiej dzielnicy, na którą teraz tak gwałtem niemiecki pokost pakują. Dobry i konieczny był wiec kobiet i błogosławiona była myśl jego, ale nie wiecem samym, lecz ciągłym i nieustannym wpływem na dzieci nasze wychowamy sobie to żelazne, polskie pokolenie, które matkom Polkom nakazuje poeta:

„Jeszcze wykarmią one w zaciszy
Grono olbrzymiej młodzieży,
Od nich pachole o nas usłyszy
I jak my w wolność uwierzy.

I wnet powstanie z tych naszych kości
Dzielny mąż jak sny za młodu:
Z uczuciem krzywdy całej ludzkości
Dla pomsty swego narodu!“

Wiecownik.

Nasz patryotyzm.

IV.

Z kolei przychodzi nam dzisiaj zastanowić się nad tem, czy i o ile *lud nasz wiejski* jest patryotycznym, czy umie patryotycznie myśleć i czuć.

Możnaż wogóle mówić o patryotyźmie naszego ludu wiejskiego, i z jakichkolwiek jego objawów wnosić o jego istnieniu? Patryotyzm, jak każde uczucie, jest czemś osobistem, wewnętrznem, zamkniętem w piersi człowieka, — i jako takie niewidomem, lecz jako uczucie miłości ogółu, mające się objawiać w czynach na korzyść tegoż ogółu dokonanych, staje się ciałem, podpada pod oczy i z owoców swych może być poznanym.

Do uczucia i czynu patryotycznego, a więc do uczucia i czynu z natury swej społecznego, dorósł jedynie człowiek mający nietylko pełną świadomość swojej wyłącznej osobistości, ale zarazem świadomość o istnieniu ogółu, o swojem przynależeniu i stosunku swym do ogółu, czyli jednem słowem: do uczucia i czynu patryotycznego dorósł jedynie *człowiek uspołeczniony*. Odpowiedź na stawione powyżej pytanie, czy lud nasz umie patryotycznie myśleć i czuć, a co poza tem idzie i działać, może być więc tylko daną,

skoro odpowiemy na pytanie, czy nasz człowiek wiejski i nasz lud wiejski jest uspołecznionym.

Mówiąc o *ludzie wiejskim*, wypada nam w tej całości rozróżnić dwie części, dwie jakoby warstwy: stan kmieci, włościan, mniej lub więcej zasobnych gospodarzy, właścicieli na kilkudziesięciu, nieraz i kilkuset morgach, a nasz lud zaciężny i komorniczy, ten lud, który ziemię orze, mierzwę rozrzuca, koniom obroki zasypuje i jest jedynie właścicielem swej siły muskularnej i tego grosza, który siłą muszkułów zdobywa, by go z rąk do ust ponieść.

Dwie te części składowe ludu wiejskiego są sposobem życia, zatrudnienia i siłą nawyknienia do siebie zbliżone, odróżnia ich przedewszystkiem różnica majątkowa i wynikające z niej korzyści. Korzyści te są, prócz materyalnych zysków umysłowe (intellektualne) i moralne.

Nasz kmieć polski, gospodarząc na swoich morgach i ze swoich mórg ma tem samem szersze interesa do prowadzenia, wchodzi w stosunki z władzami, kupcami, handlarzami, wyjeżdża częściej do miasta, rozgląda się szerzej po świecie i tak przychodzi zwolna do zrozumienia, że poza jego miedzą graniczną jest świat szeroki, są ludzie, których on potrzebuje i którzy jego wzajem potrzebują, i tem się rozszerza widnokrąg jego myśli i jego uczucia. Spotyka się też często z wrogiemi sobie żywiołami, czyhającemi często na jego szkodę i zgubę, i tem prędzej dochodzi do zrozumienia swojego ogółu, interesów, spraw i dobra jego i tem prędzej wyrasta zeń uspołeczniony człowiek, obywatel, dający nieraz czynem dowód obywatelskiego swego ducha, patryotycznego usposobienia. Poszczególnych przykładów nie potrzebujemy tu przytaczać, szereg ich niemały, niektóre z nich dochodzą do publicznej wiadomości, niektóre też po cichu spełnione, w ciszy przynoszą niemniej bogate plony.

Z tego to stanu kmiecego odzywają się też często głosy, czy to w prasie, czy w przemówieniach publicznych, będące wymownym dowodem zrozumienia potrzeb naszego społeczeństwa.

Wszystkim też wiadomo, że ten stan włościański dostarczył już społeczeństwu naszemu dzielnych ludzi, którzy zostawiwszy starszemu bratu zagon ojczysty, przechodzą w szeregi miejskiej inteligencyi i czy to jako lekarze, czy jako adwokaci, czy jako księża, nie ostatnie wśród kolegów swych zajmują miejsca.

Obok tych kmieci, zasobnych włościan, stoi wielka, szara masa ludu, tego ludu, który, jakeśmy już mówili, mierzwę rozrzuca, ziemię orze i bronuje, ziarno rzuca, zboże kosi i wiąże i zwozi i młóci, a więc roje tych ludzi, którzy wyległszy na szerokie pola, w pocie czoła pracują w matce ziemi, ten nasz polski lud w istotnem słowa znaczeniu, „święty polski lud,“ jak go zowią poeci.

Czy ten lud jest patryotycznym? Któż może wiedzieć co się dzieje w chłopskiem sercu pod szarą siermięgą, skoro ten lud nie ma sposobności objawienia uczuć swych ni to czynem, ni też wyraźnem słowem. Wierzylibyśmy zawsze w głębokie przywiązanie ludu do ziemi ojczystej, do tego szarego prochu, który nogami depce i potem swym zrasza, a teraz widzimy jak ten nasz lud gromadnie opuszcza strony ojczyste, „Pognębin“ i „Wielką Krzywdę“ i niby ten Wawrzon Sienkiewiczowski płynie „Za chlebem“ aż za sine morza i na zachodzie Niemiec polskie tworzy osady. Czyż go za to winić, jego czynić za to odpowiedzialnym i dlatego odmawiać ludowi naszemu przywiązania do ziemi rodzinnej? On na rynki europejskie i rynki wszechświatowe niesie jedyne swoje mienie, siłę muszkułów, bo tam ma lepszy dla niej zbyt, tak samo jak inni żyto i pszenicę i opasy swe tamdotąd odstawiają, gdzie im najlepiej za nie zapłacą.

Kto kiedy starał się przywiązać ten lud do gleby ojczystej nierozerwalnym węzłem, dać mu więcej nieco nad znojną pracę i niezbędną za nią zapłatę idącą z rąk do ust, kto starał się kiedy o to, by ten lud poczuł się kością z kości i krwią z krwi i prochem z prochu tej ziemi, którą uprawia, kto dał mu kiedy poczucie obywatelstwa tej ziemi, na której wzrósł?

A przecież ten nasz lud, ta wielka szara masa, rozsiana po szerokich zagonach, jest dzisiaj niezdobytą twierdzą i najsilniejszą może ostoją naszej polskości, chociaż nie więcej do walki nie wnosi jak bierny opór i cichy swój, nieświadomy sam siebie konserwatyzm wszystkiego tego, co swojskie. On jest tym niespożytym materyałem, z którego przyszłe wieki nową mogą wznieść budowlę, jeżeli dobrzy zeń będą umiały zrobić użytek zwolna z biernego materyału żywych stwarzając dla społeczeństwa członków. Materyał gotowy, zależy tylko od tego, kto i w jaki sposób będzie umiał go obrobić.

Pamiętajmy, że ten nasz bierny i nieświadomy siebie lud, to ten sam, z którego Kościuszko, rzuciwszy weń iskrę zapału i powoławszy do obywatelstwa, wiódł hufce zbrojne pod Racławice i na moskiewskie armaty! Ale nie mniej pamiętajmy, że ten to sam bierny i nieświadomy siebie lud dał się pięćdziesiąt lat później użyć nikczemnym austryackim politykom do rzezi i niósł szlachcie polskiej mord!

Z tego jak nasze czasy i nasze pokolenia będą umiały pokierować tą siłą drzemiącą dzisiaj w ludzie wiejskim, przyjdzie im kiedyś zdawać rachunek przed sądem przyszłości.

Niechże się nad tem zastanowią ci wszyscy, którzy do ludu najbardziej zbliżeni, a więc nasze dwory wiejskie, nasi kmiecie i włościanie, stojący umysłowo ponad chłopem wyrobnikiem, a przecież mający z nim najwięcej styczności, mający do serca i umysłu jego najwięcej dostępu. Z tych rąk roboczych trzeba nam stworzyć ludzi, co więcej — obywateli polskich, działających choć w owem tak ograniczonem kółku działania w myśl dobra społecznego, każdy z tych chłopów biednych i nieświadomych musi się stać żywem narodu ogniwem, lud musi się zbudzić narodem, od tego będzie zależeć polska przyszłość naszego Wielkiego Księstwa Poznańskiego i krajów polskich pod pruskiem zostających berłem, od tego zależeć będzie, czy mimo wszystkich zakusów germanizacyjnych, mimo kolonizacyi i wyprzedaży dóbr zawołać będziemy mogli:

„Jeszcze jesteśmy; niech żyje lud!“

[illegible]0 Maja 1900. *Poznańczyk.*

Śląskiemu poecie.

„Nie cudem, ale trudem,
wiarą, miarą i ofiarą
zostaniemy wolnym ludem.“
Ks. Damroth.

Na początku r. b. minęła rocznica śmierci najpopularniejszego poety śląskiego ś. p. księdza Damrotha, który w rzewnych piosnkach i wierszykach, ogłaszanych aż do śmierci pod pseudonimem „Czesław Lubiński“ zagrzewał lud do umiłowania pieśni polskiej, modlitwy polskiej i tej ziemi ojczystej,

którą wszyscy za wspólną, ukochaną matkę uważać winniśmy, otaczając ją czcią i opieką i starając się być godnemi jej dziećmi.

Poeta pięknie powiada, że „jednego zrobiła poetą moda, drugiego pono kochanki uroda, trzeciemu różnych protektorów trzeba, czy kawał chleba.“

Lecz dzięki Bogu, są jeszcze na świecie
Tacy — a do nich ja się liczę przecie, —
Co sobie tworzą i nucą swe pieśni
Jak ptacy leśni;
Co sobie w serca zaciszu swe pienia
Dumają z ustronia, jakby z niechcenia,
I w dań składają dla *Ojczyzny-matki*
Swe dumki kwiatki;
By ich słuchając, w swym smutku weselej
Marzyła, a jej wrogowie wiedzieli:
Póki brzmią polskich dumek melodyje,
I Polska żyje.

Jak ptak leśny nucił ks. Damroth swe pieśni i składał je w dań dla Ojczyzny-matki. Jemu nie chodziło o sławę, zaszczyty, o możnych protektorów, gdyż przeciwnie jako dyrektor seminaryum nauczycielskiego musiał się ukrywać z prawdziwem swem nazwiskiem, lecz oto, aby choć „z ustronia, w serca zaciszu“ służyć wspólnej sprawie i wlewać święty zapał miłości Ojczyzny w serca ukochanego przez siebie ludu śląskiego, którego dzieckiem sam był, pochodząc rodem z Lublińca, gdzie w roku 1841ym ujrzał światło dzienne.

Ten wielki i szlachetny zapał nie opuszczał poety nawet jeszcze wtenczas, gdy już życie jego widocznie chyliło się ku wieczorowi, gdy mianowicie zmuszony był złożyć urzędy dyrektora seminaryum w Pruszkowie pod Opolem i udać się pod opiekę Braci miłosierdzia w Pilchowicach. Tu jeszcze na łożu boleści kreśli wiersz płomienny, stanowiący podniosłe wyznanie Górnoślązaka wołającego z zapałem, że i on jest dzieckiem ziemi polskiej:

Ziemio polska, ziemio święta,
Ojców krwią i znojem
Użyzniona, poświęcona,
I ja dzieckiem twojem!

Ja twym synem: włos mój siwy,
Ręka moja drżąca,
Ale lutnia moja jeszcze
Krzepka i gorąca.

Więc ci dalej nucić będę
Jako w życia wiośnie;
Co do śpiewu sił nie stanie,
Dopłaczę żałośnie.

Toć i krew nam nie pomogła
Przelana w stu bitwach:
Może będą łzy mocniejsze
Wylane w modlitwach.

Czego mieczem nie osięgli
Waleczni mocarze,
Może pieśnią swą wyżebrzą
Pobożni pieśniarze.

Przyjm więc, Panie, prośby nasze:
Ukróć doświadczenia
Długie chwile, potem przyspiesz
Godzinę zbawienia.

Bym i ja się raz pokrzepił
U wolności zdroju,
Poczem, Panie, puść starego
Pieśniarza w pokoju.

Pięknie napisał o ks. Damrocie jeden z jego przyjaciół, kapłan zasłużony i znany z pożytecznej swej działalności w kierunku oświaty ludu: „Wielu powołanych, mało wybranych.“ Ks. Damroth należał nie tylko do powołanych, lecz i do wybranych, i stał się chlubą Górnego Śląska, a wzorem dla Górnoślązaków. Niechaj patrzą na niego ze wstydem ci wszyscy na Śląsku, którzy z polskiego ludu pochodzą, a kiedy choć nieco się wyniosą ponad zwyczajny lud, to porzucają język ojczysty, gardzą ludem polskim, tylko z Niemcami trzymają, tylko niemieckie pisma i książki czytają, od książki modlitewnej począwszy. Nawet dziewczęta polskich rodziców, jeżeli przejdą szkołę miejską albo u zakonnic, kiedy nauczą się szyć w jakiej szwalni, to się stają Niemkami, chociaż nazwisko ich i pochodzenie jest polskie.

Niechaj taka dziewczyna zastanowi się nad tem, że niczem nie jest w porównaniu z takim ks. Damrothem, że kiedy taki sławny mąż nie wstydził się mowy polskiej i rodu polskiego, to i ona się nie potrzebuje wstydzić, że jest Polką, że mowa ojczysta jej jest polska. Owszem to stanowi sławę ks. Damrotha, że był i pozostał Polakiem i że kochał do śmierci mowę swą ojczystą polską. Ks. D. nie zniemczył się, chociaż był urzędnikiem, bo zawsze czytał polskie księgi i pisma, bo pisał szczerze po polsku, bo od młodości nie zaniechał języka polskiego. Nie tylko sam o siebie dbał, lecz innych też chronił od zniemczenia... Marzenia i pragnienia jego, aby całkiem poświęcić się pracy dla ludu polskiego i nad ludem polskim, nie spełniły się, ponieważ choroba, która dawno tkwiła, w piersiach jego, tak się rozwinęła, że musiał się przenieść do Braci miłosierdzia w Pilchowicach gdzie 5go marca 1895 r. Bogu ducha oddał.

Najwymowniejsze świadectwo usposobienia tak wcześnie zgasłego nam kapłana-poety posiadam w listach, któremi zmarły darząc mnie osobistą przyjaźnią i życzliwością, zaszczyt mi sprawiał. Listy te pełne niezasłużonego dla mnie uznania dają przecież wyraz wielkoduszności i dowodzą o jego głębokim patryotyzmie. Z tej właśnie przyczyny postanowiłem niektóre zdania z listów tych, stanowiących dla mnie cenną pamiątkę, przytoczyć na tem miejscu ku uczczeniu pamięci zmarłego, zwłaszcza że do zachowywania tajemnicy żadne okoliczności już dziś nie zmuszają, a treść słów ks. D. dla wielu niewątpliwie zachętą będzie, aby iść za jego przykładem i stać się jako on.

W liście z dnia 9 września 1892 r. pisanym do mnie z Pilchowic, wyraża ks. D. swą radość z powodu pokonanych trudności z okazyi urządzenia teatru amatorskiego, któremu chciał przeszkodzić ówczesny burmistrz opolski, major Rösner, zakazując pobierania wstępnego do teatru (które według fałszywej denuncyacyi raciborskiego „Anzeigera“ miało być obrócone na jakieś „wielkopolskie“ cele) i stawiając rozmaite inne przeciwności. Ks. D. pisze między innemi: „Szanowny Panie Redaktorze! Niech mi będzie wolno powinszować Panu tak godnego i mężnego, a przytem skutecznego wystąpienia w sprawie ostatniego teatru amatorskiego w Opolu. Żal mi Pana, że na obranem stanowisku wystawiony jesteś na tyle trudności, a nawet osobistych przykrości, ale niech Pan zechce tą myślą pocieszać się, że to za dobrą sprawę, *pro bono publico*, jako też uznaniem i szacunkiem wszystkich nietylko naszej sprawie sprzyjających, ale zapewne i naszych przeciwników... Wyjeżdżając z Pruszkowa do Pilchowic nie pożegnałem się z Panem osobiście, co proszę wybaczyć, bo winna temu jedynie moja ciężka choroba i słabość, które mię zmuszają do unikania wszelkiego wytężenia, — a niestety nie pozwalają oddawać się pracy, bo inaczej radbym wasze pismo zasilił od czasu do czasu artykulikiem. Trudno, — trzeba się przecież poddać woli Bożej, cieszyć się, widząc, gdy drudzy pracują i modlić się za nich...“

W innym liście z dnia 14-go listopada 1893 r. donosi ks. D., że zajmuje się studyum nad słowiańskiemi nazwami osad, miast i t. d. w Ślązku i prosi o pożyczenie polskiego słownika jeograficznego do przepisania, poczem tak pisze: „Dla słabości zdrowia nie mogę się niestety czynnie zajmować polityką, zwłaszcza na naszym Ślązku, ale z zajęciem śledzę jej przebieg i cieszę się szczerze z pomyślnego rozwoju naszej sprawy. Zowię go pomyślnym ze względu na ogromne trudności, z jakiemi mamy do walczenia, na brak skutecznego poparcia w warstwach wpływowych, na krótkość czasu, odkąd ten ruch na dobre się rozwinął, a przedewszystkiem na małą liczbę przewodników światłych, odważnych i oddających się z poświęceniem tej sprawie. A że szan. Pan do tej garstki najsumienniej zaliczyć się może, więc składam mu z tego powodu serdeczne i szczere uznanie, z życzeniem, aby Bóg Waszym staraniom i nadal błogosławił, a sprawiedliwej sprawie do zwycięztwa dopomógł, o co Go w codziennych pacierzach proszę, nie mogąc brać innego udziału w Waszej pracy — albo raczej walce.

To uważam, że w obecnej chwili wiekowa walka pomiędzy Teutonami a Słowianami zawrzała na naszej ziemi

na nowo i nie ustanie tak rychło: nienawiść i zaciekłość po tamtej stronie są zbyt wielkie, a do tego rzeczywiście niebezpieczne dla nas, o ile że *okryte płaszczykiem religijnym* bałamucą ludność, a przeciwników, zwłaszcza duchownych przywódzców utwierdzają w ich przewrotnym faryzeizmie. Na trzech lub czterech mocno i szczerze przekonanych o słuszności swego stanowiska, cała reszta, a niestety jest ich zbyt wiele, to sztrebery, wygodnisie polityczni i umysły płytkie. — Ale rozpisałem się właściwie mimowoli o polityce, zabierając Panu czas kosztowny, więc przepraszam....“

Takim to duchem był ożywiony śp. ks. Damroth, przeto słusznie powiedziano o nim, iż był „doskonałym człowiekiem“. „Dlatego też o nim pismem i słowem opowiadać trzeba z pokolenia na pokolenie, mianowicie dzieciom i młodzieży, aby za jego przykładem postępowali. Nie długie było jego życie, lecz duch jego niechaj działa bez końca!“

Br. Koraszewski.

Z pamiętnych chwil.

XI.

Póki był Willisen, póty układy z Prusakami miały jakąś jeszcze, jak się zdawało, realną podstawę w jego zabiegach, z chwilą, gdy Willisen Księztwo opuścił, trudno było wierzyć, że wszystko w pokojowy sposób da się załatwić. Colomb wysyłał coraz to świeże ruchome kolumny wojska, które swą drogę znaczyły krwawemi zajściami z ludnością polską. Na skargi, które do Berlina podawał Komitet, nawet odpowiedzi nie było. Potworowski kilkakrotnie miał sposobność konferowania z ministrem o sprawach Księstwa. Minister na wszystko odpowiadał grzecznie, ale chłodno i nie zobowiązywał się do niczego.

Tymczasem w Poznańskiem rozeszła się plotka, która niebawem urosła do rozmiarów famy, głoszonej przez tysiące ludzi, że księża katoliccy skorzystają ze sposobności, jaką im nastręcza przypadająca w pierwszych dniach kwietnia Wielkanoc, i że przy spowiedzi namawiać będą lud prosty do schwycenia za broń przeciw Niemcom. Colomb zwrócił się wobec tego do Arcybiskupa z żądaniem, aby Arcybiskup zalecił Duchowieństwu namawianie ludu do spokoju. Arcybiskup oświadczył, że do roli służki władz pruskich się nie zniży.

Widząc, że w Poznaniu sprawa polska traci grunt, Komitet nie zdobył się na nic innego — jak na wysłanie nowej deputacyi do Berlina, aby ta w ministeryalnych przedpokojach szukała fundamentów do oparcia zachwianej sprawy. W deputacyi pojechał Libelt i Prusinowski. Postanowiono wszystkiego próbować, a znaleść jakiś środek ratunku. Ale jakże się wszystko zmieniło w Berlinie.

Gazety niemieckie przepełnione potwarzami, opisami bestyalnych mordów i gwałtów, popełnianych w Księztwie przez Polaków; opinia publiczna wysoce oburzona opisami morderstw, spełnianych na osobach, podanych z nazwiska, a nigdy i nigdzie nie istniejących; dawne sympatye dla Polaków przerodziły się w teoretyczne rozważania, jak się powinni zachowywać Polacy, jeśli chcą wolność odzyskać; wszystkie gazety berlińskie, z wyjątkiem przychylnej Polakom „Reformy“ Arnolda Ruge, nietylko odmawiały przyjęcia i opublikowania sprostowań i odpowiedzi na szerzone fałsze o wypadkach poznańskich, ale nawet w dziale inseratowym za pieniądze pomieścić ich nie chciały.

Minister, którego deputacya prosiła o audyencyę, nie raczył nawet odpowiedzieć, a gdy po daremnem czekaniu 23-go kwietnia piśmiennie zwrócili się członkowie deputacyi do niego, ponawiając swą prośbę, odpisał im, niech sobie swe sprawy załatwią z Willisenem, który właśnie bawi w Berlinie.

Zakrawałoby to na farsę, gdyby nie było takie smutne. Oni Willisena mieli już dosyć: ani Willisen im, ani oni jemu nic nowego powiedzieć nie mogli. Za radą Willisena, nie zważając na tak miłą odpowiedź ministra, deputacya udała się do ministeryum, energicznie żądając przyjęcia.

W obecności Willisena zapewnił ich minister, że „Colomb otrzymał rozkaz zniesienia stanu oblężenia, o ile coś bardzo ważnego nie stałoby temu na przeszkodzie — dalej, że garnizony pruskie mają być pościągane i wszelkie kroki wojskowe wykonane li tylko w porozumieniu z władzą cywilną.“

Po tej audyencyi, 25-go kwietnia, złożyła deputacya memoryał u króla i nadspodziewanie prędko doczekała się odpowiedzi: 26 go kwietnia opublikowany został rozkaz gabinetowy, posuwający jeszcze dalej linię demarkacyjną.

Prysły ostatnie złudzenia: z głuchą rozpaczą w sercu wracali delegaci do Poznania — jak na pogorzelisko.

Upadła i powaga Komitetu na zewnątrz. Właśnie podczas bytności Essmana w Poznaniu, Klub poznański, wolne stowarzyszenie polityczne założone przez Krotowskiego, nadesłał do Komitetu deputacyę, żądając dopuszczenia do obrad. Komitet zaprosił deputacyę na jedno z wieczornych posiedzeń. Stanęli jako członkowie tej deputacyi Griesinger, Słupecki, Motty Marceli i Mendych. Oświadczyli oni, że komitet stracił zaufanie u ogółu i że rozchodzą się wieści o niezgodzie zdań w jego łonie. Po wielu gorzkich uwagach pod adresem Komitetu deputacya zapytała jakież Komitet zamierza wydać obozom instrukcye w razie napadu Prusaków.

Członkowie Komitetu nie obstawali przy swych mandatach i chcieli owszem pogodzić się z nimi swą odpowiedzialnością. Zaproszono deputacyę klubu do wspólnych obrad i powzięcia wspólnej decyzyi.

Z obrad wyłoniło się pytanie, czy bić się z Prusakami, czy też na pierwsze żądanie broń złożyć. Klub przemawiał za złożeniem broni nazywając wszelką obronę wręcz bezowocną i bezcelową. Stefański, Słomczewski, Essman, Wolniewicz i Moraczewski, uznając zresztą ich motywy przemawiali jednakowoż za wydaniem boju, gdyż w razie poddania obawiali się, że lud ogłosi zdradę i zacznie wyrzynać szlachtę.

W głosowaniu za złożeniem broni głosował Chosłowski, Leon Szuman i Jarochowski, jakoteż czterej delegaci Klubu, przeciw zaś głosowali Andrzejewski, Essman, Moraczewski, Palacz, Słomczewski, Stefański i Wolniewicz. Było siedem głosów przeciw siedmiu. Jarochowskiego głos, jako przewodniczącego, przeważył i stanęło na tem, aby broń złożyć. Poruczono kilku członkom, aby zawiadomili o zapadłej uchwale sztab główny. Od wyborów usunęli się już potem Andrzejewski, Essman, Moraczewski, Stefański i Wolniewicz, oświadczając, że występują. Na to właśnie zjawili się Libelt i Prusinowski, którzy powrócili chwilę przedtem z Berlina. Złe wieści przywieźli, że na układy niema co liczyć i że w Berlinie nie myślą przyrzeczeń dotrzymywać.

Libelt żądał wobec tego, aby Komitet się rozwiązał i ostatnim swym aktem zawezwał wszystkich do walki na śmierć i życie z Prusakami. Ale Komitet już był zmniejszony nietylko ilościowo, ale i jakościowo o tych pięciu obywateli, którzy wystąpili.

Na wysłańców Klubu — a obecnie członków Komitetu — nie zrobiła wrażenia przemowa Libelta. Widząc, że niema co robić dalej, kazał się skreślić i zebranie opuścił.

Essman najpierwszy stanął w Miłosławiu z relacyą o tem, co zaszło. Deputacyę komitetu, mianowicie Chosłowskiego, Essmana, Griesingera i Mottego przyjął Mierosławski oświadczeniem, że broni nie złoży i że bić się będzie, gdy go Prusacy napadną.

Deputacya wróciła do Poznania z niczem, a Mierosławski wydał do dowódców obozowych okólnik, w którym za-

lecał im, aby z zajmowanych pozycyi ani na krok nie ustępowali.

Spodziewając się, że Prusacy zaatakują Książ, wydał specyalne polecenie obozowi nowomiejskiemu, aby na pierwsze wezwanie Dąbrowskiego spieszył mu na pomoc.

Deputacya obozowa lub kto inny z Komitetu, bardzo to możebne, zawiadomili ze swej strony dowódców obozowych o zapadłej uchwale złożenia broni. Dąbrowski, dla którego, jako emigranta jedna tylko była władza: — Mierosławski, — ani się zastanawiał, jak postąpi.

Garczyński zaś w przewidywaniu, że Mierosławski zostanie komendantem organizowanej na sposób pruski dywizyi poznańskiej, napisał do głównego sztabu, aby go uwolniono z obowiązków. Dymisya żądana niezwłocznie nadeszła, a Kosiński dostał nominacyę na dowódcę. Nadeszły jednak wieści z Poznania, że Colomb ogłosił konwencyę Jarosławską za złamaną. W tych warunkach uważał Garczyński dymisyę swą za niebyłą i na czele obozu pozostał.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Z TYGODNIA.

Sensacyjną wiadomość podaje włoski dziennik *la Tribuna*, donosząc, że cesarz Mikołaj zamierza odbyć podróż do Rzymu. O ile wiadomość ta jest prawdziwą, trudno jest dziś osądzić. To tylko jest pewnem, że skoro sam projekt taki powstał w sferach miarodawczych, to niedaleką musi być chwila, gdy Włochy znudzone wysługiwaniem się cesarstwu niemieckiemu zechcą zawrzeć z Rosyą i z Francyą bliższe stosunki. I w tym to celu ma jechać podobno cesarz rosyjski do Rzymu. Wystąpienie Włoch z trójprzymierza oznaczałoby ruinę z takim mozołem skleconej przez Bismarka budowy politycznej, której jedynym celem było zaprzągnięcie Austryi i Włoch do wózka niemieckiego.

Nie jest również wykluczone, że przy tej okazyi cesarz zobaczy się z Papieżem. Stosunki rządu rosyjskiego z Watykanem nie są najlepsze i podobno cesarz, zarówno jak i Papież mocno nad tem ubolewa, gdyż stroną, która na tem najgorzej wychodzi, są katolicy w rosyjskiem państwie.

Przed paru tygodniami wyruszyła do Rzymu pielgrzymka polska z Galicyi, a wkrótce po niej i pielgrzymka z Poznańskiego i z Prus Zachodnich. W zeszłym tygodniu pielgrzymi złożyli hołd Ojcu świętemu. Szkoda tylko, że inicyatorowie pielgrzymki nie postarali się o zapewnienie uczestnikom zwykłych a koniecznych w podróży wygód a nadto, że nie dołożyli starań, aby Polacy stanęli przed tronem Następcy Piotra, jako Polacy, a nie jako luźny odłam tłumów pielgrzymujących obecnie do wiecznego miasta z okazyi jubileuszu papieskiego. Jak donosi korespondent „Ruchu katolickiego“ już w podróży pielgrzymi galicyjscy doznali wszelkiego rodzaju niewygód, jechali nocą w przepełnionych ciemnych wagonach a wreszcie narażeni zostali na poważne niebezpieczeństwo wobec spotkania się dwóch pociągów na stacyi Feldkirch. Nieuprzedzone o przybyciu Polaków władze policyjne Rzymu zabroniły solennego pochodu z chorągwiami przez miasto, a wreszcie w bazylice św-go Piotra wyznaczono pielgrzymce polskiej miejsce wspólne z Bawarczykami, Niemcami i Irlandczykami. Lepiej przyjętą została pielgrzymka Wielkopolska, zapewne dzięki staraniom ks. biskupa Likowskiego. W pielgrzymce tej brali między innemi udział także redaktorowie „Gazety Grudziądzkiej“ (p. Kulerski) i „Gazety Toruńskiej“ (p. Brejski). Złożyli oni Ojcu św. na audyencyi piękny artystycznie wykonany adres. Wszyscy Polacy myślą i sercem towarzyszyli tej pielgrzymce do grobu Piotrowego, skąd ma powrócić umocniona na duchu, ochocza do walki bezkrwawej za wiarę i ojczyznę.

Wojna Anglików z Boerami nie doprowadziła jeszcze żadnej ze stron walczących do stanowczego przeświadczenia o bezowocności dalszej walki. Losy się ważą — nie przechylając się stanowczo na żadną stronę. Zdawało się w zeszłym tygodniu, że Boerowie walne odnieśli zwycięztwo pod Mafekingiem, tymczasem w parę dni później wojska angielskie wydarły im Mafeking a wraz z nim i owoce zwycięztwa. W Anglii każdą dobrą nowinę z Afryki wita publiczność ochoczo i radośnie, bo też Anglia w tej bezwstydnej wojnie o złoto afrykańskie jest zupełnie odosobniona i przyjaciół nie posiada. Znamienny ten fakt spowodował redaktora pewnego angielskiego miesięcznika do zwrócenia się do francuskiego uczonego, Brunetiera, z zapytaniem, dlaczego np. we Francyi opinia publiczna stanęła tak jednomyślnie po stronie Boerów. Odpowiedź zasługuje na to, abyśmy ją tu choć w części przytoczyli. Anglicy, mówi Brunetiere, uważają się za rasę najdoskonalszą, najwyższą i odznaczają się arogancyą zarówno w życiu prywatnem jak w polityce, w międzynarodowych stosunkach. Jednostki, mające o sobie tak wygórowane przekonanie, nieznośne są dla wszystkich, bo pycha zawsze drażni i wywołuje niechęć, która czeka tylko sposobności, aby jaskrawo wystąpić. Sposobności do okazania niechęci Anglikom dostarczyła wojna z Boerami. Anglicy jedynie wskutek ufności we własne siły uchwycili Boerów za gardło, sądząc, że ich zduszą, ponieważ zaś wypadało jakoś usprawiedliwić swe postępowanie, więc powołali się na wyższość swej cywilizacyi. *Tymczasem* — są to słowa francuskiego uczonego — *wyższa cywilizacya może nakładać na szczęśliwe narody jakieś obowiązki, ale praw nie daje nigdy żadnych nikomu.* Słowa te w bardzo wymowny sposób mogłyby znaleść illustracyę w stosunkach polsko-pruskich. Jak tam — w wojnie Boerów z Anglikami — tak i tu widzimy po jednej stronie chęć utrzymania ziemi ojców i tych resztek mienia, jakie z dawnego dobrobytu pozostać mogły, — a po drugiej stronie niepowstrzymaną niczem żądzę grabieży, która się najchętniej osłania pozorami wyższej cywilizacyi. Wszak znamy tę „wyższą cywilizacyą“ zblizka, aż *zablisko* dała się ona nam poznać; widzimy, że jest ona tylko faryzeuszostwem, chytrością, pozorem, — po za którym kryje się zwierzęca, brutalna żądza wynaradawiania, zdeptania każdego i wszystkich, kto odrębnem życiem żyć pragnie.

Wyższa cywilizacya nie daje żadnych praw! — powiada Brunetière. Szczególniej zaś nie daje praw do nękania i krzywdzenia bliźnich. Gdyby prawda ta, tak prosta i oczywista znaną była i uznaną w Europie, gdyby ją wypisano na parlamentach, gabinetach dyplomatów, ministerstwach i giełdach, słowem, gdyby nią nasycono serca ludzkie, ileżby oszczędzono krwi i łez, o ile mniej grzechów i plam ciężyłoby na rodzaju ludzkim.

Śledztwo w sprawie zbrodni chojnickiej jest na ukończeniu. Tak przynajmniej twierdzą niektóre rządowe gazety. Jednakże poszlaki nie musiały doprowadzić do dania dowodów, skoro rząd przeznaczył 20 tysięcy marek nagrody za wykrycie mordercy.

Członkowie gminy żydowskiej w Chojnicach zwrócili się do rządu, domagając się „wystarczającej“ liczby policyantów dla obrony żydów. Komisarz rządowy Maubach odpowiedział, że władze wiedzą dobrze, co im czynić wypada, a zarządzone środki bezpieczeństwa zupełnie wystarczają.

Potwierdza się wiadomość o znalezieniu w Pile w pobliżu toru kolejowego skrwawionej koszuli z monogramem E. W. Lewy rękaw jest niemal zupełnie oderwany, prawy natomiast podziurawiony i obwiązany powrozem od cukru. O ciekawem tem odkryciu strażnika kolejowego powiadomiła policya pilska natychmiast prokuratoryą chojnicką. Jak pisze „Geselliger,“ mieszkańcy chrześci-

jańscy w Pile tak są oburzeni na żydów, że obawiać się trzeba rozruchów. Zaalarmowano dwie kompanie wojska, aby były gotowe na wszelkie wypadki.

W Sempolnie i w Sulęcinie powybijano znowu szyby w składach i mieszkaniach żydowskich. Policya wkroczyła i przeszkodziła wybrykom.

Prokuratorya chojnicka kazała ogłosić za pomocą plakatów we wszystkich większych miastach niemieckich, o wyznaczeniu 20,000 marek nagrody na wykrycie morderców.

Jak pisze „Freisinnige Ztg.", odbyli członkowie berlińskiej gminy żydowskiej poufną naradę w sprawie zbrodni chojnickiej. Uchwalono wybrać komitet, który zajmie się zbieraniem składek wśród żydów w całych Niemczech. Suma zebrana przeznaczona ma być na wykrycie morderców (?!!). Według „Freisinnige Ztg." żydzi przez zbieranie składek chcą udowodnić, jak bardzo pragną, aby zbrodnia chojnicka została wyświetloną (?!!).

Koszulę, którą znalazł w okolicy Piły strażnik kolejowy, oglądali rodzice zamordowanego Wintera. Wynik badań nie znany. „Geselliger" zwrócił się z zapytaniem do prokuratora, lecz otrzymał odpowiedź, że nadprokurator zakazał zasilać gazety wiadomościami, odnoszącemi się do zbrodni w Chojnicach. Tem się tłomaczy, że o przebiegu śledztwa nie ma zgoła żadnych szczegółów urzędowych, są tylko prywatne, nie zawsze prawdziwe. „Geselliger" bardzo ostro krytykuje takie postanowienie nadprokuratoryi, które tylko ujemnie działa na całą sprawę. Ludność oburzona jest mianowicie, że dotąd nie ogłoszono wyniku badań krwi, znalezionej w połowie marca w synagodze i posłanej celem zbadania chemikowi w Berlinie. Coraz więcej utwierdza się przekonanie, że prawdopodobnie była to krew ludzka, gdyż w przeciwnym razie nie wahanoby się ogłosić wyniku badań. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Do grobu Apostołów oddawna już pielgrzymuje świat chrześciański, ale w roku bieżącym tłumniej niż kiedykolwiek, gdyż jest to rok połączony z wielkimi odpustami.

Bohaterskie walki, jakie ojcowie nasi przez długie wieki staczali z wrogami od wschodu, północy i zachodu, owe wojny z Turkami, Moskwą, Szwecyą i Prusakami, to jak jedna wojna krzyżowa, wojna w obronie chrześciaństwa i cywilizacyi wogóle, lub w obronie katechizmu przed schizmą. I owe straszne rzezie na Rusi, które utopiły we krwi setki tysięcy Polaków, miały główną podnietę w fanatycznej nienawiści schizmatyckiego kozactwa do religii katolickiej. Ta sama nienawiść sprawiła, że i dziś staje się coraz cięższem jarzmo nałożone Polakom przed stu laty a walka na śmierć, jaką toczymy w obronie wszystkiego, co naród mieć i cenić może jako najdroższe, ma na celu zarówno wytępienie języka polskiego, jak i katolicyzmu. Słynna zasada tolerancyi proklamowana niegdyś przez jednego z Hohenzollernów, dziś ustąpiła miejsca silnie prowadzonej protestantyzacyi „kresów wschodnich" t. j. tej części Polski, którą zagrabiły Prusy. Nie inaczej się też dzieje i w innych dzielnicach Polski. To też walka, którą toczymy w obronie narodowości jest zarazem walką w obronie wiary ojców naszych. Ta stałość nie została niedostrzeżona w Rzymie, a liczni Papieże zawsze szczerą życzliwością nas otaczali. Któż nie pamięta owych serdecznych węzłów, jakie łączyły Polaków z nieśmiertelnej pamięci Papieżem Piusem IX, któż zapomnieć zdolny o modłach publicznych, które z jego rozkazu odbywały się za Polskę walczącą, któż bez łez przeczyta jego proroczym duchem nacechowane przemówienia do pielgrzymów polskich?

Polacy nazawsze zachowują w sercu żywe i wdzięczne wspomnienie dla tego następcy św. Piotra, który Polakom z oddali słał słowa otuchy i pociechy wtedy, gdy kraj cały krwią zlany, ostatnich wysiłków dobywał, aby zrzucić okowy ciemięzców.

I te węzły niezatartej w sercach wdzięczności, która przechodzi z ojca na syna w spuściźnie, — łączą i dziś nasz naród ze stolicą Piotrową. Słusznie też pisze z okazyi pielgrzymki wielkopolskiej do Rzymu **„Gazeta Toruńska"**.

„I obecnie panujący Papież wie, że naród polski jest dziś jedynym na całym świecie narodem, w którym wszystkie warstwy społeczne w przygniatającej większości są szczerze katolickie, w którym przeto religia katolicka panuje rzeczywiście. To też Leon XIII pragnął nas ujrzeć u stóp swego tronu i skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazyi, aby wyraźnie nas wezwać do siebie słowy: Pragnę tu zobaczyć Polaków!

„Serdeczne wezwanie znalazło odgłos w całej Polsce i daleko po za jej granicami. Nie dziesiątki, nie setki, ale tysiące Polaków pospieszają już różnymi szlakami do Rzymu, aby się zgromadzić na Watykanie, aby podtrzymać na barkach swoich sklepienia wspaniałej katedry świętego Piotra. Nie wstępują do wiecznego miasta z przepychem, jak posłowie rzeczypospolitej polskiej, nie niosą ich rumaki o złotych podkowach, jak ongi Ossolińskiego i jego orszak, ale za to nie tylko duchowni i uczeni, nie tylko szlachta i magnaci, jak za dawnych czasów, lecz reprezentanci wszystkich stanów, począwszy od robotników, przybywają do Rzymu, przybywają, cicho i w skupieniu, jak przystało pielgrzymom, jak godzi się sierotom, pozbawionym matki, odwiedzającym więźnia, szukającym pociechy i ukojenia własnego bólu a zarazem pragnącym przynieść ulgę uciśnionemu Ojcu chrześcijaństwa."

Nad jednem tylko ubolewamy szczerze, ciesząc się z faktu, że pielgrzymka polska godnie reprezentowała w Rzymie naszą dzielnicę; ubolewamy nad faktem, że niestety pielgrzymka Wielkopolska wraz z galicyjską nie stanęły razem, jednego dnia, przed tronem Piotrowym; nie stanęły one jako jedna, polska pielgrzymka, lecz pozostały podzielone. Z Królestwa Polskiego wprawdzie liczny udział wzięli bracia nasi z za kordonu, ze względów politycznych jednak pielgrzymki osobnej nie mogli urządzić; tem bardziej się należało pomyśleć o tem, abyśmy, podzieleni gwałtem przez rządy, nie dzielili się przynajmniej sami.

We wstępnym artykule niniejszego numeru znajdą czytelnicy „Pracy" kilka słów poświęconych sprawie rewizyi i badań naszych gimnazyastów. Warto przytoczyć co o tej sprawie pisze gnieźnieński **„Lech"**:

„Gdzie jest zakazanem uczniowi polskiemu mieć w swojem posiadaniu polską książkę? Gdzie jest paragraf dający prawo do wydalania ucznia Polaka za to, że znaleziono u niego historyę lub literaturę polską? Czy my Polacy mamy być wykluczeni od składania egzaminów i pozbawieni możności kształcenia się? Wobec tego, co się dzieje, winno całe społeczeństwo solidaryzować się z nieszczęśliwymi rodzicami wydalonych uczniów. Milczenie i powściągliwość z naszej strony tłomaczyć by sobie musiano jako apatyzm, zdanie się na łaskę i niełaskę i zachęcenie do nowego coraz to większego ucisku. Odzywamy się do naszych posłów.

„Własnem, energicznem wystąpieniem w sejmie pod zasłoną konstytucyi, która gwarantuje im tę wolność słowa, jakiej prasa nie posiada, powinni wobec Europy napiętnować podane przez nas fakta. Koalicya konserwatywno-żydowsko-demokratyczno-liberalna wiemy co odpowie. Będzie mówiła o tem, że szkoła ma za cel wyrabiać ducha patryotyzmu pruskiego, że polskie tendencye w szkołach trzeba zwalczać itd. Tak nam to wszystko często powtarzano, że odpowiedź dana nam w sejmie naprzód jest nam znaną. Ale Niemcy liczą się jeszcze i z opinią publiczną Europy, chcą uchodzić jako naród światły i tolerancki.

„Niechaj więc kilkaset gazet polskich i katolickich rozgłosi światu, przemówienia posłów i niechaj Europa się dowie, że w Niemczech pozbawiają możności kształcenia się w zakładach naukowych Polaków za to, że młodzież czytuje książki polskie i kształci się w swym języku. Szkoła zaniedbuje swój obowiązek dawania dziecku polskiemu pokarmu narodowego. Mieliśmy dowody, jak uczą polskiego języka w poznańskiem gimnazyum.

„Skoro chłopiec widząc niedomagania wykształcenia, jakie daje mu szkoła, sięgnie po polską książkę, porusza się cały aparat rewizyi domowych, szpiegowania i wydalań! Cała sprawa i krzywda wyrządzona rodzicom i uczniom powinna odbić się głośnem echem w sejmie i wywołać w całem naszem społeczeństwie żywy i głośny protest."

Strapionym rodzicom, których synom przez wydalenie odcięto możność obrania sobie karjery według upodobania, wyrażamy w imieniu całego ogółu gorące współczucie, a wydalonym młodzieńcom szczere życzenia, aby nie tracili ducha i ze zdwojoną energią, jak przystoi synom prześladowanego narodu, pra-

cowali i stanęli niebawem w pierwszych szeregach toczącego walkę o narodowe skarby społeczeństwa.

Ciekawą korespondencyą z Ostrowa zamieszcza **„Goniec Wielkopolski“**:

„Donoszą ztąd dziennikom o jarmarkach, o różnych innych błahych rzeczach, a niema nikogo, ktoby donosił o daleko ważniejszych ogół obchodzących sprawach. Oburzenie powszechne wywołały tu wieści, iż znowu kilka majątków przeszło w ręce kolonizacyi, ale nie mniej oburzają uchybienia naszej inteligencyi. Jak obywatele ziemię, tak my pieniądze w ręce niemieckie lekkomyślnie oddajemy.

„I tak ktoś z inteligencyi córeczkę i zaledwie 12 lat liczącego synka posyła na niemieckie lekcye. Uzasadnia to tem, że na lekcyach polskich „nie ma dobranego towarzystwa.“ jakby to dzieci polskiego kupca, przemysłowca lub rzemieślnika gorszemi byli od żydów i Niemców tej samej kategoryi. Tak samo rozporządziła z swą córeczką pewna pani z pobliża Ostrowa.

„Te przykłady bezwzględnie potępienia są godne, a tym gorsze, że się pojawiają w czasach ciężkich doświadczeń i trudnych walk, które nas rozumu nauczyć powinny. Dotychczas Polacy u metra rodaka brali lekcye tańca i było dobrze, a naszego mazura to chyba się lepiej nauczyli.

„Równie złemi są objawy płaszczenia się i upokorzania przed Niemcami.

„Pewien ziemianin z pod Pleszewa oddawszy tu syna do pensyonatu niemieckiego wpaja w niego takie przekonanie, że tylko łasząc się profesorom, promocyą uzyskać może.

„Czyż to nie jest zatruwaniem lepszych instyktów u dziecka? Czy raczej nie należałoby budzić w dzieciach patryotyzmu i poczucia obowiązku, niżli skłonności do płaszczenia się. Czyż to nie pierwszy krok do upodlenia?

„Prawda, że pojedyńczych złych objawów nie trzeba brać za tragicznie. Ale gdy one częste i coraz częstsze?“

Uwagi korespondenta zasługują na poklask. Nie są to rzeczy tak małej wagi, jakby się zdawało; wszak z małych, drobnych objawów życia społecznego całość się składa, a jakiem jest niedbalstwo narodowe w poszczególnych drobnych wypadkach, takiem też jest i w wielkiej wagi sprawach.

Z dnia na dzień hiobowe wieści głoszą o nowych wypadkach sprzedaży ziemi polskiej. Zdawałoby się, że likwidujemy już podstawy naszego bytu. Słusznie też zauważa **„Dziennik Poznański“**, że dziś mamy podwójny powód do smutku:

„Przedtem sprzedawali polską ziemię kolonizacyi przeważnie ci, co majątkowo zupełnie podupadli lub przez sprzedaż części starali się uratować resztę. Potępiano zawsze te sprzedaże, ale z pewnem wyrozumieniem w okolicznościach, nie przedstawiających wyjścia. Dziś nie tylko tacy likwidatorowie szukają zbawienia w skarbach kolonizacyi, ale wytworzył się nowy, najwstrętniejszy żywioł sprzedawczyków, którzy dla wygody lub spekulacyi zapominają o obowiązkach obywatelskich a każdej chwili gotowi przefrymarczyć szmat polskiej ziemi i gromadę polskiego ludu, byle zrobić „dobry interes“ i uciec z kapitałem z ciężkiej areny rolniczej pracy do próżniactwa sromotnego.

„Mianowicie młodsze pokolenie hołduje w tej mierze zasadom rozluźnionego sumienia. Przyłącza się życie nad stan, wyjazdy do Monaco, u kobiet paryskie strojnisiostwo, hazard itp. niecnoty, co wszystko oczywiście zmarnować może i największe majątki.

„Wielu milczy, bo nie wiedzą dnia i godziny, kiedy im w oczy zajrzy widmo kolonizacyi, u wielu cynizm doszedł do takiego stopnia, że drwią sobie z „morałów“ i groźb opinii.

„Nie brak jednak usiłowań szlachetnych, żeby ratować, co jeszcze uratowane być może. Bywały wypadki, że rodziny zamożne zbiorowemi siłami ratowały zagrożony majątek, odsuwając oczywiście niepoprawnego właściciela od zarządu i wyzyskiwania zaszarganego majątku.

„Niestety nie zawsze się to udaje. Ohydny właśnie zaszedł wypadek, że właściciel taki, nie chcąc się poddać kurateli, wolał majątek przedać kolonizacyi. To dopiero bólów ból, to zdrada i ohyda bezecna. Jeszcze przecież tam z tej kolonizacyi kapnie tyle, że niejakiś czas będzie można żyć smacznie i stroić się z paryskich magazynów. A potem? Przecież ci ludzie nie myślą, co będzie potem, bo inaczej zamiast hulać i dogadzać sobie, pracowaliby w pocie czoła, żeby nie stawać do wyprzedaży z resztkami ojcowizny.

„Ten nowy rodzaj kolonizatorów zdradzieckich na szczególne zasługuje napiętnowanie.

„Rzadki też to wypadek, że kolonizatorowie sum zdobytych na kolonizacyi, używają na kupno ziemi, mianowicie z rąk niemieckich.

„Widzimy tu takich Krezusów, spacerujących od wielu lat po bruku poznańskim; niby ciągle kupują majątki, ale na seryo zdobyć się nie mogą na kupno, bo ich sumienie trapi jak grzech pierworodny, lękają się w nowem kupnie kary boskiej za pierwsze przeniewierzenie się ojcowiźnie.

„Kto się raz splamił wyprzedażą ziemi ojczystej, nie ma do niej odwagi, woli częstokroć gnuśnieć na bruku, żyć z kapitału lub wygodniejszej lichwy.

„Wobec takich okoliczności podwójna cześć należy się tym, którzy wiernie trzymają się swej ziemi, gospodarzą znakomicie, dorabiają mienia i kupują majątki. A przecież i oni podlegają ogólnym konjunkturom, które tyle sprzedawczyków doprowadzają do — wyprzedaży. Czynem zakładają oni protest, przeciw kolonizatorskiej teoryi, że dziś na wsi wyżyć i istnieć nie można. Można, ale trzeba umieć pracować, posiadać hart duszy a Boga w sercu.“ *B. M.*

Z chwili.

W „państwie sprawiedliwości i bojaźni Bożej“, jak Niemcy lubią swój „Vaterland“ nazywać, — w państwie, gdzie z czasów Fryderyka Wielkiego tradycya przechowała słynne, jak relikwia narodowa czczone przysłowie: „Są przecież sędziowie w Berlinie“ — w państwie pikelhauby, kiszki grochowej, piwa i hakatyzmu dzieją się coraz częściej rzeczy, których akta i opisy, jako cenne dokumenty dziejowe, otrzymać powinny honorowy gabinet w archiwach pruskich.

Niadawno temu skazano na 150 marek kary niejakiego Schulza, którego rodzina przed wielu lat dziesiątkami osiadła w Poznańskiem i tu się spolszczyła, a skazano go za to, że ośmielił się zmienić pisownię nazwiska swego i zamiast Schulz podpisał się Szulc. Wyrok ten zapadł w najwyższym trybunale berlińskim, lubo przed kilku laty ten sam trybunał w identycznej sprawie wydał wyrok uwalniający. Trybunał został, ludzie się zmienili. Dawni sędziowie, jako niewygodni, otrzymali honorowe translokacye „w interesie służby.“

A teraz przypatrzmy się odwrotnej stronie medalu. Oto jeden z korespondentów poznańskich opisuje, że poznał w wagonie kolejowym jakiegoś Niemca, który mu wręczył swój bilet wizytowy z nazwiskiem „Schelske.“

— Nigdy się z takiem nazwiskiem nie spotkałem — opowiada korespondent — ale przypomniało mi się, że w sąsiedztwie mojego ojca mieszkał p. Sielski, Polak, b. rotmistrz armii pruskiej.

— To pan zapewne jesteś synem b. rotmistrza Sielskiego z.... — odezwałem się.

— Tym samym, jestem radcą Schelskem...

— Wybacz pan, ale niebożczyk pan rotmistrz inaczej pisał i wymawiał nazwisko swoje.

— Prawda, że pisał inaczej, ale wymawiał tak samo, a ponieważ pan wie, że w dawnej pisowni nazwisko moje wymawiałoby się po niemiecku Zilski, więc dla zachowania brzmienia, którego od lat dziecinnych używam, nie mówiąc już po polsku, nazwisko zmieniłem na Schelske.

— Zmieniając końcówkę.

— Rzeczywiście, bo tak bardziej brzmi po niemiecku, ponieważ jestem w służbie rządowej, więc choć właściwie dumny jestem z pochodzenia polskiego i uważam się za Polaka (?), z praktycznych względów pisownię nazwiska zmieniłem. Pan wie, że końcówka „ski“ w służbie nie jest bardzo dobrą rekomendacyą.

— Czy panu władze żadnych nie robiły trudności ze zmianą pisowni nazwiska? — Zapytałem. — Zdaje mi, się, że one pod tym względem są bardzo drażliwe.

— Nigdy! — odpowiedział p. Schelske. — Zresztą ja nikogo nie pytałem, tak się to samo zrobiło. A nawet w moich aktach osobistych znajduje się jedna i druga pisownia, bo metryka i świadectwo ze szkół brzmią dawną pisownią, dalsze akta nową i nikt mnie nigdy z tego powodu nie interpelował; dziś wszyscy piszą moje mazwisko tak, jak ja sam je piszę.

— Ale istnieje podobno jakieś rozporządzenie królewskie, zabraniające zmiany nazwisk. A gdyby panu np. przypadła jakaś sukcesya po zmarłym krewnym Sielskim, byłoby bardzo trudno wylegitymować się.

— Istnieje tam jakieś rozporządzenie, ale chyba można je zastósować do podstępnej zmiany nazwiska, w celu ukrycia go, lub w podobnym wypadku. Cóż

komu szkodzi, że ja zmieniam pisownię nazwiska, które trudno wymówić. Żyjemy przecież w państwie konstytucyjnem. Przedewszystkiem swoboda. W razie potrzeby legitymowania się do spadku miałbym metrykę. Nie trzeba tych rzeczy brać tragicznie.

Na tem urwała się nasza rozmowa z p. Schelskem.

No! tak! *I ly a des juges à Berlin.*

* * *

Cesarz chiński wysłał do Ojca św. z okazyi uroczystości jubileuszowych list następującej treści:

„Władco wielkiej religii, wielkiego królestwa Rzymu! Podczas dwunastej zmiany księżyca tego roku przypada dzień ośmdziesiątej dziewiątej rocznicy Twoich urodzin. Ta długowieczność, wiosna przedłużona królestw europejskich, jest czemś niezwykłem. Sądzimy, że przez 20 lat Twojego panowania, napominałeś ludzi ku dobremu, dlatego świat cały się cieszy. i jest Ci wdzięczny. Dlatego też, korzystając z okazyi tego szczęśliwego wypadku pragniemy złożyć Ci nasze najlepsze życzenia.

„Życzymy Ci, abyś w dobrem zdrowiu przebył szczęśliwe dni uroczystości pamiątkowych. Następnie pragniemy, aby chrześcianie i niechrześcianie tak w Chinach, jak gdzieindziej żyli w harmonii wzajemnej i wszyscy używali pomyślnego spokoju. Mamy silną nadzieję, że tak się stanie."

List ten został Ojcu św. przesłany przez msgr. X. Favier, biskupa Pekinu.

* * *

Wychodzące w Nawsiu (Austrya) p. t. „Przyjaciel Ludu" pismo dla Polaków wyznania ewangelickiego, zamieszcza p. t. „Polscy ewangielicy" szereg artykułów, w których rozstrząsa stosunki narodowości polskiej do Kościoła ewangielickiego. Autor tych artykułów powiada między innemi: „Musimy głośno stwierdzić, że wyznanie i Kościół ewangielicki a narodowość niemiecka nie są identycznemi, lecz całkiem odrębnemi pojęciami. Mimo wielkich zasług narodu niemieckiego około kościoła i wiary ewangielickiej, wiara ewangelicka i kościół ewangielicki nie są żadnym niemieckim kościołem, ani wiarą niemiecką."

Dalej czytamy: „Bismarck, chełpiący się tak głośno swem chrześciaństwem i ewangielictwem, wydał przeciw Polakom hasło: „wytępić." Odtąd toczy się ze strony Niemiec przeciw Polakom śmiertelna, bezwzględna, niechrześciańska i nieewangielicka, owszem barbarzyńska i pogańska walka. Niemcy odbierają Polakom jeden po drugim wszystkie konieczne warunki życia i bytu narodowego i wypowiadają otwarcie, że muszą ich zgnieść i zdławić. Odebrano im język w szkole i publicznem życiu, zakazują języka ojczystego uczyć prywatnie, w domu, karzą za polskie pisanie nazwiska, tworzą ze skarbu państwa stumilionowe fundusze, na które Polacy muszą płacić podatki, a któremi wykupują ziemię polską, by ją rozdać niemieckim kolonistom, tratują Polaków brutalną nogą krzyżacką i kłują codziennie szpilkami wyuzdanego szowinizmu narodowego. Polakowi żyć pod pruskim rządem jest dziś męczarnią i męczeństwem. Gdy zaś Prusy są ewangielickie i wszyscy działacze w tem strasznem, haniebnem prześladowaniu są ewangielicy, trudno, aby społeczeństwo polskie wiarę ewangielicką odróżniało od Niemców i aby mu ta „niemiecka wiara" była „sympatyczną".

O tolerancyi religijnej katolików polskich tak się wyraża autor wspomnianych artykułów: „Za czasów moich uniwersyteckich w Wiedniu, wybrano raz jakiegoś wybitnego profesora-katolika rektorem uniwersytetu. Główny organ austro-niemieckiego liberalizmu sławił to wtenczas jako szczyt niemieckiej tolerancyi i niemieckiej kultury. W Krakowie, tym polskim Rzymie — piastowali raz po raz ewangielicy — Skobel, Teichmann — godność rektora uniwersytetu, a nikt się tem nie chełpił, uważano to za coś, co się rozumie samo przez się. Od kilku lat jest prezydentem Krakowa ewangelik; ma on licznych przeciwników, którzy go chcieli zrzucić z prezydentury, ale nikt nie użył w walce przeciw niemu argumentu, że jest ewangielikiem.

W. W.

Głosy od Przyjaciół.

Wągrówiec, dnia 27-go maja.

Szanowna Redakcyo!

Dowiedziawszy się z gazet o wydalaniach uczniów polskich z gimnazyów za rzekomą „agitacyą wielkopolską" pospieszam podzielić się z szerszym ogółem wiadomościami z miejscowych stosunków, gdyż sprawa tak wielkiej wagi wszechstronnie a rzeczowo powinna być omówiona w prasie. Mam dwóch synów w gimnazyum tutajszem i od nich wiem, jakie to koleżeństwo i jakie stosunki panują w tutajszem gimnazyum.

Otóż przeszło już od pół roku Polacy w wągrowieckiem gimnazyum zmuszeni byli zerwać wszelkie stosunki koleżeństwa z Niemcami. Głównymi sprawcami tych nieznośnych stosunków są to dwaj synowie dyrektora tutajszego gimnazyum p. Widmanna. Płoną oni taką nienawiścią do wszystkiego co polskie, że, jak mi synowie z oburzeniem opowiadali, starszy z nich przy każdej sposobności najgorsze zarzuty robi narodowi polskiemu, że to naród zdrajców i ludzi bez honoru; ten sam też młodzieniec i przyszły filar hakatyzmu odezwał się w obecności ludzi obcych, że księża katoliccy uczą lud z kazalnicy, iż kradzież nie jest grzechem, aby tylko złodzieja na gorącym uczynku nie złapano. Nic dziwnego, że Polacy zupełnie się odosobnili. Do tego też synów moich zachęcam i każdego z ich towarzyszów namawiam, aby lepiej tylko ze sobą się komunikowali i przestawali wyłącznie w polskich domach, gdzie narodowe uczucie ich obrażanem nie będzie. Niemcy jednak wzięli to odosobnienie tak bardzo do serca, iż pomawiają tutajszych uczniów klas wyższych o wszelkie zbrodnie przeciw Niemcom. To też Polaków szpiegują na każdym kroku. Gdy niedawno do moich synów przyszli trzej ich koledzy, wychodząc z domu mego spotkali jednego z kolegów Niemców, który zaraz ich zaczął rozpytywać, zkąd wracają, czym im książek polskich nie pożyczał i t. d.?

Na drugi dzień już władza szkolna była o tem powiadomiona i jeden z nauczycieli wypytywał mego młodszego syna (widocznie miał do niego większe zaufanie), co ja mówiłem z tymi uczniami, którzy byli u mnie. A ja się wtedy nawet z nimi nie widziałem, bo oni przyszli do moich synów. W ten sposób jednak rodzony syn mój miał mnie niejako szpiegować. Takie postępowanie jak nazwać?

Ale co lepsza jeszcze, to to, że owi zagorzali niemieccy uczniowie szpiegują swych kolegów Polaków co do ich usposobienia patryotycznego. W dzień urodzin cesarskich śledzili wszelkie ruchy i miny i jednemu z prymanerów zrobili zarzut, że podczas śpiewania hymnu „Heil dir im Siegerkranz" miał ręce w kieszeniach i ironiczny uśmiech na ustach, co miało oznaczać jego nienawiść do Niemców. U drugiego podpatrzyli, że nie śpiewał wraz z innymi i przy „*hoch*" na cesarza nie podniósł ręki do góry i robili mu z tego powodu zarzut omal że nie obrazy majestatu, wreszcie zadenuncyowali do dyrektora.

Rodzice uczniów w wągrowieckiem gimnazyum przestrzeżcie waszych synów, aby w rozmowach na ulicy lub w szkole, lub wogóle w miejscach publicznych prowadzonych, wystrzegali się niebacznego słówka jakiego, bo szpiegowskie uszy są czujne i mogą zwichnąć karyerę synom waszym, za to tem więcej patryotyzmu wlewajcie w ich młodociane dusze przy domowem ognisku.

Dodam też jeszcze, że z prawdziwem oburzeniem dowiedziałem się od moich synów, że w lutym bieżącego roku dyrektor gimnazyum zabronił uczniom rozmawiać ze sobą po polsku w murach gimnazyum, a przy tej sposobności o kilku prymanerach wyraził się, że „to są agitatorzy". Zakaz mówienia po polsku rozgoryczył naszą młodzież, która czuje się dotkniętą tem w swych najżywszych narodowych uczuciach.

Opowiadając mi o tem zajściu, które miało miejsce na lekcyi p. Frenzla, jeden z prymanerów wyraził nadzieję, że teraz przecież rodzice polscy w Wągrówcu starać się powinni, aby na swych synów młodszych gimnazyastów wpływać, aby tylko pozornie ulegali zakazowi p. dyrektora, a tem silniej garnęli się do polskich książek. Jeszcze nasze społeczeństwo ma dość żywotności i sił świeżych, skoro w niem młodzież tak myśli i czuje.

Z szacunkiem

Sz.

List szanownego Korespondenta umieszczamy tem chętniej, że ostatnie kroki władz pruskich czynią z kwestyi narodowego poczucia u naszych gimnazyastów sprawę — której, dla dobra przyszłości, społeczeństwo nasze baczną powinno poświęcić uwagę. Mając w tece kilka takich listów, kolejno odsłaniać będziemy wewnętrzne stosunki i innych gimnazyów pruskich. Red „Pracy".

Nasze illustracye.

Jadwiga, Królowa Polska.

Nakreślił *Walery Eljasz-Radzikowski.*
(Do illustracyi albumowej.)

Pięćset lat upłynęło roku codopiero minionego, jak zamknęła powieki na zawsze nieśmiertelnej pamięci królowa Jadwiga, której zawdzięczamy jednę z najpiękniejszych kart w dziejach narodu Polskiego.

Jeżeli zapragnąłby ktoś przedstawienia ideału niewiasty, to za wzór posłużyć mu może Jadwiga.

Najpiękniejsza z kobiet, wychowana mądrze i wykształcona nad wiek, obdarzona najwyższemi przymiotami duszy i ciała nie dziw, iż zasłynęła w świecie.

Wieści o takiej nadzwyczajnej na tronie niewieście szeroko się rozbiegły i natchnęły dzikiego wobec niej wielkiego księcia Litwy.

Kochał się już w niej książe niemiecki Wilhelm i ona mu zapewne była wzajemną. Umiała jednak Jadwiga poświęcić uczucie swoje na rzecz narodu, który ją na tronie osadził i na dobro wiary chrześciańskiej, skoro dla niej Jagiełło siebie i swój naród litewski ochrzcić postanowił. Nie odbyło się to bez ofiary, o ile o tem z kronik współczesnych wiedzieć można; poślubiona Władysławowi, który ją ubóstwiał, dochowała z największą sumiennością wiary.

Gdy wypadło odebrać jednę dzielnicę Polski Węgrom w czasach rozruchów przywłaszczoną, wsiadła Jadwiga na konia i na czele rycerstwa ubiegającego się w oczach królowej o pierwszeństwo w dzielności, przywróciła Ruś Czerwoną.

Wjechała do stolicy witana z entuzyazmem. Skoro rozbestwieni Krzyżacy do najazdu na Polskę szukali zaczepki, pojechała osobiście zawrzeć z nimi pokój, aby uchronić kraj i lud od zniszczenia, ale widząc pychę mnichów z krzyżami, przepowiedziała im proroczo karę i upadek.

Dowiedziawszy się o pokrzywdzeniu ludu przez możnych w Wielkopolsce, udała się tam dla ukrócenia złego. Gdy Jadwidze doniesiono o naprawie i odwróceniu krzywd, wyrzekła owe pamiętne słowa: „A któż im łzy powróci?“ Widzimy w niej męstwo, mądrość i miłość ludu posuniętą do granic niepraktykowanych u osób panujących.

Historya nam opowiada ciągle o działalności Jadwigi na każdem polu, w najróżnorodniejszym zakresie ślady jej żywota się uwydatniały; nawet sięgała myślą po za kres krótkich dni swoich, gdyż kosztowności swe testamentem przekazała, na uposażenie Akademii Krakowskiej, chcąc wiekopomne dzieło swego pradziada Kaźmirza Wielkiego przywieść do świetności.

Z Jadwigi funduszu król Władysław nabył dom w Krakowie przy ulicy św. Anny i przerobiwszy go na szkołę, przyczynił się głównie do odrodzenia wszechnicy polskiej, której właśnie 500 letnią rocznicę założenia uroczyście obchodzi tego roku Uniwersytet Jagielloński w Krakowie.

Nie była jednak Jadwiga wolną od nieszczęść i smutków rodzinnych — matkę jej zamordowano — ona doczekawszy się upragnionego dziecięcia, straciła je zaraz i sama za córeczką wstąpiła do grobu.

Po śmierci dla tej wielkiej królowej nie znalazł się nikt, coby jej grobowiec postawił. Pod prostym głazem w katedrze na Wawelu złożono jej zwłoki i tak do dziś dnia bez żadnego znaku wdzięczności ze strony męża, rodziny, narodu spoczywa Jadwiga z okruchami drewnianego berła w prostej z desek trumnie.

Dziwne są tego świata dzieje. Innych ludzi, którzy jakto się mówi, niegodni byli rozwiązać trzewika u nogi Jadwigi, szumne grobowce rozpierają się po katedrze krakowskiej, a ona przez pięć wieków niedoczekała się pomnika, na jaki zasługuje!

Pamięć Jadwigi uczcił dotąd najwspanialej Karol Szajnocha przez napisanie dzieła znakomitego w 4 tomach pod tytułem: „Jadwiga i Jagiełło“. Utwór ten niesłychanie barwnie nakreślony powinien się ukazać w skróconem nieco, popularnem wydaniu, po cenie dla każdego nawet bardzo biednego człowieka dostępnej. Niechby nieśmiertelnej pamięci Jadwiga królowa w sercach ludu polskiego pomnik znalazła w zamian za taki, którego jej z marmuru na Wawelu potomność poskąpiła.

Nie dochował się po Jadwidze żaden u nas w Polsce rzetelny wizerunek. Na pieczęci z wosku wyciśniętą jest tylko w ogólnym zarysie. W Wiedniu na obrazie starym wyobrażającym genealogią domu Habsburgskiego, istnieje przy portrecie arcyksięcia Wilhelma, jako jego rzekoma małżonka, w popiersiu Jadwiga, lichego pędzla, ale w każdym razie jedyne dotąd autentyczne źródło do odtworzenia jej rysów. Wedle tego wizerunku twarz nakreślona, a podług pieczęci ubrana w koronie odnalezionej w Poznaniu na monstrancyi w kościele Bożego Ciała, przedstawia się królowa Jadwiga na illustracyi.

Na skrzydle szafiastego ołtarza w katedrze na Wawelu miała być namalowaną Jadwiga wiernie, o czem mówią wizytacye biskupie, lecz ołtarz ten zastąpiono w przeszłym wieku nowym, marmurowym w stylu rokoko. Ślad jakiś prawdopodobieństwa postaci królowej Jadwigi napotyka się też na drzeworycie z obrazu wotywnego, jaki istniał przy grobowcu Władysława Jagiełły i znanym jest pod tytułem: Typus fundationis Academiae Cracoviensis.

Dział ekonomiczny.

ROLNICTWO, HANDEL, PRZEMYSŁ.

Zadania przemysłu.

Cokolwiek w swoim czasie mówiono i dotychczas jeszcze się mówi o krzewieniu materyalistycznych, mieszczańskich ideałów w społeczeństwie przez zachęcanie do tak zwanej „pracy organicznej“, to nie ulega wszakże wątpliwości, że w życiu społeczeństw i narodów jest ona jednym z podstawowych czynników, zapewniających trwałe warunki rozwoju, gdyż kładzie silny fundament samodzielności ekonomicznej, na którym dopiero wznieść się może okazały gmach *kultury*, w najpodnioślejszem znaczeniu tego słowa.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem wszelkie zakusy germanizacyjne a nawet wściekłość hakatystów rozbija się właśnie o tę odporność ekonomiczną ludności polskiej, która pod względem rozwoju przemysłu wytrzymuje zwycięzko rywalizacyę z niemczyzną.

Tu, jak widzimy, na widownię pracy narodowej występuje owo tak lekceważone dawnemi czasy mieszczaństwo, które przez swe wzmożenie się ekonomiczne wytrzymuje na swych silnych barkach napór wrogo usposobionych, opętanych ludożerstwem narodowościowem Teutonów.

Wiadomo zaś, że samodzielność ekonomiczna zasadza się na rozwoju rodzimego przemysłu i wyzwolenia go z pod obcej przewagi. Nie można więc lekceważyć zdobyczy przemysłu, nie można go spychać na podrzędne stanowisko w ogólnej pracy społeczno-narodowej, lecz przeciwnie, należy otoczyć go szczególniejszą opieką ogółu, nie tą wszakże zdawkową, protekcyjną, wyrażającą się w czczych frazesach i pustych obradach, nieprowadzących do praktycznego celu, lecz istotną a czynną, płynącą z uświadomienia doniosłych korzyści, jakie z tego ważnego działu pracy spłynąć muszą na rzecz ogólnego rozwoju kulturalnego.

Nie tak dawno myśl ta pięknie rozwiniętą została przez d-ra Tadeusza Ulatowskiego z Gniezna w odczycie, wygłoszonym w Poznaniu.

Prelegent, pragnąc wskazać program takiej samoobrony ekonomicznej, położył główny nacisk na zespolenie sił ku pracy zbiorowej, odpowiednio do potrzeb zorganizowanej, a skierowanej głównie do rozbudzenia życia przemysłowego w miejscowościach najbardziej pogrążonych jeszcze w ciemnocie i ospałości ekonomicznej.

Nie dość bowiem, że tworzą się wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, powołane częstokroć do życia przez Niemców i niemieckie kapitały, lecz potrzeba, żeby całe Poznańskie pokryte zostało siecią przemysłową, żeby ludność utyskująca na brak zarobków znaleźć je mogła w rozrzuconych po ziemi naszej oazach przemysłowych.

Niestety jednak, myśl o stworzeniu i spotęgowaniu takiej energii ekonomicznej niedojrzała jeszcze. Wielki przemysł o to się nie troszczy, dbając jedynie o dywidendowe względy, bez poczuwania się do jakichkolwiek obowiązków przyłożenia ręki do wzmożenia ogólnego dobra kraju.

Ogół zaś, chociaż potrzebę tę już uświadomił, to wszakże zbyt mało jest

wyrobionym, by mógł podjąć na własną rękę zabiegi tego rodzaju, ogląda się przeto na instytucye państwowe, które jakkolwiek powołane zostały w tym celu do życia, to wszakże z konieczności ograniczać muszą swoją działalność do roli organów pomocniczo-wykonawczych, wyczekujących na inicyatywę z zewnątrz.

Tym sposobem wytwarza się błędne koło wzajemnych wyczekiwań, wzajemnego oglądania się na inicyatywę, a rzecz sama nie posuwa się naprzód. I tak się dzieje niestety w wielu dziedzinach pracy, w których jedni oglądają się na drugich i nic nie czynią.

A tymczasem ze wszystkich stron dają się słyszeć skargi i utyskiwania: rolnictwo upada, wychodźtwo się wzmaga, gdyż ludność miejscowa z głodu przymierać musi dla braku korzystniejszych źródeł zarobkowych.

Oto opłakane zaiste położenie, w którem rozwój ekonomiczny nie wyszedł dotąd z pieluch niemowlęctwa.

Nie potrzeba dowodzić chyba, że w tych warunkach jedyny ratunek jest w wytężeniu wszystkich sił i w zbiorowem podjęciu zabiegów w celu podniesienia rzemiosł, przemysłu i handlu, które to działy pracy ekonomicznej, zrównoważyć by mogły straty, wynikające z upadku rolnictwa. Tymczasem w tym kierunku nic się nie czyni, a dotychczasowe usiłowania nie wychodzą z zakresu projektów i obrad, bez żadnych pozytywnych wniosków i postanowień, któreby mogły być w czyn wprowadzone.

Jakże inaczej się dzieje pod tym względem, u innych narodów, u Niemców np. Dość zwrócić uwagę na rozwój przemysłu niemieckiego, aby przyznać, że pominąwszy pomoc i opiekę rządu, jest on po największej części wynikiem dobrze prowadzonej, świadomej celu swego, silnej, mającej poważny głos i znaczne w państwie niemieckiem wpływy, organizacyi przeróżnych związków przemysłowych i stowarzyszeń zawodowych. Występują one nietylko w obronie wspólnych interesów ekonomicznych, ale zajmują się także gorliwie pielęgnowaniem i krzewieniem oświaty i wykształcenia fachowego.

O pożytku, jaki płynie z tej zbiorowej pracy świadomej swych celów, wiedzą dobrze nasi przemysłowcy, mimo to wszakże nie czynią nic, albo prawie nic, aby krzyczące te różnice jeśli już niewyrównać to zmniejszyć przynajmniej.

Cóż bowiem wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe uczyniły dotąd dla wzbudzenia energii przemysłowej w kraju? Jakiemi ofiarami stałemi lub jednorazowemi przynajmniej na cele powyższe mogą się pochwalić przemysłowcy? Czy zakładają szkoły fachowe? Czy wysyłają swych pracowników na naukę za granicę? Czy wpływają na rozwój sztuki, stósowanej do przemysłu?..

Oto pytania, na które przyszłość chyba odpowie! *N.*

O stolarstwie artystycznem i jego nowoczesnych zadaniach.

Napisał
T. Filipowicz.

IV.

Dla poznania najdawniejszej historyi stolarstwa przytaczamy n. p. krzesła znalezione w grobach starych Egipcyan. Widzimy tam symbole w ukształtowaniu mebli, łapy zwierzęce i t. p. Oglądać to można w muzeum Berlińskiem, w oddziale Egipskim.

Na wazach starożytnych tak zwanych Etruskich widzimy rysunki krzeseł i skrzyń greckich — a w nich już *prawidło celowości* — w krzesłach oparcie tylne zastosowane do plec, aby wygodnie wypocząć.

U Rzymian spostrzegamy dostosowanie się do materyału, nauczyć się od nich można, — jak materyały różnorodnie a każdy odpowiednio obrabiali, inaczej drzewo, inaczej bronz, inaczej kamień. Widzimy wdzięczne motywy w bronzie, wyroby bronzowe wysmukłe i eleganckie, w przeciwstawieniu do cięższej, sztywniejszej roboty w kamieniu.

Średniowieczne meble kościelne z czasów od r. 1400—1500 są bardzo piękne. Szafy zakrystyjne, stale w swej wspaniałej architektonicznej budowie z ornamentyką i plastyką wytworną n. p. stale kościelne w Ulm. Mimo wspaniałej budowy i ozdób — u góry baldachim i t. d. — ławy t. j. siedzenia są praktyczne, poręcze wygodne.

Części służące wygodzie nie dekorowane, za to ozdoby *skoncentrowane* w górze i gdzie ustaje *cel* użytku.

Meble północne niemieckie różnią się zasadniczo od południowych.

Konstrukcya północnych polegała na tak zwanem ciesielskiem rusztowaniu. Meble północy, a więc szafy, bufety i t. d. w epoce od 1300—1400 składają się ze słupków bocznych i środkowych, połączonych beleczkami tworzącemi jakoby ramę; płaszczyzny zaś, jak drzwi, są bardzo małe, najważniejszą rzeczą *nie:* wypełnienia czyli wnęki, ale rusztowanie. Ornamenty wykonywano w płaskorzeźbie, częścią w wysokorzeźbie; materyałem było drzewo *twarde*, dębina, *na południu miękkie* gatunki drzewa.

Na południu Niemiec, szczególniej w Tyrolu charakterystyczną jest malowniczość.

Budowa *deskowa*, *płaszczyznowa* (a nie beleczkowa) drzwi bardzo wielkie, dekoracya w charakterze deskowym, a więc wykładanie intarzyą.

Wspaniała sztuka ozdób płaszczyznowych „intarzyą“ pochodzi z czasów renesansu. Rozróżniamy dwa rodzaje ozdób. 1) ozdoby płaszczyznowe: marketerya, intarzya, fornierowanie robią wrażenie płaskie a nie wypukłe, 2) dekoracya plastyczna czyli rzeźba.

Ponieważ styl deskowy więcej godny naśladowania niż słupkowy — w czasach dzisiejszych — snycerstwo wobec tego stylu w trudnem jest położeniu, bo musi wyłącznie pracować w płaskorzeźbie, a nie w wypukłorzeźbie — uwzględniać przedewszystkiem rysunek *konturów.* Snycerz nowoczesny powinien się do tych warunków dostosować.

Ważną też kwestyą stosunek stolarstwa do architektonicznych form ornamentyki.

Starożytni nie używali ozdób architektonicznych.

W stylu rokoko widzimy meble pełne wdzięku i energicznych kontrastów *bez* środków architektonicznych. Styl ten osięgnął dokładną harmonią budowy. Jest to także dążeniem nowoczesnem, aby bez wszelkich ozdób wywołać grę linii i stworzyć organizm tektoniczny.

W tem powinni architekci dopomódz.

Renesans francuzki ma intarzyą jako plastykę płaszczyznową.

Renesans włoski zręczne rozczłonkowanie czyli proporcye.

Jako przykład wzorowej budowy włoskiego renesansu jest bufet w muzeum Berlińskiem. Ponieważ meble kościelne stały w związku z architekturą, dlatego tłomaczy się architektoniczną ich budowę i ornamentykę. Gdzie nie było potrzeby, umiał się Włoch wyswobodzić z pod zależności architektury n. p. w szafach, w skrzyniach (Truhen); niektóre z nich są prawdziwemi dziełami sztuki.

Jak styl północy tak i wczesny renesans francuzki był dalszym ciągiem gotyki, polegał także na rusztowaniu słupkowem.

Renesans francuski wczesny ma pojedyńcze, skromne gzemsy i profile.

W renesansie francuskim późniejszym uderza śmiałość w przeprowadzeniu gzemsów, trafność w zestrojeniu wyskakujących i płaskich linii, aby w uplastycznieniu silniejsze wydobyć akcenty.

Podobnie i stolarstwo flamandzkie: w szafach n. p. flamandzkich widać konsekwencyą i harmonią we wszystkich akcentach plastycznych.

Styl *baroko* powstał z renesansu. Kształty są silniejsze, pełniejsze.

Styl ten panuje we Włoszech od r. 1650, w Niemczech około 1700. Szafy baroko n. p. gdańskie, meble holenderskie i inne.

Od tego silnego, wydatnego a zara-

zem malowniczego baroko odróżnia się barok paryski około r. 1670.

Wspomnieć jeszcze należy o działalności Boule'a w Paryżu, który mniej więcej około r. 1705 wyrabiał szafy wykładane intarzyą, on też pierwszy zaprowadził okucia bronzem na profilach mebli, które dodawały im trwałości.

Mistrzowie stylu Ludwika XIV. 1715 byli to klasycy surowi, wszystko u nich było ścisłe, surowe, zupełnie przeciwne stylowi niemieckiego baroku.

Z tego stylu wytworzył się styl francuski *rokoko.* Jest on skromniejszy od niemieckiego rokoko. Niemiecki jest tylko naśladowaniem francuskiego. Niesymetryczność jest właściwością niemieckiego rokoko. Przejęli go Niemcy późno a rychło odrzucili.

Rokoko niemiecki ma większy związek z barokiem, odznacza się większą siłą i masywnością.

Duch ściśle francuzkiej elegancyi czyni styl francuski rokoko tak *pełnym* wdzięku. Sposób konstrukcyi jest jasny, umiarkowany. Linie są miękkie. Nogi mają okucia z bronzu, a na brzegach na profilach mebli pancerz ochronny, całość niezmiernie konsekwentna.

Komody robią wrażenie piękne i harmonijne. Bogate w ruchu meble z czasów Fryderyka Wgo w Sans Souci. Najwspanialsze z nich mistrza Knobelsdorfa, który nigdy nie przekracza granic wdzięku i techniki, wielka też w jego dziełach rytmiczność.

Przykładem śmiałego rozmachu *linii* są francuskie *konsole*; choć rozmach w nich tak potężny, jednak konsekwentny, jednolity, lekki i elegancki. Jest w nich rys wielkich *linii* znamionujący sztukę *prawdziwą.* U nas pracuje się jeszcze zawsze małostkowo, a rzemieślnik powinien poznać się z wielkimi rysami sztuki prawdziwej.

Ramy rokoko oglądać można w Dreźnie. Prócz ruchu linii widać w nich także akcenty wielkie.

We Francyi zastąpił rokoko smak *inny.* Już w r. 1750 pojawiła się reakcya i przejście do stylu Ludwika XVI. Styl Ludwika XVI. oswobodził się z wszelkich wyszukanych form, a ujawnił proste, klasyczne; z wielką on stanowczością zaczerpnął cech klasyczności. Roboty snycerskie tworzyły skromne a eleganckie girlandy.

Meble wyściełane pokrywano gobelinami, były one wygodne w użyciu.

Po stylu Ludwika XVI. nastąpił styl warkoczowy: „Zopf", cechą jego, że formy sztuki szpeci nadmiarem dodatków bez gustu — należy on jeszcze do 18 w. — ale trwa krótko — i przechodzi w styl Napoleoński tak zwany Empire.

Styl ten chyli się już ku upadkowi; *komody* n. p. w stylu *Empire* mają jeszcze okucia z bronzu, ale okucia te nie mają już konsekwencyi. Empire mało godzien naśladowania, jest on krokiem cofającym się wstecz od stylu Ludwika XVI.

Każda epoka spełniła warunki zasadnicze uwzględniając *celowość, zastosowanie do materyału, technikę i ideał kształtów.*

To powinny ziścić i nasze czasy.

Stolarstwo meblowe niemieckie dopiero przez oparcie o renesans niemiecki nabrało właściwej siły. Oswobodzono je z linii łukowych, używanych przed 1870 r. i poczęto przeważnie pracować w liniach prostych uwzględniając kierunek wzrostu drzewa i tak osiągnięto stałą grupę kształtu.

Ujemne strony renesansu były te, że formy architektoniczne pociągały ów (fałszywy efekt fasad itd.) do wybryków. Podobnie ornamentyka przechodziła w przesadę.

Dodatnią stroną renesansu było, że dawał podstawy pewne.

Styl rokoko mniej się nadaje jako podstawa studyum stolarskiego. Meble w tym stylu za luksusowe; nie podobna ich naśladować ani ich rzeźb, ani opancerzenia bronzem.

Formy stylu Ludwika XVI nie są również tem, czego potrzeba obecnej sztuce, ani też formy stylu „Zopf", ani „Empire."

W ostatnich latach wszedł w modę, w Niemczech kierunek gotycki. Gotyka tyrolska z swą deskową konstrukcyą ma motywy bardzo piękne, ale nie wystarczające do gruntownego zreformowania stolarki od podwalin do ornamentyki.

Podobnie i naśladownictwo angielszczyzny nie wystarczy.

Zbadajmy ten napływ stylu angielskiego. Zkąd poszło, że formy angielskie stały się w Niemczech modnemi? Pierwszą przyczyną była żądza nowości. Moda zawsze coś nowego chce tworzyć, a publiczność każdą nowość choćby najbanalniejszą rozchwytuje. Publiczność mniej tu winić należy, bo głównie zabiegi kupieckie polecania jej zawsze czegoś nowego wytwarzają tę chorobę nowości. Po drugie *zasady* przemysłu angielskiego zjednały sobie uznanie. Ruch angielski ma bardzo wielką doniosłość. Podczas kiedy Niemcy stare naśladowali formy, przystąpili artyści angielscy do przemysłowców a nie zadawalając się staremi formami, poczęli myśleć o nowych. Artyści jak William Morris i wyżej już nazwani torowali drogę słowem i rysunkiem.

Ciąg dalszy nastąpi.

Czego się obecnie wymaga od kupca?

Czasy zmieniają się bardzo. Można rzeczywiście powiedzieć, że „stare zapada się, i nowe życie kwitnie na ruinach," a chociaż nie widzimy zbyt wiele ruin w około nas, to jednak doszliśmy do czasu, w którym reformacya na wszystkich polach ludzkiego życia stała się konieczną. To samo też uznali ci, którzy w kwestyach kupieckich ważny mają głos. Ruch na wyższych szkołach handlowych nie jest modną chorobą, znikającą równie prędko, jak się pojawiła, jest to raczej wynik poważnych. Całe urządzenie kursów szkół handlowych daje rękojmię, że osięgnienie upragnionego celu nie staje się utopią.

Ale był też już najwyższy czas. aby na raz utworzonej drodze iść energicznie naprzód, bo nikt nie może zaprzeczyć. że z wykształceniem naszych młodszych i najmłodszych kupców, dosyć źle stoi, jeżeli o jakim rodzaju wykształcenia wogóle jeszcze mówić można.

Przedewszystkiem trzeba się nieco gruntowniej zająć określeniem pojęcia „kupiec." Któż się w dzisiejszych czasach nie mieni być kupcem! Każdy z najskromniejszem wykształceniem buchhalter, każdy makler, każdy uczeń sprzedający w najmniejszych składach cygara — wszystko to „kupcy." Z tego powodu należy się obawiać, że stanowi kupieckiemu grozi wielki dyskredyt, a w żadnym innym stanie nie jest się zmuszonym do robienia tylu różnic, jak właśnie w kupieckim.

Zważywszy pierwszy rozwój przyszłego „kupca" dochodzimy do przekonania, że w pierwszej linii są rodzice odpowiedzialnymi za „uczącego się." Bo już podczas pierwszych lat szkólnych, jeżeli łacina lub greckie sprawia chłopcu trudności, mówią mu rodzice: „Po co masz wszystkiego tego uczyć się, będziesz „tylko kupcem." Zdarza się też, że troskliwy ojciec zapowiada z góry: „Mój syn ma złożyć egzamin na jednorocznego, a potem odbiorę go z gimnazyum i wykieruję na kupca tylko. Chłopiec nie ma zdolności do nauki." Tym sposobem pracują zaślepieni rodzice systematycznie nad tem, aby synom zupełnie fałszywe dać pojęcie o przyszłym ich zawodzie. Przyszły kupiec nabiera już zawczasu przekonania, że stan kupiecki, to coś podrzędnego, i niejeden gimnazyasta patrzy z pewną pogardą na tego kolegę, który zdecydował się zostać „tylko" kupcem!

Ale zkąd pochodzą takie przewrotne przekonania i zapatrywania? Rodzice mają zapewne największą część winy, i można przypuszczać śmiało, że tacy rodzice uczyli się w młodości także bardzo mało. Z osięgnieniem służby jednorocznej niczego się jeszcze nie osięgnęło, bo to, czego się młodzież uczy do sekundy wyższej, jest często bardzo niedostatecznem i bywa w późniejszem życiu łatwo zapomnianem, chyba, że młodzież pamięta o tem, że repetitio est mater studiorum." Mianowicie w wielkiem mieście ma młody kupiec najlepszą sposobność do zapomnienia tego, czego się nauczył. Młodzieńcy nie mają teraz żadnej już ochoty do studjowania, i radzi, że raz już opuścili ławy szkólne, rzucają książki naukowe z przyjemością

w kąt. Teraz przecież są wolnymi, zowią się „wolontaryuszami“, bo „uczeń“ nie brzmi ładnie, i otrzymują od szefa większe lub mniejsze kieszonkowe, które zamieniają naturalnie na eleganckie krawaty i rękawiczki.

Takim jest dzisiejszy „wolontaryusz.“ — Nie przeczymy wszakże wcale, że jest dużo młodych ludzi o silnym charakterze, którzy umieją pieniądze oszczędzać, ale — czarnych kruków zawsze jest więcej, niż białych.

Niesłusznie też postępuje taki szef, który obiecuje uczniom wysokie wynagrodzenie, w celu zwabienia ich do siebie, albo taki, który przyjmuje tylko uczni, będących już poprzednio na kilkoletniej praktyce. Jaka różnica z owemi dobremi, dawnemi czasami, które pod tym względem rzeczywiście były dobremi. Wówczas był układ każdy pomiędzy szefem a uczniem świętym i nienaruszonym. Spisany starannie i zapieczętowany, bywał chowanym troskliwie. Ojcowie dawali synom sposobność długoletniego przebywania za granicą i poznawania tamże kraju i handlu, zwyczajów i obyczajów obcych narodów i zbierania nauk i doświadczenia. Ale wówczas nie istniały jeszcze tak liczne a denerwujące rozrywki, nocne lokale balowe, kawiarnie i t. d., a dwuznaczne i niebezpieczne „znajomości“ nie należały do dobrego tonu pomiędzy młodzieżą. Dziś rzeczy się zmieniły, ale czy na korzyść — o tem chyba każdy wątpić musi!

Takie życie modne prowadzić można tylko kosztem dalszego kształcenia się. Czem zaś jest dziś układ pomiędzy pryncypałem a uczniem? W gruncie rzeczy — niczem. Kto chce, szuka sobie innego szefa, i nikt się tego nie wstydzi, bo mnóstwo innych postępuje tak samo.

Przygnębionemu obecnie położeniu stanu kupieckiego są też winne panujące w świecie stosunki.

Jeżeli młody kupiec zajmuje się szczerze swoim zawodem, to ma tyle do roboty, że na studya prywatne nie wiele mu zostaje czasu. Do sumiennej 10 godzinnej pracy potrzebuje ciało i duch przeciętnego człowieka spokoju i wypoczynku, nie można się więc dziwić, że wieczorem idzie młodzieniec na szklankę piwa, zamiast zamknąć się w swoim pokoju i zabrać się do nauki. Ale to się może zmienić. Po pierwszych dwóch latach ciężkiej i mozolnej pracy ma każdy młody kupiec więcej czasu, i wtedy powinien wynagrodzić sobie to, czego w tych dwóch latach niejako zaniedbać musiał. Bo dziś wymaga każdy, aby kupiec był nietylko dzielnym w swoim zawodzie, ale nadto powszechnie wykształconym człowiekiem. Skoro tak będzie rzeczywiście, to może będą ludzie innemi oczami patrzeć na stan kupiecki. Są niestety zawsze jeszcze pewne koła, które z zasady nie chcą uznać kupców za równych sobie pod względem towarzyskim; wznoszą się uporczywie po nad nich i uważają siebie za coś o wiele lepszego i wyższego. Wina jednak leży głównie po stronie kupców, ponieważ ludzie cenią, a przynajmniej cenić powinni ludzi nie podług ich stanowiska, tylko podług ich osobistej wartości. Że zaś wykształcenie bardzo w tym razie wielką odgrywa rolę, to jasne jak na dłoni.

Szkoły wyższe kupieckie podnoszą niezmiernie stan kupiecki, o tem wątpić nie można. Potrzeba tylko czasu i wytrwałości, aby po ukończeniu całodziennej pracy, zająć się jeszcze poważnemi naukami. Ale wytrwałość i chęć do nauki zwycięży łatwo wszelkie przeszkody.

A. K.

Drobne wiadomości.

Rolnictwo.

Wypowiedzenie dzierżawy. Co do wypowiedzenia stosunku dzierżawy (jeżeli nie chodzi o ściśle oznaczony czas) zastósować należy wszystkie prawne przepisy, jakie wogóle istnieją. Wyjątkowe jednak są przepisy tyczące się dzierżawy ziemi lub prawa. Wypowiedzenie dozwolonem jest tylko na koniec roku dzierżawy i to wtenczas nawet, jeżeli wypłata czynszu dzierżawy byłaby wyznaczoną na kilka tygodni lub miesięcy później. Rok dzierżawy zaczyna się z dniem objęcia dzierżawy. Wypowiedzenie może nastąpić najpóźniej w pierwszy dzień powszedni tego półrocza, z którego końcem ma się dzierżawa skończyć. Wszelkie inne termina wypowiedzenia, zawarte w kontrakcie, są naturalnie ważne.

Nie zapominać o bejcowaniu zboża do siewu rozczynem miedź. wytryolowym. Chcąc, aby bejcowanie ziarna zabezpieczyło zboże od rozmaitych chorób, zaraz, itp., trzeba ziarna, przeznaczone do siewu zamoczyć na 12—16 godzin w rozczyn miedź. wytryolowy (na 100 litr. wody 1 funt wytryolu-miedzi) i to tak, aby płyn stał na kilka cali ponad ziarnkami. Po spuszczeniu płynu nalać ziarna wapiennem mlekiem (na 100 kilogr. ziarn 100 litr. wody i 6 klg. gaszonego wapna). Mleko wapienne ma stać tylko 5 minut, w czasie których ziarna pilnie mięszać trzeba. Potem rozłożyć je do ususzenia.

Wielce prześladowanem, mianowicie na wsi, stworzeniem, jest nietoperz. Ludzie nie lubią go, a wstręt, jaki do niego czują, jest zupełnie nieuzasadniony, bo zwierzątko to jest bardzo użyteczne. Tępi ono mnóstwo szkodliwych owadów. Gdy ptaki, żywiące się owadami, śpią, wtedy zaczyna nietoperz polowanie na nocne szkodniki. Jeden nietoperz pożera w godzinie 10—12 chrabąszczy. Nie trzeba więc zabijać nietoperzy, które niewiele się mnożą. Samiczka rodzi co rok dwa młode, które z początku nieustannie przy sobie nosi. Szkody, jakie gospodarze i gospodynie wiejskie przypisują nietoperzom, wyrządzają zwykle myszy.

Przygotować się zawczasu na polowanie na chrabąszcze! Szczególnie młodzież szkólna powinna się tem zająć, a polowanie takie powinno trwać 4—5 lat, ponieważ plaga chrabąszczy powtarza się co 3—4 lata. Przy oraniu trzeba zbierać larwy zaraz za pługiem albo wypuszczać kury które wyzbierają je co do jednej.

Hodowla zwierząt.

Klapy mające zabezpieczać konia od przestraszenia się jakiegośkolwiekbądź przedmiotu są wtedy tylko użyteczne, jeżeli koń nosi je zawsze i nie przyzwyczaja się do swobodnego patrzenia. Odjąć koniowi klapy po pewnym przeciągu czasu, to zwierzę widzi nowe sobie przedmioty i lęka się byle czego, pozostaje zaś spokojnem, jeżeli od młodości przyzwyczajonem jest do patrzenia na wszystko. Klapy przeszkadzają właśnie w dokładnem rozpoznaniu przedmiotu i rozdrażniają konia jeszcze bardziej. Najlepiej więc nie używać ich wcale, bo oprócz wyżej wymienionych niekorzyści zapadają konie, noszące klapy, często na choroby oczu. Wierzchowce, które jak wiadomo, nigdy klap nie noszą, mają wzrok o wiele lepszy i oczy zdrowsze. Początkowo służyły owe klapy za ozdoby konia, malowano na nich herby, wkrótce jednak zaczęli mieszczanie i włościanie naśladować szlachtę i zwyczaj ten przechował się do naszych czasów, chociaż dziś już nikt tego za ozdobę nie uważa.

Spłaszczone kopyto jest u konia wielką, a zwykle nieuleczoną wadą. Podeszwa przy takim kopycie jest bardzo cienka i mocno ku dołowi sklepiona, wszelkie zaś, chociażby najmniejsze tłoczenia, sprawiają koniowi wielki ból. Konie mające płaskie kopyta, mogą być tylko na miękkiej ziemi używane, wada ta powstaje ztąd, jeżeli konie muszą chodzić dużo po mokrej ziemi, przyczem podeszwa rozmiękcza się stale. Zbyteczne wycięcie podeszwy bywa także często przyczyną spłaszczenia się kopyta. Podkuwając takie konie, trzeba pod żelazo podłożyć podeszwę skórzaną lub filcową.

Odsadzanie prosiąt. Prosięta odsadzić najlepiej po 6—8 tygodniach. Najpierw mocniejsze — słabsze zostawić jeszcze tydzień. Aby maciora zgubiła do reszty mleko, należy jej dawać po odsadzeniu mniej żywności przez tydzień i wypuszczać ją na pole. Odsadzonym prosiętom dawać krowiego mleka, szrotu jęczmiennego i owsianego i gotowanych kartofli. Po 3—4 tygodniach mogą już jeść odpadki z kuchni oraz z mleczarni i trochę zielonej paszy.

Hodowla kóz nie jest u nas do tego stopnia rozwiniętą jak właściwie być powinno. Zważywszy, że koza kosztuje tylko piątą część tego, ile kosztuje krowa, i że wyżywienie krowy kosztuje przynajmniej 6 razy więcej, to nie można pojąć, dlaczego tak mało ludzi posiada kozy. Oprócz tego jest koza o wiele mniej podległą chorobom, a mianowicie gruźlicy. Niektórzy twierdzą, że kozie mleko źle smakuje, że ma wstrętny zapach itd., ale wszystko to zależy od paszy. Kolczaste rośliny i kora drzew nadaje mleku przykry smak, skoro jednak koza dostaje dobrą paszę, to mleko jej smakuje bardzo dobrze i jest tak słodkie, jak mleko krowie.



Drób.

Aby kury, zamknięte w kurniku lub ogrodzeniu miały dosyć ruchu, trzeba im za podściółkę dawać posiekanej słomy, sieczki albo jeszcze lepiej luźnych liści z lasu i na to sypać 3—4 razy dziennie jagieł, pszenicy itd., poczem wszystko razem lekko pomieszać. Kury, które nie zadawają sobie pracy wyszukiwania ziarnek, nie znoszą dużo jaj. Drób trzeba zawsze utrzymywać w ruchu, już dla tego samego, aby zapobiedz szkodliwemu przyzwyczajaniu się do wyrywania sobie piór.

Mięszaną żywność dawać ptakom dopiero około godziny 10 przed południem. Rano służy im lepiej lekkie pożywienie, pszenica, owies lub żyto. Nigdy jednak nie dawać im popsutych ziarn lub gorszych dlatego, że to tańsze. Sypane ziarnka rano mają

pobudzać kury do grzebania w ziemi, podczas kiedy, jeżeli dostaną odrazu ziarnka pomieszane z zieleniną, są aż do południa ociężałe i leniwe. Wszelkie preparaty mające na celu obfite znoszenie jaj, nic nie są warte.

Pielęgnowanie kurcząt w pierwszych tygodniach nie może być dosyć staranuem. W pierwszych 24 godzinach nie trzeba im dawać żadnego jedzenia, potem jednak co dwie godziny dawać utarte, twardo ugotowane żółtko i utartą skórkę chleba, pomieszaną z odrobiną mleka. Później można im dać trochę zieleniny, rzerzuchy, listków kapusty itd. Zieleninę włożyć w siatkę, aby kurczęta dowoli dzióbać mogły listki.

Kurniki powinny być zawsze starannie przewietrzone, nic tak bowiem drobiu nie szkodzi, jak wilgotne i duszne powietrze. Jeżeli kury są we dnie na podwórzu, to kurniki muszą być na rozcież otwarte.

Ptaszki pokojowe.



Czy nasiona, przeznaczone na żywność dla ptaszków mają być namoczone czy nie? Przedewszystkiem należy się zastosować przy żywieniu ptaszków pokojowych do ich naturalnego sposobu życia. Im więcej życie w klatce jest do tego podobnem, tem zdrowsze i weselsze są ptaszki. Co do żywności, to dawać im trzeba to, do czego o każdej porze roku są przyzwyczajone, starając się o rozmaitość w nasionkach, listkach i t. p. Na wiosnę i latem są wszelkie ziarnka rozmiękczone rosą i deszczem, a tem samem strawniejsze, trzeba więc moczyć je, aby napęczniały i rozmiękły nieco. Zimą za to można im dawać nasiona suche.

Pszczoły.



Przeprowadzki. Zdarza się często, że hodowcy pszczół, mianowicie nauczyciele wiejscy, są zimą przesadzani na inne miejsca, i wskutek tego bywają zmuszeni do sprzedawania za tanie pieniądze pszczół. Obawiają się, aby przenoszenie ich w zimie nie szkodziło im. Ale przeprowadzka na małą odległość, mianowicie jeżeli kószki lub ule można transportować za pomocą noszów, nie jest wcale niebezpieczną, trzeba tylko zachować pewną ostrożność. Przedewszystkiem więc zamknąć otwory, postawić kószki na nosze, i przenieść je na nową siedzibę. Jest to mozolna praca, ale czegoż nie uczyni bartnik dla swoich pszczół? Skoro kószki staną na miejscu przeznaczonem, włożyć rozgrzaną poprzednio już cegłę do wnętrza, po za mieszkaniem pszczół. Ponieważ rozdrażnione przenoszeniem pszczoły rozchodzą się po całej kószce i z powodu silnego zimna nie mogą się tak łatwo zgromadzić w mieszkaniu, przeto trzeba kószkę ogrzać tak, aby pszczoły zbiły się znowu w kłęb i nie zmarzły pojedyńczo. Przeprowadzka w ten sposób urządzona nic im nie zaszkodzi.

Drzewa owocowe.

Drzewa owocowe powinny być co trzy lata przynajmniej mierzwione, ziemia zaś w około musi być zawsze luźna i pulchna. Wystarcza więc zupełnie, jeżeli pod drzewami znajdują się krzaki agrestu, malin lub porzeczek (świętojanek). Nawet warzywa mogą być sadzone, naturalnie takie, którym cień nie przeszkadza w rozwijaniu się. Trawników natomiast nie trzeba nigdy zakładać, deszcz bowiem nie może się wtedy przedostać aż do korzeni drzewa, wstrzymany gęstemi korzonkami trawy. Jeżeli drzewo owocowe stoi na łące lub na trawniku, to trawę należy skasować tak daleko, jak sięga korona drzewa.

Słabe drzewa. Jeżeli drzewa owocowe na wiosnę wolno wypuszczają i nie chcą się pokryć zielenią, to dowód, że w ziemi za mało jest żelaza. Żelazo przyczynia się, jak wiadomo, do wytworzenia zieleni roślin (chlorophylls), dlatego potrzebuje każda zielona roślina cokolwiek żelaza. Znaczenie mierzwienia żelazem przeceniano dawniej, teraz przekonano się, że ziemia rzadko kiedy ma za mało zawartości żelaza. Skoro jednak tak jest, to można dopomódz drzewom, dając im żelaznego witryolu, mieszaniny kwasu siarczanego i żelaza. Na 100 litr. wody wziąść $2^1/_2$ kilgr. żel. witryolu i podlać każde drzewo 2 konewkami tego płynu. Najlepiej zabrać się do tego na wiosnę.

Rozsadzanie flanc truskawkowych powinno się teraz odbywać. Uszkodzone flance zimnem trzeba zastąpić nowemi. Przed rozkwitnięciem polać nawozem z wierzchu (nawóz z obory i trochę kainitu). Ziemia musi być polużniona, jeżeli powietrze suche, nie szczędzić podlewania. Zagony pleć często i przycinać zbyt wybujałe młode pędy.

Warzywo.

Racyonalna uprawa warzywa polega głównie na tem, aby z jaknajmniejszego kawałka ziemi osiągnąć jaknajwiększe korzyści. W lecie nie powinien żaden zagon być próżnym, ani na chwilę. Skoro jedno warzywo zebrane, już musi być drugie flancowane lub siane, ale takie postępowanie wymaga bardzo dobrej ziemi. Oprócz tego trzeba uważać, które warzywa znoszą świeży nawóz, a które nie. Stary, suchy nawóz nadaje się pod melony, ogórki, pory, szpinak, sałatę i wszelkiego rodzaju kapusty. Swieżego nawozu nie znoszą: marchew, buraki, cebula, groch i szablak. Nawóz stajenny wywieść najlepiej już w jesieni na zagony; śnieg i deszcz połączą go z ziemią, która na wiosnę staje się pulchniejszą i żyzną.

Ogórki wymagają dobrej ziemi i starego, suchego nawozu. Płynny nawóz lub fermentujące nawozy sztuczne nie są dobre. Nadto muszą mieć ogórki zaciszne miejsce, i jeżeli powietrze suche, trzeba je dużo podlewać. Flancowanie na zagony nie powinno się nigdy odbywać przed końcem Maja.

Cebula potrzebuje ciężkiej, nieco wilgotnej ziemi, mianowicie cokolwiek pochyłej ku północy lub zachodowi. Przedewszystkiem jednak chodzi o wilgoć, ponieważ susza nadzwyczaj jest zgubną dla rozwoju cebuli.

Kwiaty.

Sztuczny nawóz pod kwiaty w doniczkach. W ostatnich czasach polecają ogrodowi mnóstwo rodzai sztucznych nawozów, aby kwiaty doniczkowe rosły i rozwijały się należycie. Najlepszym jednak zdaje się być środek następujący: pomieszać saletrę, siarczan magnesium, siarczan żelaza i siarczan wapna z każdego 5 gr., dodać 100 gr. sproszkowanego gipsu, i dolawszy trochę wody, urobić to na gęste ciasto, którem wyłożyć na wewnątrz doniczkę na 5 milim. grubą warstwą. Gdy uschnie zupełnie, nasypać ziemi i wsadzić roślinę, która mając pod dostatkiem środków pożywnych, rośnie i rozwija się znakomicie.

Przemysł.

Zagrożenie kredytu obmową. Kto rozszerza kłamliwe plotki, grożące kredytowi kogoś innego, lub szkodzące pod innym względem jego rzemiosłu itp., ten jest zobowiązanym do wynagrodzenia mu powstałej ztąd szkody, nietylko wtenczas, jeżeli wiedział, że plotki nie zgadzały się z prawdą, ale i wtenczas nawet, jeżeli nie znając prawdy, nie starał się przekonać o słuszności obmowy. Przepis ten jednak nie jest zastósowanym w tym przypadku, w którym ten, który plotkę wypowiedział, lub ten, który jej słuchał, miał w niej uzasadniony interes, i jeżeli wypowiadający plotkę prawdy nie znał. Ten przepis broni mianowicie tak zwane biura informacyjne, których dyrektor lub urzędnicy wtenczas tylko są zobowiązani do wynagrodzenia szkody, jeżeli umyślnie dali informacye fałszywe, szkodzące interesom.

Sztuczny marmur wyrabia pewna szwedzka fabryka, a wyrób ten jest łudząco podobnym do marmuru prawdziwego. Masa ta, lana na ogromnych płytach szklanych, zostaje natychmiast polerowaną i jest bardzo prędko gotową, można zaś ją piłować, krajać, heblować itp. Dotychczas jest marmur ten dosyć jeszcze drogi, dla tego używają go fabrykanci do lepszych mebli i droższych przedmiotów.

Kołownictwo.



Ubranie dla kołowniczek. Na 1900 nie przyniosła moda wielkiej zmiany w ubraniu kołowniczek. Spódnica angielska, w tyle rozcięta, w przodku w całości, najwięcej ma powodzenia, materye zaś najlepsze są: szewiot granatowy na krótkie, szary zaś na dalsze wycieczki. Stanik ma zwykle formę kabacika bolero — dla pań szczupłych wygląda ładnie kaftanek krótszy niż stanik, dla otyłych dłuższy. Ozdobą kaftanka są wielkie, ciemne guziki z perłowej macicy. Bluzki kolorowe są również modne, tak samo jak i koszulki i joppy, na wzór jopp męzkich. Zamiast wysokiego kołnierzyka białego, noszą panie teraz wielkie kołnierze, miękkie, wykładane, związane jedwabną krawatką. Co do kapeluszy, to dla pań starszych nadawają się najlepiej strzeleckie, dla młodych rozmaite, ale o ile możności jak najmniej garnirowane. Trzewiki brązowe lub czarne — na małe, zgrabne nóżki dobre są żółte, zresztą najlepsze czarne, to samo pończochy, kolorowe bowiem zdradzają zły gust. Rękawiczki „dogskin“ są najstósowniejsze, ale drogie, bo niszczą się prędko, praktyczniejsze niciane, z których tuzin kosztuje 2,40. Jedną parę takich rękawiczek można użyć 3—4 razy. Klejnotów nie powinny panie brać na wycieczki, najwyżej mogą spiąć krawatkę ładną, złotą szpilką.

Nietylko za konie wyścigowe płacą ludzie ogromne sumy, ale nawet i za automobile. Pewien Paryżanin kupił automobilę za 3000 dolarów, zwyciężył na kilku wyścigach, i sprzedał ją jakiemuś bogatemu Amerykanowi za 13,200 dolarów. *W. S.*

Dział kobiecy.

W jaki sposób pozyskać piękną figurę.



Pytaniem tem zajmowała się pewnie niejedna już kobieta, niewyposażona wszystkiemi wdziękami Afrodyty, i nie doszła do pomyślnych rezultatów. Młode panny pragną chętnie usunąć zbyteczną szczupłość, aby nie potrzebowały na balu ukazywać się zawsze w tiulach i krepach po same uszy, i nosić na chudych rękach nieskończenie długich rękawiczek. I jak wiele panien patrzy codziennie w lustrze na swoją zbyt chudą, kościstą postać i myśli smutnie: „Ach, że też to nie ma sposobu na uzyskanie pełnej pięknej figury.“ Ale mylą się one. Jest sposób na to, łatwiejszy nawet, niż przypuszczają, bo dziś nie istnieje prawie nic, czegoby osięgnąć nie można. Każda kobieta, która jest zmuszoną ukrywać spiczaste ramiona i chudą szyję pod pufami i marszczonemi koronkami, może, posiadając trochę energii i wytrwałości, pozyskać w krótkim stosunkowo czasie, gorąco upragnioną pełność kształtów. I niczego więcej nie potrzebuje dla nabrania postaci podobnej do idealnej postaci bogini, pochodzącej z pianki morskiej, jak dwóch par hantli, lżejszych i cięższych, i wykonywać codziennie przez pewien czas potrzebne ćwiczenia. Hantle, których dostać można w każdym składzie żelaza, muszą ważyć stosownie do sił kandydatki do piękności 3—5 kil. Ćwiczenia powinny się odbywać regularnie dwa razy dziennie, rano i wieczorem, inaczej nie można osięgnąć pomyślnego rezultatu.

W pierwszych tygodniach będzie się każdej z pań zdawało, że ma kości połamane, ale nie powinno jej to wstrzymać od wykonania przepisanego pensum z największą sumiennością. Ćwiczenie musi kompletnie zmęczyć muszkuł, który ma pracować, inaczej wszelkie usiłowania pozostaną bez skutku. Do zupełnej bezsilności nie trzeba naturalnie doprowadzać, ale nie trzeba też nigdy jeden dzień pauzować. Ćwiczenia te należy wykonywać z żelazną wytrwałością codziennie.

Każda piękna, a zbyt szczupła kobieta powinna się zastósować do następujących przepisów:

1. Jeżeli ramiona począwszy od łokcia są zanadto cienkie, to stanąć wyprostowana przed lustrem, spuścić ręce w ten sposób, aby łokcie przytykały ściśle do bioder, i palce rąk, trzymające hantle, zwrócone były naprzód. Podczas kiedy ramiona muszą pozostać bez ruchu, podnosić sztywno i wolno pięści aż do wysokości ramion, i spuszczać je tak samo. Ćwiczenia te robią się lekkiemi hantlami 20 razy, ciężkiemi 3 razy, rano i na wieczór.

2. Jeżeli ręka od łokcia do dłoni jest za chudą, należy usiąść wygodnie przy stole, położyć rękę aż do łokcia mocno na płytę i to tak, aby wierzchnia strona ręki zwróconą była do góry. Wtedy pięść, trzymającą hantel podnosić i o ile możności przechylać w tył, i wolno spuszczać. Ćwiczenia takie powtarzać lekkim hantlem 10, cięższym 2 razy, rano i wieczorem.

3. Jeżeli ramiona są więcej spiczaste, niż okrągłe, i jeżeli poniżej szyji tworzą się t. zw. pieprzniczki i solniczki, to trzeba rozmaite ćwiczenia wykonywać, aby zaradzić złemu. Najlepszym jest na to sposób następujący: stanąć, wyprostować się i spuścić ręce tak, aby palce zamkniętej pięści do tyłu były zwrócone, potem podnieść je poziomo w górę, aby z ramionami jednę tworzyły linią i wolno znowu spuścić. Lekkiemi hantlami 15, ciężkiemi 5 razy.

W końcu, w celu nabrania tuszy wykonać następne ćwiczenie: położyć deskę od prasowania na dwa krzesła, i na tak sfabrykowanej, twardej kanapce rozciągnąć się na wznak, pokładając pod głowę poduszkę. Teraz wziąść hantle i sztywno spuścić ręce aż ku ziemi, potem zawsze sztywnemi rękami podnieść je, ile możności, wolno w górę i tak samo spuszczać. Ćwiczenie to, bardzo zdrowe, powtarzać 15—20 razy z rzędu.

Pomiędzy temi wszystkiemi ćwiczeniami trzeba naturalnie pauzować i odpoczywać, mianowicie z początku nie należy się nadwyrężać, a chcąc się o pomyślnym rezultacie przekonać, trzeba przed zaczęciem „kursu“ zmierzyć objętość ramion. Po 3—4 miesiącach można już zauważyć znaczną różnicę, po upływie zaś roku będą wszelkie życzenia pod tym względem spełnione.

Myphi.

Zycie kobiet w Tanga.

Czarni mieszkańcy naszej ziemi mało nam są znani, a mniej jeszcze czarne mieszkanki. Mylnem jednak jest zdanie, że zwyczaje ich i cały sposób życia żadnego w nas nie mogą budzić zajęcia, przeciwnie, im bliżej kto zna dzikich tych ludzi, im więcej się stara o pozyskanie ich przyjaźni, tem większą czuje dla nich sympatję, chociaż przyznać trzeba, że mężczyźni w pierwszym na to zasługują rzędzie. Ale jak we wszystkiem, tak i tu są wyjątki.

Europejczycy mają wogóle mało sposobności w Afryce, poznania czarnych kobiet. Niektóre z nich przyjmują wprawdzie miejsca w rodzinach europejskich jako służące, niańki, gospodynie itp., ale te, przyzwyczajone do życia z białymi i traktowane w domach europejskich z wyszukaną uprzejmością, nie liczą się już właściwie do swego szczepu. Zacięte murzynki gardzą też niemi i wypierają się ich znajomości.

Stanowisko socyalne kobiety czarnej jest pomimo rozmaitych, szybko wypowiedzianych zdań tak zwanych badaczy Afryki, bardzo trudnem do skreślenia. Tak jak wszędzie, tak i tu zależy wszystko od miejscowych i czasowych okoliczności i od wpływów, jakie działają z zewnątrz na rozwój życia towarzyskiego. Najwięcej dają się wpływy te odczuwać w krajach położonych blizko wybrzeża, lub poprzerzynanych ulicami karawanowemi, a zatem tam, gdzie od dawna panują zwyczaje i obyczaje arabskie. Tutaj, im mężczyzna bogatszy, tem więcej żon posiada, z których jedna tylko jest prawowierną, i której inne muszą być we wszystkiem posłuszne. Żony te bardzo jednak wygodne wiodą życie, nie myślą i nie pracują nad niczem więcej, jak nad strojem, i z łaski tylko przynoszą raz po raz wiadro wody z pobliskiej studni lub rzeki. Mąż musi się starać sam o utrzymanie całego domu, o jadło, łakocie, klejnoty, i niejeden murzyn, jeżeli panie jego są zanadto wymagającemi, staje się złodziejem dla dogodzenia ich kaprysom. Kobiety są pięknie zbudowane, ubierają się po części w jaskrawe, lekkie szaty, i są nadzwyczaj zręczne, do czego się przyczynia głównie zwyczaj noszenia najmniejszych nawet przedmiotów, n. p. filiżanki do kawy na głowie. Uważają to nawet za wielki „szyk“, jeżeli kobieta z takim maleńkim ciężarkiem, chodzi prędko, bez zrzucenia go.

Im dalej w głąb kraju, tem brzydsze kobiety! W najmłodszym wieku zwiędłe twarze, przygasłe oczy, a wszystko to wynikiem socyalnego stanowiska! Wyjątek tutaj tworzą szczepy Manyema i Massai, ale panie obydwóch tych szczepów są takiemi zupełnie księżniczkami, jak siostry ich na wybrzeżu — nie zajmują się absolutnie niczem. Że się pomimo to prędko starzeją, to już smutnym jest losem wszystkich kobiet na Wschodzie i w górnych krajach.

Ale kobiety innych szczepów? Któż zliczy i nazwie wszystkie te ludy? Tutaj nie panuje poligamia na pozór idealna tak, na wybrzeżu, o nie! Tutaj ma

każdy mężczyzna też kilka żon, ale kupuje on je dlatego, aby mieć jaknajwięcej istot, a raczej bydląt do ciężkiej pracy, a gdy ich ma dosyć, wtedy władzca domu i pan stworzenia nie rusza już ani palcem, tylko każe sobie służyć i tyranizuje w najokropniejszy sposób nieszczęśliwe niewolnice. Ci, którzy kilka tylko żon mają, pasą kozy — reszta całej, ciężkiej pracy, spoczywa na barkach niewiast. To też nie dziw, że kobiety tamtejsze w najmłodszych nawet latach, podpadająco są brzydkie. Najuciążliwszą robotą jest noszenie wody — drogi są kamieniste, a źródło czasem o kilka godzin od domu oddalone. I kobieta chodzi bez szemrania i dźwiga ciężkie wiadra, a mąż leży na polu w cieniu palmy i pasie kozy!

Dziwnemi zdają nam się być jednak wyjątki w tem stanowisku bydlęcia — kobiety. Że murzyn dla lenistwa i ograniczonego umysłu zgadza się na panowanie kobiet na tronie królewskim, to nic dziwnego, ale królowa kupuje sobie potem mężów, co się podobno w innych krajach też już zdarzało. — Więcej jeszcze podpadającem jest to, że u Wanyikaów zasiadają stare kobiety w radzie gminnej, i one same załatwiają wszystkie ważniejsze sprawy. Widać więc, że mężczyzna, chociaż uciemięża kobietę, to jednak uznaje jej przewagę pod względem sprytu i — wymowy.

I tak jest kobieta w Afryce już to żmiją, już to aniołem — już to księżną, już to niewolnicą — zupełnie tak, jak u nas!

Zwierciadło.

Pierwszym i najważniejszym przedmiotem gotowalni, środkowym punktem każdego damskiego pokoju jest zwierciadło. Od dawna już owiane urokiem poezyi, jest ono podług podania, odłamkiem owego szkła, które źli aniołowie zrzucili na ziemię, aby zbuntować ludzi i uczynić ich próżnymi i pysznymi. Zwierciadło więc jest niejako początkiem złego, a niejedne serce kobiece stało się z jego przyczyny własnością Mefista.

Bo są kobiety, dla których zwierciadło jest ołtarzem, na jakim składają ofiary swej własnej piękności i zarozumiałości, ale wogóle nie służy dziś zwierciadło wyłącznie ludzkiej próżności, tylko też ludzkiemu poczuciu piękna i poznania samego siebie; pożytecznem i ważnem staje się ono w rękach lekarza lub innego zwolennika nauk, a pomiędzy instrumentami badacza przyrody i astronoma pierwsze zajmuje miejsce. Za pomocą zwierciadlanych teleskopów czyni astronom wielkie odkrycia na niebie, lekarz zaś posługuje się niem w celu poznania organizmu ludzkiego.

I dziś spotykamy zwierciadło nietylko w buduarze wytwornej damy, ale i w każdej chacie wieśniaczej, i dziwimy się, że niegdyś ludzie nie znali i umieli się obejść bez tego niezbędnego przedmiotu. Otóż przodkowie nasi, nie znający jeszcze lustra, musieli się zadawalniać „kryształową wodą szemrzących strumyków,“ albo „gładkich powierzchni jeziora,“ jeżeli chcieli twarze podziwiać. Znanem jest podanie o pięknym młodzieńcu Narcyzie, który się zakochał w swym własnym obrazie, ujrzawszy go w źródle z srebrno przeroczystą wodą.“

Z mitologii dowiadujemy się też jeszcze, że Afrodyta, bogini piękności i miłości, używała zawsze lustra przy toalecie, podczas kiedy Junona i Minerwa pogardzały niem, aby ich nie posądzono o próżność.

Zwierciadło Greczynek w klasycznych wiekach starożytnych, było małe, dlatego nie mogło służyć za ozdobę pokoju; kobiety używały tych zwierciadeł metalowych, mających najrozmaitsze formy, jako ozdoby swoich szat, później dopiero weszły w modę lusterka ręczne, po większej części srebrne. Trzymadło i odwrotna strona bywały artystycznie cyzelowane, rytowano też na nich różne postacie mitologiczne i t. d.

W Pompeji i innych miastach zasypanych, oraz w grobowcach znaleziono dużo takich zwierciadeł. Pliniusz pisze, że wówczas, t. j. przy końcu 1 wieku po Chrystusie, musiała mieć w Rzymie każda niewiasta, czy patrycyuszka, czy służąca, srebrne zwierciadło. Nawet złote nie były rzadkością.

Kilkaset lat później wspominają pisarze już o zwierciadłach na ścianie, a złożonych z mieszaniny cyny i miedzi; zwało się to białym metalem. W wiekach średnich stawały się te lustra coraz większe — bogaci ludzie mieli już zwierciadła od sufitu do posadzki. Po wynalezieniu szkła zabrano się czemprędzej do fabrykowania zwierciadeł w ten sposób: na gorące jeszcze płyty szklane nalewano roztopiony ołów lub cynę. Dopiero w 16 tym wieku wynaleziono inny sposób. Podkładano pod szkło amalgam złożony z cyny i żywego srebra, i wtedy to powstały w Włoszech, w Murano owe sławne fabryki weneckich zwierciadeł, które bardzo prędko rozpowszechniły się po całym ucywilizowanym świecie. Ramy tych ściennych luster były bogato rzeźbione, a rzeźba stała się odtąd osobną gałęzią stolarstwa. Później dawano weneckim zwierciadłom ramy kryształowe, złożone z girlandów kolorowych kwiatów, i moda ta zachowała się do dziś jeszcze.

Jakaż różnica pomiędzy olbrzymiem zwierciadłem w salonie, a maleńkiem lusterkiem kieszonkowym! A jednak ta mała odrobinka szkła jest nam miłym, niezbędnym prawie towarzyszem. Wobec lustra nie ma tajemnic toaletowych, i to co się nieraz starannie przed okiem ludzkiem ukrywa, odsłania się bezwzględnie przed lustrem. Ileż twarzy rozpromienionych szczęściem przeglądało się w niem z upodobaniem, ile marzeń snuło się po główkach młodych narzeczonych, strojących się w wianek i welon ślubny, ile oczu zalanych łzami rozpaczy patrzało w lustro, usiłując ukryć ślady ich! O, gdyby niejedno lustro mówić umiało, to z pewnością dowiedzielibyśmy się wiele zajmujących i ciekawych rzeczy, ale ono jest dyskretnem i nie zdradza nigdy powierzonych mu tajemnic. Szkoda! *Oska.*

Wychowanie dzieci.

Dzieci i lekarstwa. Niektóre matki dawają dzieciom, w razie choroby, lekarstwa, bez rady doktora, i szkodzą nieraz bardzo małym pacyentom. Niech tylko dziecko narzeka na ból głowy, żołądka i t. p., a zaraz sięga matka do apteczki domowej, i daje dziecku krople lub proszki, i leczy je sama. Czasem pomogą one, czasem jednak nie, w każdym razie bierze matka na siebie wielką odpowiedzialność. Lepiej już wychodzą te matki, które leczą chore dzieci dyetą, wodą, lub w ostatecznym razie rycynusem, co nigdy nie zaszkodzi. Ale z proszkami, kroplami i t. p., które zawsze jakąś zawierają truciznę, należy obchodzić się bardzo ostrożnie, i lepiej zawczasu wezwać lekarza, niż narażać dziecko na niebezpieczeństwo.

Przepisy domowe

Przechowanie mąki w większej ilości. Chcąc w wielkich gospodarstwach zabezpieczyć potrzebne zapasy mąki od zbutwienia, lub zepsucia, trzeba ją mieć w miejscu zupełnie suchem a oprócz tego użyć następującego taniego i wygodnego środka: wziąść świeżych węgli drewnianych, nie gaszonych wodą tylko przykryciem, i owinąć je luźną watą, którą owiązać nicią. Węgle te włożyć w czysty i zupełnie suchy kawał bawełnianej materyi, związać, i położyć na dno skrzyni lub szuflady. Mąka zachowa dobry smak i żaden robak się w niej nie znajdzie.

Plamy wapna wywabić z materyi można w ten sposób, że najpierw zwilżyć je trzeba rozczynem złożonym z 1 części ałunu a 2 części wody, potem położyć na to wilgotną łatkę płócienną i potrzymać żelazo miernie gorące przez kilka minut.

Przepisy gospodarskie.

Klawisze czyścić mieszaniną z kredy szlemowej i mydlin, albo wycierać je watą, umaczaną w spirytusie.

Plamy atramentu wywabić z wełnianych materyi można w ten sposób, że upuścić na plamę kroplę gorącego łoju (z łojowej świecy) i wyprać to potem w rozczynie koncentrowanego fosfor. natron. Im plama starsza, tem staranniej musi być praną. *S.*

CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

(Ciąg dalszy.)

Rzeczywiście zuchwalstwo *buntowszczyków* było okropne! Śmieli zbierać podatki tuż pod nosem jenerał-gubernatorskiej mości, i grozić poprostu śmiercią najlojalniejszym obywatelom. Niewiele brakowało do tego, żeby się ośmielili nałożyć buntowniczą kontrybucyę, z podobną pogróżką, na samego jenerał-gubernatora.

Tego już *jewo prewoschoditelstwu* było zanadto. Zęby *dieńszczyka* nie opłaciłyby dostatecznie złego humoru, w jaki go wprawiła ta wiadomość, i to było przyczyną, że *dieńszczyk* pozostał z taką samą liczbą zębów, jaką miał dnia poprzedniego.

Prewoschoditelstwo zadzwonił i kazał posłać po policmajstra, zastrzegając, żeby przybył jak jest, nie zwlekając ani sekundy.

Policmajster przybył w ciągu kwadransa. Tak się spieszył, że jeden guzik jego munduru pozostał do połowy zapięty, drugą zaś połową ukrywał się jeszcze w głębi odnoszącej się do niego dziurki.

— *Ach! wy sukinsyny, ja was nauczu!* — rzekł na jego powitanie *prawoschoditelstwo.*

Policmajster był „pełnym kapitanem“. *Swod wojennych postanowlenij* (kodeks wojskowy) nie pozwala zwierzchnikom w wojsku moskiewskiem traktować podwładnych oficerów obelżywemi wyrazami, ale jeżeli zwierzchność pozwoli sobie obelżywego wyrażenia w liczbie mnogiej, chociażby ta liczba mnoga i oficera z nim rozmawiającego obejmowała, to o tem *swod wojennych postanowlenij* nic nie mówi.

Kapitan milczał. Pierwsza burza spadła na niego za niedopięty guzik. *Jewo prowoschoditelstwo* nie byłby jenerałem, gdyby przedewszystkiem nie patrzył na guziki.

Następne gromy posypały się o złą policyę. Raport o znalezionym w Łaszczyńcach dokumencie przykładany był policmajstrowi kilkakrotnie do oczów i do nosa, w ten sposób, że gdyby ręki od twarzy papier nie przegradzał, biedny „pełny kapitan“ byłby zmuszony akt ten przyjąć za czynną obrazę honoru.

Zakończył audyencyę rozkaz kategoryczny i niecierpiący repliki.

— Jeżeli w ciągu tygodnia nie będę miał w ręku *naczelnika buntowszczyków* z kamienieckiego powiatu, *tak ja was progoniu k' czortu i rozżałowat' prykażu* (wypędzę do djabła i każę zdegradować).

— *Słuszajut wasze prewoschoditelstwo* — odpowiedział na to policmajster, i na gniewne skinienie jenerała opuścił krokiem przepisanym dla podwładnych niegościnne gubernatorskie progi.

Przyszedłszy do swojej kancelaryi kapitan-policmajster, stał się naturalnie gubernatorem. On tu był Jowiszem miotającym gromami, on zionął przekleństwami, wymyślaniem i grozą. Wylew gniewu *prewoschoditelstwa*, który płynął na *wysokorodje*, nie mógł się w łonie *wysokorodja* zatrzymać, musiał się przelać na głowy jego znowu podwładnych jawnych i tajnych ajentów policyjnych, *pisców* i innej biurowej *swołoczy.*

Najwięcej się dostało, rzecz prosta, tym policyjnym pieskom, którzy na zewnątrz odgrywali rolę uczciwych i niezależnych ludzi, choć służyli *prawitelstwu* uszami i mieli obowiązek od czasu do czasu zgłaszać się do policmajstra z ustnym raportem. Tym *wysokorodje* wprost zagroził odjęciem płacy, jeżeli się poważą w ciągu dni sześciu naczelnika buntowników nie dostawić.

Po takim rozkazie kazał im odejść. Wszyscy wykonali rozkaz posłuszni, ale jeden pozostał.

— Czego chcesz? — zapytał z gniewem *wysokorodje* — *paszoł won!*

Ajent stał nieporuszony.

— No, gadaj, czego chcesz! — powtórzył policmajster cokolwiek udobruchany.

— Sto rubli i paszport do powiatu zaraz, a potem dwieście i paszport do Galicyi, z zachowaniem dotychczasowej płacy i dyetami...

— I naczelnik będzie za sześć dni?...

— Za sześć dni będzie.

— A jak nie?

— Jak nie, to pan kapitan nie będzie miał na kogo się gniewać, bo Rafała Fajskiego wprzód powieszą gdzie na gałęzi.

— No, no, tak źle nie jest, — rzekł pocieszając szpiega policmajster, — zresztą gdyby ci się co złego stało, to będziemy pamiętali o twoich dzieciach.

— Nie mam dzieci, panie kapitanie.

— Więc o żonie.

— Nie mam żony.

— Tem lepiej. Taniej tego nie możesz zrobić.

— Nie, panie kapitanie.

— No, to pisz kwit.

Rafał Fajski usiadł i napisał. Napisał 120 rubli zamiast sto. Kapitan przeczytał uważnie i wypłacił sto rubli. Różnica sumy nie zastanowiła go wcale; nie zdziwił się również ajent, że mniej dostawał niż kwitował. Była to widać rzecz zwyczajna i prawidłowa, rzecz należąca do systemu.

Otrzymawszy pieniądze, Rafał Fajski poczekał chwilę. W kilka minut napisano mu paszport. Wziął go, ukłonił się i wyszedł.

Nie był to już człowiek młody, miał lat może pięćdziesiąt. Nosił się tak, że niktby nie przypuścił, iż ma w tej chwili sto rubli w kieszeni; można go posądzić najwyżej o dwuzłotówkę. W wyszarzanej szaraczkowej długiej kapocie, przygarbiony, powolny, cichy, nie można było nawet o nim powiedzieć, że Bogu duszę winien, bo co był Bogu winien zaraz oddawał. W całym Kamieńcu wiedziano, że się spowiadał co tydzień przed swym stałym spowiednikiem, jednym z najpobożniejszych zakonników, ojcem Nikazym, ale w całym Kamieńcu nikt nie wiedział, że się spowiadał codzień lub co dni parę przed policmajstrem, nie wiedział nikt, naturalnie oprócz niektórych pomiędzy tymi, co do tego samego przystępowali konfesyonału.

Codziennie służył do mszy ojcu Nikazemu, i codzień najmniej trzy razy spędzał w kościele najmniej po godzinie. Żył z łaski ludzkiej. W jednym z klasztorów miał codzień obiad, od kilku dobrodziejów dostawał miesięcznie po kilka rubli; ojciec Nikazy zbudowany jego pobożnością i czystością sumienia, które poznał z konfesyonału, dawał mu codziennie dwudziestogroszówkę; mieszkał w skromnej izdebce, w której nie przyjmował nikogo. Jedyną jego ludzką namiętnością było wsłuchiwać się w to, co ludzie mówią, a gdy mówili co zdrożnego, gdy bluźnierstwami, albo gorszącemi rozmowami obrażali Pana Boga, prawić im morały łagodne i przyrzekać, że za ich nawrócenie i poprawę modlić się będzie do nieba.

Przestrogi te i morały były prawione z taką chrześciańską pobłażliwością, że nieraz za te nauki słuchacz zbudowany wsuwał podtatusiałemu mentorowi jaką złotówkę w dłoń, z chrześcijańskiej pokory nigdy się nie cofającą przed datkiem.

Jednem słowem Rafał Fajski był świętym, a przynajmniej byłby niezawodnie zapisanym do listy świętych, gdyby od opinii ogółu zależały kanonizacye.

I wpisując go do listy świętych dodanoby do jego nazwiska wyraz „męczennik“.

Wiedziano bowiem powszechnie, że Rafał Fajski należy do ludzi srodze prześladowanych przez policyą. Nazwisko jego znajdowało się na liście podejrzanych i zostających pod najsurowszym nadzorem. Obowiązany był meldować się codzień do policyi, na dowód, że jest w miejscu, a gdy raz zachorował codzień policyant przychodził do niego sprawdzić, czy gdzie nie umknął z miasta, z którego krokiem wydalać się nie było mu wolno.

Zdarzało się, że go zapytywano, co tak okropnego zrobił rządowi, że go tak okrutnie prześladuje...

Na to pytanie Rafał Fajski wzdychał pobożnie, spuszczał oczy i odpowiadał:

— Eh! co tam mówić!... *Propria laus sordet*, jak mówi mędrzec. Niech się nikt z tego, że spełnił obowiązek nie pyszni. Com zrobił, zrobić byłem powinien, lecz niech to będzie Bogu tylko i mojemu spowiednikowi wiadomo.

Wiadomem było, że mu skromność o zasługach swoich mówić nie pozwalała; odpowiedź taka była więc zarazem dowodem skromności i zasług.

Łacińskie maksymy, które Rafał Fajski od czasu do czasu używać lubił, świadczyły, że nie z jednego pieca chleb jadł, że go kiedyś z książek uczono, i że ministranturę, którą codzień powtarzał, służąc do mszy swemu spowiednikowi, nietylko klepał z pamięci, lecz rozumiał.

Wszystko więc razem świadczyło na korzyść Rafała; jedno tylko mogło świadczyć przeciw niemu, a tem jednem była fizyognomia. Była to typowa fizyognomia tak zwanego w języku ludowym „jezuska.“ Oczy siwe zawsze spuszczone skromnie, głowa pochylona, nos mały, cieńko zakończony, wargi zaciśnięte, twarz blada, chuda, powaga wieczna; uśmiech, jeżeli się ukazał, był tylko cieniem tego co właściwie nazywać się może uśmiechem. Nad czołem ogromna łysina, po bokach i w tyle głowy rzadkie siwe włosy, czapka zimą i latem ciepła z dużym daszkiem, cała postawa chuda i mizerna. Nic sympatycznego nie było w tej fizyognomii, nie pociągała ona, odpychała owszem, ale nasłuchawszy się o cnotach jej właściciela, przekonawszy się o jego pobożności, dowiedziawszy się wreszcie o prześladowaniu, jakiego był ofiarą, oswajało się z nią prędko i nabierało się przekonania, że to tylko pomyłka ze strony pani przyrody, która umieściła złą etykietę na dobrym i niefałszowanym towarze.

Prosto z policyi poszedł Rafał Fajski do kościoła i ukląkł przy konfesyonale, w którym z drugiej strony spowiadał kogoś ojciec Nikazy.

Co ze swym spowiednikiem mówił w tem miejscu, tego sam niezawodnie nikomu nie powtórzył także ojciec Nikazy, jeden z najgodniejszych swego stanowiska kapłanów. Tego zatem nie wiemy. Musimy więc poprzestać na tem, że się oskarżał z grzechów swoich, i że nieciężkie one być musiały w ciągu ubiegłego tygodnia, bo spowiedź trwała króciej niż innych tygodni, a ojciec Nikazy wyrzekł nad głową swego penitenta rozwiązującą i oczyszczającą formułę:

— *Ego te absolvo!*

Po zapukaniu przez spowiednika na znak, że może odejść, Rafał Fajski powstał i z pokorą ucałował rękę kapłana.

— Więc po jedenastej — szepnął mu ksiądz.

— Po jedenastej — powtórzył również cicho penitent.

Na klęczkach od konfesyonału odszedł Rafał Fajski do bocznego ołtarza, w którym znajdowało się cymboryum i wkrótce potem odmówiwszy wyznaczone pokutne modły, przystąpił do stołu bożego.

Potem modlił się z książki, a następnie, zamknąwszy książkę i ucałowawszy ziemię po trzykroć, pozostał jeszcze na klęczkach i w niemem zachwyceniu wpatrywał się w obraz Chrystusa, umieszczony w ołtarzu.

VI.

Jedna z najpobożniejszych kamienieckich dewotek opowiadając na drugi dzień swoim znajomym i koleżankom z tegoż fachu o tym zachwycie Rafała Fajskiego, zapewniała i przysięgała na wszystkie świętości, że widziała światłość nad jego głową.

— O! ja to widywałam już nieraz — zauważyła jedna ze słuchaczek.

— A ja byłam wczoraj w kościele, patrzyłam na niego i nic nie widziałam — wtrąciła druga.

— Widać, że było dane widzieć tylko duszom szczerze pobożnym — nadmieniła w sposobie konkluzyi trzecia.

— A ja to może nie jestem szczerze pobożna? — upomniała się ta, której pobożność podano tym sposobem w wątpliwość co do gatunku.

— To należy sądzić ze skutków...

— Cóż to asani sobie myślisz!

— Asani!... proszę!

I pomiędzy dwiema pobożnemi duszami przyszło ni ztąd ni z owąd do grzesznej sprzeczki.

Zachwyt Rafała Fajskiego trwał punktualnie do godziny jedenastej przed południem.

O godzinie jedenastej Rafał Fajski znów po trzykroć ucałował marmurową posadzkę kościoła i poszedł do celi ojca Nikazego, który tam już na niego oczekiwał.

— Kiedy ci się z Bożą pomocą udało dostać paszport — rzekł do niego ojciec Nikazy — to jedźże z Bogiem. Wiem, że w pewniejsze ręce mojej posyłki złożyć nie mogę.

— Grzeszny człowiek jestem, ojcze spowiedniku — rzekł Rafał — ale zaufania nie zdradzę, tak mi Panie Boże dopomóż!

— Wierzę ci bez przysięgi, nie przysięgaj daremno!

Rafał Fajski z całej siły grzmotnął się w pierś i rzekł smutnie:

— *Mea culpa! peccavi!*

Ojciec Nikazy złożył w ręce świętego męża spory opieczętowany pakiet.

— Oddasz to ojcu Fulgencyuszowi, przełożonemu klasztoru Kapucynów w Gradowcach.

— Jeśli niebo żywym dojechać mi pozwoli.

— Nie zalecam ci, żebyś nie naruszał pakietu.

— Oh! ojcze duchowny...

— Wiem, że go nie tkniesz... A tutaj masz na drogę.

To mówiąc, ojciec Nikazy dał Rafałowi Fajskiemu banknot dziesięciorublowy.

— Czy dosyć będzie?

— Oh! ojcze spowiedniku, będę mógł jeszcze po drodze niejednego biedaka sowitą obdarzyć jałmużną, żeby się modlił o szczęście doczesne i wieczne mego ojca duchownego i dobrodzieja.

— Więc bądź zdrów.

Rafał ukląkł i pobożnie pochylił czoło, a świątobliwy kapłan zrobił nad jego skronią znak błogosławieństwa.

Ucałowawszy pasek św. Franciszka, którym zakonnik był opasany, święty człowiek powstał z miejsca, skłonił się księdzu, przeżegnał święconą wodą z kropielniczki, zawieszonej przy drzwiach celi, i pochwaliwszy Chrystusa, wyszedł.

Szedł spieszniej niż zwykle, pilno mu było widać przygotować się do podróży.

Przyszedłszy do swojej izdebki, zamknął się na klucz i wyjąwszy pakiet ojca Nikazego z zanadrza, wpatrywał się weń pilnie.

Dziwne widać przychodziły mu myśli, bo parę razy robił takie ruchy, jakby go zamierzał otworzyć, ale się rozmyślił i dał pokój temu zamiarowi.

Zdjął następnie z siebie wierzchnie ubranie i obnażywszy się do pasa, odwiązał trzos, którym był przepasany.

W trzosie tym było złoto i papiery, któremi pobawił się przez chwilę, wzrokiem przebiegając je szybko, jakby się chciał przekonać, czy ich nie ubyło, dołączył do nich potem banknot sturublowy, otrzymany od policmajstra i napowrót opasał się trzosem.

Gdyby się kto był przyjrzał temu trzosowi, zadziwiłby się bardzo, zkąd w Kamieńcu powstała pogłoska, że Rafał Fajski opasywał się kateną, to jest pasem na wewnątrz tępemi najeżonym kolcami — kolców bowiem na trzosie ani śladu nie było.

Zapiąwszy trzos, Rafał Fajski zdjął z gwoździa dyscyplinę i zaczął smagać grzeszne ciało swoje. Ale roztargnionym był widać tego dnia, gdyż razy dyscypliny, których echo rozlegało się głośno i w sieni lub przez drewniane ściany mogło być z łatwością słyszane, nie padały na grzeszne jego plecy, ale na skórę niewinną jakiegoś biednego bydlęcia, z którego wierzchniej powłoki, wyprawionej w garbarni gradowieckiej, jeden z kamienieckich garbarzy trzos jego zrobił.

W chwil kilka potem dało się słyszeć głośne pukanie do drzwi biczującego się świętego męża.

— W imię Boże! — zawołał Rafał Fajski nie przestając swojej pokutniczej czynności.

— To ja — odpowiedział głos kobiecy — to ja, panie Rafale.

— Czego chcesz, niewiasto grzeszna?

— Na miłość bozką, panie sąsiedzie, nie katuj się pan, to okropność tak się katować! ja mdleję na samą myśl, co pan cierpisz!...

VII.

Nazajutrz Rafał Fajski był już w Gradowcach i doręczył ojcu Fulgencyuszowi posyłkę Ojca Nikazego.

Ojciec Fulgencyusz nie znał dotąd pobożnego kamienieckiego męża, którego fizyognomia za pierwszem ujrzeniem wzbudziła w nim, jak we wszystkich, instynktowną niechęć i nieufność.

Ta instynktowna niechęć była powodem, że sędziwy kapłan, pomimo iż powinien był ufać człowiekowi, któremu ojciec Nikazy powierzył tajemnicze posłannictwo, nie zaufał mu jednak, i dopiero po odprawieniu go do refektarza, ażeby się czemś posilił po przebytej drodze, zabrał się do otworzenia posyłki.

W posyłce tej, oprócz papierów odnoszących się do sprawy narodowej, był list ojca Nikazego, który swego penitenta najgoręcej ojcu Fulgencyuszowi i zgromadzeniu Kapucynów polecał, jako męża wypróbowanej pobożności i cnoty.

List ten sprawił, że ojciec Fulgencyusz, zobaczywszy po raz drugi Rafała, tłumaczył sam sobie, że się przeciwko niemu niesłusznie uprzedził, i choć tego uprzedzenia jeszcze pozbyć się nie mógł, zawsze przecież starał się mu wynagrodzić krzywdę w myśli podejrzeniem zrządzoną, ofiarując mu gościnność klasztoru, dopóki tylko będzie potrzebował z niej korzystać.

Zbytecznem byłoby dodawać, że tego właściwie Rafałowi było potrzeba.

W ciągu dwóch dni okazał tak gruntowną znajomość reguły kapucyńskiej, taką gorliwość w braniu udziału we wszystkich pobożnych praktykach zakonników, że sobie najzupełniej przełożonego i wszystkich ojców klasztornych pozyskał.

Po kilku dniach nie tajono się już przed nim z niczem, a nawet zwierzać się zaczęto.

Tym sposobem, nim upłynął termin przez policmajstra wyznaczony, Rafał wiedział już nieomylnie, że głową wojskowej organizacyi powstańczej w powiecie kamienieckim był właściwie garbarz, Stanisław Wydra.

Wiedział nawet więcej. Wiedział, że Stanisław ma zakopaną broń, że wszystko było do wybuchu gotowe. Miejsc mu tylko nie wskazano, gdyż nie mógł się o nie dopytywać, ażeby się zbyteczną ciekawością nie zdradzić.

Wiedzieć jednak i być najmocniej przekonanym, nie wystarczało. Gdyby wskazał Stanisława i gdyby go aresztowano, a nie znaleziono przy nim żadnego dowodu jego winy, skompromitowałby się tylko przed policmajstrem; tymczasem z wskazówek, jakie zebrał, mógł wnosić, że Stanisław był ostrożny i że znaleźć przeciwko niemu jakiś dowód namacalny nie będzie łatwo, zwłaszcza gdyby poszukiwania przedsięwziął ktoś inny, korzystający tylko z udzielonych mu poszlak i domysłów, gdzie trzeba szukać, ażeby coś znaleźć.

Wynikła ztąd konieczność, żeby pobożny człowiek sam czynnie przy rewizyi i aresztowaniu naczelnika organizacyi wystąpił.

Taki czynny udział był dla Rafała zrzuceniem maski. Zrobiwszy coś podobnego, nie mógł on dłużej w Kamieńcu pozostać, ale widzieliśmy, że był na to z góry przygotowany, skoro po dokonaniu dzieła, żądał paszportu do Galicyi, przyczem naturalnie, gdyby tylko zapragnął, mógł dostać inne nazwisko i przestać być dla świata Rafałem Fajskim.

Nie cofnął się zatem przed koniecznością.

W dniu, w którym się odbywała wspomniana przez nas powyżej mustra w garbarni, z samego rana pożegnał ojca Fulgencyusza i zakonników, oznajmiając im, że powraca do Kamieńca i zapytując, czy nie mają jakiej posyłki do wręczenia ojcu Nikazemu.

Ojciec Fulgencyusz odpowiedział, że posyłka mogłaby być dopiero za dni kilka.

Niebardzo to w smak poszło Rafałowi, ale czekać nie mógł, termin wyznaczony przez policmajstra był stanowczy.

Wyjechał zatem, ale dojechał tylko do Rozdroża. W Rozdrożu się zatrzymał aż do wieczora. Chciał Mortka wyciągnąć na rozmowę i uzupełnić z jego wygadania się swoje relacye, lecz Mortko nie był łatwowierny, pierwszym swoim instynktom wierzył, a powierzchowność lichego gościa, pomimo świętej jego miny, niewiele w nim zaufania wzbudzała, próba ta zatem zupełnie się nie powiodła.

Nad wieczorem zajechał do Rozdroża oficer żandarmeryi z Kamieńca, z oddziałem wojska złożonym z kilkunastu ludzi.

Gdy oficer ten wchodził do izby szynkownej i zobaczył tam Rafała, zdawało się poczciwemu Mortkowi, że z sobą jakiś znak porozumienia zamienili. Rafał dwuznacznie bardzo mrugnął oczyma, a oficer miał kiwnąć głową potakująco, czego w tym wypadku wcale nie było potrzeba.

Ale sam Mortko byłby następnie przysiągł, że to mu się tylko zdawało. bo oficer natychmiast zwrócił się do niego, jako do arendarza i zapytał:

— Czy znasz tego człowieka?

— A zkąd ja mam go znać?... nie znam.

Czy tutejszy?

— Jakby on był tutejszy, to jakby ja mógł jego nie znać?

Oficer zwrócił się do Rafała, który w milczeniu i spuściwszy oczy siedział na ławie.

— Masz paszport?

— Mam — odrzekł Rafał, i podał badającemu papier.

Oficer rozpatrzył się w nim i rzekł półgłosem:

— Zostający pod ścisłym nadzorem policyi, czort pobieri, mają ich niby pod nadzorem, a dają im paszporta, żebyśmy ich na drogach musieli pilnować.

I zwracając się znowu do świętego człowieka, rzekł gniewnie:

— Gdzie jeździłeś i po co?

— Do Gradowiec, w interesie familijnym....

— Kogo tam masz z familii?...

— Rafał zmięszał się i zająkał.

— To jest... tego.... w samych Gradowcach nie mam nikogo....

— A więc władzę wyprowadziłeś w pole, kiedyś żądał paszportu dla interesu familijnego. Hej karczmarz! dać mi oddzielną izbę! muszę zrewidować tego człowieka!

Mortko był posłuszny, zaprowadził obu do jednego z gościnnych pokoi. Oficer kazał mu odejść.

Co z sobą rozmawiali i jak się odbyła rewizya nie wiadomo.

Po kwadransie oficer kazał dać wódki dla siebie, Rafała i żołnierzy, poczem powiedziawszy Mortkowi, że tego człowieka jako silnie podejrzanego z sobą zabiera, odjechał wraz z nim do Gradowiec.

Poczciwy Mortko rzeczywiście widział coś podejrzanego w tem wszystkiem, a najbardziej w tem, że się oficer przed nim z aresztowania tłómaczył, jak gdyby to czynić potrzebował, zaniepokoił się więc i nie mógł spać tej nocy, ale pomimo że długo sobie głowę łamał nad znaczeniem całej tej sceny, nie mógł sam przed sobą zdać sprawy czego się właściwie lękał.

Było to tylko jakieś nieokreślone przeczucie, ale jak się pokazało niemylne.

Wyprawa oficera żandarmeryi z konwojem i aresztowanym niby, a właściwie towarzyszącym mu tylko Rafałem Fajskim, przybyła do Gradowiec w chwili, gdy miasteczko już na dobre zabierało się do snu.

Gdzieniegdzie tylko w oknach domów pobłyskiwały jeszcze słabe światełka.

Ukazanie się przecież oddziałku wojskowego nie pozostało i nie mogło pozostać niepostrzeżonem.

W Gradowcach, jak w ogóle w mniejszych miasteczkach, częstokroć nie bywało załogi wojskowej, a tembardziej być jej nie mogło w owym czasie, kiedy możebność wybuchu nakazywała dowódcom wojskowym koncentrować słabe siły, jakiemi rozporządzać mogli w gubernii, a nie rozdzielać ich i wystawiać na łup pierwszej lepszej niespodziewanie odezwać się mogącej zawieruchy.

Już z tego powodu ukazanie się oddziału wojskowego było rzeczą zbyt niezwyczajną, żeby nie zwróciło uwagi.

Nie ten przecież powód jedynie zaalarmował Gradowce zaraz w chwili ukazania się oficera z kilkunastu żołnierzami i ostrzegł, że na coś niezwykłego się zanosi.

Organizacya miasteczkowa nie spała i nie było to bynajmniej czczą przechwałką Franka Harasia, że była gotową rozpocząć akcyę w każdej chwili. Miała się na baczności i w dzień i w nocy. Teoretyczne wiadomości Stanisława wystarczały na to, aby ją w stanie takiej gotowości postawić. Bez hałasu i zwracania uwagi odbywały się w nocy patrole po miasteczku, i naczelnik organizacyi mógł być w każdej chwili zawiadomionym o każdym niezwyczajnym wypadku.

Rzeczywiście, w kwadrans po tem jak oficer i jego żołnierze zatrzymali się przed oberżą gradowiecką, położoną tuż przy gościńcu, arendowaną jak wiemy przez Mortka, a zarządzaną przez jednego z jego krewnych, już Franek Haraś, który tej nocy patrol odbywał, był u naczelnika z raportem zawiadamiającym go dosyć szczegółowo o przyjściu niewielkiego oddziału wojska, o oficerze żandarmeryi i o jakimś cywilnym człowieku, który tej ekspedycyi towarzyszył.

Składaniu tego raportu była obecną Konstancya, a zrozumiawszy treść jego drgnęła, jakby jakiemś złowrogiem przeczuciem dotknięta.

Stanisław nie przeczuwał nic złego.

— Zapewne wypoczną chwilę i pójdą dalej, — rzekł do Franciszka.

— Nie zdaje mi się — odpowiedział robotnik, — zakręciłem się sam koło nich w oberży, wszystko to jakoś wygląda jak gdyby iść nie mieli. Dokądże by zresztą i dlaczego po nocy?...

— To prawda — odpowiedział improwizowany dowódca, nie mogąc sobie zdać sprawy ze znaczenia tej nocnej ekspedycyi.

— Zagadałem do jednego z żołnierzy, — raportował dalej Franek Haraś, — bąknął coś że może dzisiaj jeszcze do Kamieńca nazad wyruszą.

Konstancya przytuliła się do męża. Stanisław uczuł, że drżała jak listek.

— Co ci jest dziecko? — rzekł do niej.

— Nic — odpowiedziała — boję się!

Mąż przytulił ją do siebie, starając się uspokoić, a po chwili, zwracając się do Franciszka, rzekł:

— Cobądźby się stało, zachować się spokojnie... gdyby zaszło coś ważniejszego, donieść.

Franek salutując po wojskowemu wyszedł: mąż z żoną pozostali sami.

Stanisław spojrzał na Konstancyę i zobaczył twarz jej łzami zalaną.

— Ty płaczesz?...

— Tak... — odrzekła, ale po chwili otrząsnęła się ze słabości chwilowej i twarz jej przybrała wyraz energicznego i stanowczego postanowienia.

— Sądzisz więc, że to po mnie?... — rzekł Stanisław z uśmiechem, próbując łagodną perswazyą uspokoić obawy ukochanej.

— Nietylko sądzę, ale jestem pewna — odpowiedziała pospiesznie; tak samo biło mi serce, gdym miała utracić dziadka... wiem teraz co ten głos wewnętrzny znaczy...

— Ależ Konstancyo, nie lękaj się...

— Nie lękam się już... to przeszło... nie pora teraz na próżne trwogi... nastąpiła chwila działania... ukryj się, albo uciekaj!

— Dzieciństwo!

— Ukryj się, albo uciekaj!... Nie wiem czy ci Bóg pozwoli wyjść cało z tej walki, ale wiem, że nie czas jeszcze, ażebyś się dostał w ich ręce, roztropność każe ci się zabezpieczyć... wszystko coś zrobił dotąd byłoby stracone, gdyby ciebie zabrakło. Ukryj się więc, albo uciekaj, ja cię zaklinam!

Mówiąc to pochwyciła jego rękę i poniosła ją do ust.

Któż policzy w ilu domach na całym obszarze Polski zajętym przez moskala powtarzały się w owych czasach nocami sceny podobne!

Zaklęcie żony nie było dostatecznem, ażeby zachwiać Stanisława.

— Konstancyo, — rzekł — uspokój się i zastanów. Nie byłożby to szaleństwem, nie byłożby najgorszym przykładem dla tych ludzi, którzy mi ufają, uciekać na pierwszy popłoch, nieuzasadniony może i niedorzeczny? Choćby nawet tutaj przyszli, cóż znajdą? Działaliśmy z taką przezornością, na jaką tylko człowiek zdobyć się może. Z wyjątkiem prostej zdrady, której nie mogę się obawiać od nikogo, bo znam swych ludzi, nie będą mieli przeciw mnie najmniejszego dowodu, nawet cienia pozoru do aresztowania. Zresztą cobądź się stanie winienem wytrwać. Rozpogódź czoło i niech twój niepokój nie będzie dla nich poszlaką i wskazówką.

— Jeżeli tylko od tego zależy twoje ocalenie, żebym ja nie zdradziła obawy możesz być pewny, że będę panowała nad sobą. I woli swojej także narzucać ci nie będę, i milczeć każę przeczuciu, które mi mówi, że się stanie nieszczęście!...

Rzuciła mu się na szyję i namiętnie przycisnęła go do siebie, jakby go jej wydzierać chciano.

W tej chwili w sąsiednim pokoju dał się słyszeć gwar jakiś i ciężki chód kilku ludzi.

— Widzisz... to oni!... — szepnęła ledwie dosłyszalnym głosem Konstancya.

I rzeczywiście w kilka sekund potem otworzyły się drzwi, a na progu ukazał się oficer żandarmeryi, po za którym przy świetle lampy widzieć można było po za drzwiami kilka twarzy i kilka bagnetów sołdackich.

Konstancyi niktby nie poznał w tej chwili. Była spokojna, uśmiechnięta nawet, zdawało się, że ta niespodziewana nocna wizyta, jedna z takich, za przyjściem których kobiety odchodziły od zmysłów, a mężczyznom krew ścinała się w żyłach, nie robiła na niej najmniejszego nieprzyjemnego wrażenia.

Oficer wszedł, ukłonił się po wojskowemu, był to człowiek obeznany z formami towarzyskiemi, i rzekł dość poprawną polszczyzną.:

— Przepraszam, że państwu przeszkadzam, ale służba wolność traci.

— Czegóż pan sobie życzy? — zapytał Stanisław.

— Pan się nazywasz Stanisław Wydra, i jesteś właścicielem tego domu, oraz garbarni?

— Tak jest.

Oficer skinął na zaglądającego ukradkiem do pokoju, ale pozostającego za drzwiami Rafała, i zadał mu pytanie, zawarte w jednym tylko wyrazie:

— Ten?

Rafał Fajski potakująco mrugnął oczyma.

Znak ten widocznie zrozumiałym był dla żandarma, bo nie szukał dalszych wyjaśnień, lecz zbliżywszy się do Stanisława, rzekł:

— Z rozkazu władzy aresztuję pana, jako naczelnika organizacyi buntowniczej w powiecie Kamienieckim.

Chociażby kto najpilniej śledził twarz Konstancyi nie byłby na niej dostrzegł najmniejszego śladu przerażenia. Przyrzekła mężowi, że będzie panowała za sobą i dotrzymała słowa, a Bogu tylko wiadomo, ile walki wewnętrznej kosztowało ją to zwycięztwo.

Twarz jej wyrażała tylko najnaturalniejsze zdziwienie.

— Mój mąż? — rzekła prawie z uśmiechem — ależ to niepodobna... ja wiem o każdym jego kroku... to pomyłka!

— Być może, pani — odpowiedział grzecznie oficer — jeżeli to pomyłka, bardzo mi przykro, alem ja za to nieodpowiedzialny... Mąż pani wytłomaczy się przed komisyą śledczą, ja spełniam rozkaz wyraźny. Zostawiam panu kwadrans czasu — dodał spoglądając na zegarek — na przygotowanie się do podróży, więcej nie mam prawa...

— Czy mogę wyjść z pokoju, aby zabrać co mi potrzeba? — zapytał Stanisław.

— Możesz pan... dom jest strzeżony...

Stanisław wyszedł, z nim Konstancya; oficer sam pozostał w pokoju, usiadł na krześle, lewą rękę oparł o stół i czoło wsparł o rękę, tak że dłoń zasłoniła mu oczy.

Rafał Fajski zcicha wsunął się do pokoju.

Sądził widać, że jego wejście zwróci uwagę oficera, po chwili jednak widząc, że oficer nie przerywa swojej zadumy, chrząknął.

I chrząknięcie zostało bezskutecznem.

Twarz pobożnego człowieka skurczyła się gniewem tłumionym.

— Panie poruczniku, — rzekł półgłosem.

Żandarm nie słyszał.

— Tego już zanadto — mruknął Fajski przez zęby.

I zbliżywszy się do oficera, pociągnął go z boku za rękaw.

Oficer się otrząsnął

— Czego?

— Panie poruczniku, przepraszam pokornie, ale...

— Ale co?...

— Aresztant tymczasem może poniszczyć dokumenta.

— Jakie dokumenta?

— Dowody winy.

— Więc cóż z tego?

— Trzeba było iść za nim i patrzeć.

— Idź ty i patrz... ja nie jestem szpiegiem.

Rafał Fajski spojrzał z podełba na mówiącego. Z oczu jego iskrzyła się zaledwie hamowana złość.

Nie poszedł jednak za radą porucznika i pozostał.

— Panie poruczniku, — zaczął znowu po chwili.

— Czego jeszcze?

— Tutaj trzeba zrobić rewizyę.

— Ty mnie nie będziesz uczył czego tu trzeba. Robię to tylko, do czego mam rozkaz.

— Ależ, panie poruczniku, tu są listy, tu są ważne papiery, tu są pieniądze, tu jest broń ukryta, tu jest cały arsenał.

Oficer powstał i wielkiemi krokami zaczął chodzić po pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

Nagle zadrżała a cała krew zbiegła jej do serca. W przyległym pokoju dał się słyszeć głos Stelli i zaraz potem wbiegła dziewczynka do salonu.

Helenka stała jak skamieniała. Dziecko zwolna zbliżało się ku niej.

— Moja dziecino ukochana! — zawołała nieszczęśliwa matka, wyciągając mimowoli ręce.

Stella nie lękała się widocznie obcej twarzy. Uśmiechnięta, przyszła zupełnie blizko, i podniosła z ciekawości swe modre oczki na szwaczkę.

Helenka uklękła, objęła dziecko, przycisnęła je do serca.

— Kochanie moje! — szeptała, całując gorąco jasną główkę. Nie posiadała się z radości i szczęścia, a długo tłumiona miłość macierzyńska wybuchła teraz z całą potęgą.

— Powiedz „mamo“, — prosiła — tylko raz jedyny mamo.

— Mamo! — powtórzyła dziewczynka cicho. — Ale ja nie mam mamy, bo ona jest w niebie.

— W niebie?

— Tak, a to bardzo daleko!

— Jak ci imię, pieszczotko?

— Ja mam trzy imiona. Najpierw Stella, tak mówi Anna, papa nazywa mnie myszką, a wszyscy inni mówią miss.

— Jak to ładnie mieć trzy imiona, — odrzekła Helenka, dla której głos dziecka prawdziwą był muzyką. — Przyjdziesz czasem do mnie na chwilkę, aby opowiadać o twoich lalkach? Ja też miałam taką dziecinę, zupełnie taką, jak ty.

— I nie masz jej teraz już?

— Nie.

— Czy ona też w niebie?

— Teraz jeszcze nie, ale później zobaczę ją tam!

Przez otwarte okno dał się w tej chwili słyszeć głos nańki, szukającej dziecka.

— Wołają cię, — rzekła Helenka prędko, — musisz więc iść. Ale zanim odejdziesz, chciałabyś mnie raz tylko pocałować, kochanie?

Stella bez namysłu objęła szyję klęczącej i przytuliła główkę do twarzy Helenki. Gorące łzy spływały z oczu biednej matki, gdy trzymała w rękach najdroższe swoje szczęście.

Nie obawiała się, że dziecko ją zdradzi, wszakże mogło tylko powiedzieć, że szwaczka uściskała je a to nie było niczem nadzwyczajnem.

I gdy Stella wyszła, dziękowała z całego serca Bogu za to, że obdarzył ją dziś takiem szczęściem.

Lord Chesley zadziwił się, gdy mu Stella opowiadała, że jakaś obca kobieta całowała ją i płakała. Lady Forbes, która także była obecną, skorzystała natychmiast z tej sposobności.

— Ciekawa jestem, — rzekła szyderczo, — co się tu z dzieckiem dzieje, gdy nas w domu nie ma! Nie można doprawdy zostawić Stelli zawsze samej z służbą!

Lord Chesley westchnął smutnie.

— Masz pani słuszność, — odpowiedział zamyślony.

Lady Forbes byłaby bardzo chętnie chciała wiedzieć, o kim teraz myślał, o Annie, czy o Janinie. I pragnąc raz już pozbyć się dręczącej niepewności, postanowiła zbadać jego uczucia względem Janiny, a że nie było innego na to sposobu, przeto namówiła go do zaproszenia państwa Marstone i Janiny do Ashbrok.

— Pragnęłabym niezmiernie poznać teściów pana, — a oni przepędzą zapewne bardzo chętnie kilka tygodni w towarzystwie pana i ukochanej wnuczki.

Artur zgodził się na to i przyrzekł zaraz napisać do sir Johna.

— Anno — rzekła lady Forbes wieczorem do córki, — jeżeli ta Janina Burton nie stanie ci w drodze, to będziesz wkrótce żoną Chesleya. Zaczyna on uznawać, że dziecko jego potrzebuje matki. Nakłoniłam go do zaproszenia tu państwa Marstone, zobaczymy więc same, jak sprawy stoją.

Na list Artura odpowiedziała lady Marstone, że ani ona, ani mąż jej przybyć nie mogą, ponieważ nie czują się zupełnie zdrowymi. Życzy sobie jednak bardzo, aby Janina przyjęła zaproszenie, co przez wzgląd na pobyt lady Forbes w Ashbrok nie byłoby wcale niestósownem. Janina wszakże nie może się jeszcze zdecydować.

Ale w końcu musiała uledz życzeniom wujostwa, i tak napisała pewnego dnia sama do Artura, oznajmiając mu dzień swego przybycia.

Helenka nic naturalnie o tych planach nie wiedziała, więc też, gdy dwa dni później, przechodząc kurytarzem, stanęła niespodziewanie przed Janiną, krzyknęła głośno, i nawpół przytomna oparła się o ścianę.

Janina, uprzejma dla każdego, zbliżyła się szybko do niej.

— Przestraszyłam panią mimowoli. Żal mi bardzo, ale nie moja to wina.

Za nic w świecie nie byłaby mogła Helenka wymówić taraz jednego chociaż słowa. Poruszyła tylko lekko głową i wybiegła szpiesznie na schody.

— Pani Bird — zapytała Janina gospodyni — kto jest ową brunetką, którą spotkałam przed chwilą w sieni?

— Ah, to pani Movre nasza nowa szwaczka. Bardzo pilna i zręczna kobieta.

— Zdaje się być trochę nerwową. Gdy mnie ujrzała, krzyknęła i uciekła. Zkąd ona pochodzi?

— Gdzie dawniej mieszkała, nie wiem — teraz zaś przebywała w mieście. Lubię ją niezmiernie, i pani polubisz ją także. Skromna i dobrze wychowana osoba, znała niegdyś lepsze czasy!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI.

Helenka rzeczywiście nie spodziewała się ujrzeć tu kuzynki, to też teraz długo nie mogła się uspokoić.

O, jakże nędzną komedyą musiała odgrywać! Cała rodzina nosiła po niej żałobę, a ona żyła w domu męża, niepoznana przez nikogo!

Janina, najlepsza, najszczersza przyjaciółka, dzieląca wszystkie jej myśli i uczucia była tu także!

Pierwszym popędem Helenki było biegnąć do niej i wyznać całą prawdę, ale zatrzymała ją dosyć wcześnie myśl, że po raz drugi zniszczyłaby jej szczęście i przyszłość! Nie, ani ona ani Artur nie powinni się nigdy dowiedzieć o jej istnieniu!

Z tem wszystkiem cieszyła się, że Janina jej nie poznała. Więc maska, jaką nosiła, musiała być jednak wyborną, i pozwalała jej pozostać spokojnie w bliskości ukochanego dziecięcia.

Kilka godzin później przyszła Janina do jej pokoju.

— Słyszałam od gospodyni — zaczęła uprzejmie — że jesteś pani bardzo zręczną i że dobrze szyjesz. Przywiozłam z sobą trochę białego muślinu i koronek, lady Marstone życzy sobie, aby Stella miała z tego sukienkę. Będziesz pani umiała ją uszyć?

— Zadam sobie największą pracę, aby panią zadowolić — odrzekła Helenka.

— W jasnych sukienkach będzie Stella ładnie wyglądać. Dotychczas zawsze nosiła czarne.

Helenka stała z spuszczoną głową i milczała.

— Jest to wielkie nieszczęście — odezwała się znowu Janina — że dziecko tak wcześnie straciło matkę.

Potem rozmawiały obiedwie o kroju sukienki i Helenka zwolna odzyskała panowanie nad sobą. Gdy Janina rozłożyła kosztowne koronki, westchnęła smutnie i rzekła:

— Biedna ciotka! Lata całe przechowywała te skarby dla swej córki, która od roku przeszło spoczywa w swym mokrym grobie.

Helenka poznała na pierwszy rzut oka ulubione koronki matki.

— Czy lady Marstone, — spytała drżącym głosem, — cierpiała bardzo z powodu śmierci córki?

— Ach, więcej, niż wypowiedzieć mogę! Od tego czasu nie widzieliśmy uśmiechu na jej ustach, tak ona jak i sir John zupełnie są złamani na duchu i na ciele! Pójdę teraz po Stellę, abyś pani mogła wziąść jej miarę.

I po chwili wróciła Janina z dzieckiem i postawiła je na stole. Dziewczynka objęła jej szyję w serdecznym uścisku i ucałowała „ukochaną ciocię Janinę.“

Helenka patrzała na wszystko z uczuciem gorżkiej zazdrości. Jej nie było wolno zbliżyć się do swego dziecka. Nagle spostrzegła ją Stella i wyciągnęła do niej rączkę.

— Znam ciebie! -- zawołała. — Uściskałaś mnie raz i płakałaś!

Janina zdumiona spojrzała na nią.

— Tak, — rzekła Helenka, — płakałam, gdy ją ujrzałam.

— Pani jesteś wdową? — zapytała Janina z współczuciem.

— Straciłam męża, którego bardzo kochałam.

Całą boleść zranionego serca wyrażał dźwięk głosu, jakim słowa wymówiła.

— I dziecko pani umarło także?

— Straciłam! — brzmiała smutna odpowiedź Helenki.

— O, to pani wiele już w życiu doznałaś cierpienia! Żałuję cię z całego serca i pojmuję, że lubisz Stellę. Ja też wiem, co to znaczy stracić kogoś sercu drogiego. Matkę Stelli kochałam bardzo.

— Moja mama jest w niebie, — zawołało dziecko, a Helenka zadrżała mimowoli.

— Powinnaś pani iść raz po raz do pokoju małej i bawić się z nią, — mówiła Janina dalej. — Zostawię ją teraz na chwilę tutaj, i pójdę po krój, jaki przywiozłam z sobą.

Po odejściu Janiny, wzięła Helenka dziecko w objęcia i przycisnęła je namiętnie do piersi, a twarz jej miała taki wyraz szczęścia i miłości, że Janina uczuła się wzruszoną, gdy wróciła.

— Kocham panią Moore, — szczebiotała Stella. — Ona mnie znowu uściskała.

Janina spojrzała uważnie na szwaczkę.

— Przypomina mi pani kogoś, — rzekła zamyślona, — nie mogę sobie tylko przypomnieć kogo. Głos i ruchy są mi znajome, ale doprawdy nie wiem.....

Helenka przestraszyła się, a jednak wiedziała, że nie potrzebuje się niczego obawiać. Jeżeli Janina nie poznała jej dotychczas, to też nie pozna jej nigdy! Pomimo to postanowiła unikać spotykania się z nią.

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz deszcz padał i mieszkańcy zamku musieli pozostać w domu. W pokoju Helenki było dziś tak ciemno, że nie mogła szyć, a że pani Bird z zasady nie pozwalała we dnie palić lampy, przeto zaproponowała jej, aby przeszła do jaśniejszego pokoju dziecka. Helenka zgodziła się aż nadto chętnie na tę propozycyą, i zabrawszy robotę, udała się natychmiast do swej córki. Ale i tu było wcale nie wesoło. Niańka nie umiała sobie dać rady z Stellą, która płakała i kaprysiła, chcąc się koniecznie bawić, jak zwykle, w ogrodzie.

— Nigdy jeszcze nie była tak niegrzeczną, jak dziś — skarżyła się dziewczyna.

— Może ja zdołam ją zabawić — odrzekła Helenka, i wziąwszy dziecko na kolana, zaczęła wykrawać z papieru najrozmaitsze figury. Stella uspokoiła się bardzo prędko, nowa zabawka bowiem zajęła ją niezmiernie. I wkrótce śmiała się wesoło, a Helenka czuła się nad wyraz szczęśliwą. Zapomniała zupełnie o swem stanowisku, mając chwilowo to tylko przeświadczenie, że wywołała uśmiech na usta swej ukochanej dzieciny.

I podczas kiedy się jeszcze w najlepsze z nią bawiła, weszła do pokoju Janina. Ucieszyła się, widząc zadowolenie małej sierotki, przemówiła kilka grzecznych słów do Helenki i obejrzała figury papierowe, które tak bardzo dziecko zachwyciły.

Helenka cofnęła się natychmiast, biorąc robotę do ręki, ale zanim uszyła kilka ściegów, gdy znowu otworzono drzwi i na progu stanęła Anna. Słyszała ona przed chwilą, że Artur zamierza iść do pokoju córki, więc postanowiła go uprzedzić. Postępując za radą matki, usiłowała zdobyć serce ojca za pomocą dziecka i sądziła, że sprawi mu wielką przyjemność, gdy okaże swoje zajęcie się małą.

— Dzień dobry, Stello! — rzekła z uśmiechem, zbliżając się do dziewczynki. — Pójdź do mnie!

— Nie, nie chcę — odpowiedziało dziecko. — Ja kocham ciocię Janię.

Janina ucałowała śliczną twarzyczkę Stelli, a miss Anna była o tyle nierozsądną, że objawiła głośno swoje niezadowolenie.

— Ktoś widocznie buntuje dziecko przeciwko mnie — rzekła — marszcząc czoło.

Niańka czuła się tem mocno obrażoną.

— Jeżeli milady mnie masz na myśli — zawołała hardo — to się mylisz. Ja Stelli nie uczę niegrzeczności.

Janina usiłowała przywrócić spokój i zgodę.

— Zdaje mi się istotnie — rzekła — że się pani mylisz. — Nikt przecież nie będzie namawiał dziecko do czegoś złego. Stella kaprysi dzisiaj trochę.

— Wiem bardzo dobrze o co chodzi — wymówiła Anna chłodno.

— Ale ja pani wcale nie rozumiem — brzmiała spokojna odpowiedź Janiny.

Helenka za to rozumiała tem lepiej i była oburzoną na Annę, która zbyt jawnie okazywała swoją zazdrość. Zachowanie się Artura względem Janiny zaniepokoiło nadzwyczaj tak matkę, jak i córkę — widziały teraz, że zamiarom ich grozi wielkie niebezpieczeństwo, i tem bardziej pragnęły zdobyć teraz bogatego męża i zięcia. Lord Chesley zdawał się być na seryo zajęty Janiną, i wcale tego nie ukrywał, lady Forbes zaś przeklinała w duszy swoją myśl sprowadzenia tu Janiny, i zarzucała ją przy każdej sposobności złośliwymi uwagami. Ale Janina ignorowała zupełnie wszystkie te zaczepki. Wiedziała bardzo dobrze, do czego lady Forbes zmierza, i uśmiechała się tylko.

I wesoła i swobodna powitała teraz lorda Chesleya, który także przyszedł, aby odwiedzić Stellę. Położenie, w jakiem się obecnie znajdował, było bardzo dziwne, ale on nic nie przeczuwał. Z trzech kobiet, które się w pokoju znajdowały, była jedna jego żoną, druga wybraną jego serca, trzecia zaś zdecydowaną na wszystko, byle zostać panią jego majątku. Sposób, w jaki go teraz przyjęły, także był charakterystycznym. Helenka stała milcząca, z spuszczoną głową, Janina patrzała na niego z uśmiechem, miss Anna zaś, zmieszana i niespokojna, zaczęła się bawić z dzieckiem.

— Widać, — rzekła z przymuszoną wesołością, — że wszyscy mieliśmy to samo życzenie. Dzień jest tak pochmurny, że przyszłam tu po trochę słońca. W pokoju dziecka zawsze je znaleść można.

— Jesteś pani bardzo uprzejmą, — odparł lord Chesley.

Helenka zwróciła się ku drzwiom, nie mogąc dłużej znieść tej męczarni. Ale Artur zwrócił się zaraz ku niej i rzekł łagodnie:

— Zostań pani, proszę. Nie przeszkadzasz nam wcale.

Helenka ukłoniła się i zajęła znowu swoje miejsce.

— Stella przyjmuje dziś gości jak prawdziwa księżniczka, — roześmiała się Janina. — Odtąd będzie pewnie sobie codziennie życzyć deszczu.

— Rozkoszne dziecko! — zawołała Anna. — Bardzo do ojca podobne.

I nie zważając na Janinę, rozpoczęła bardzo ożywioną z Arturem rozmowę.

Helenka drżała z oburzenia, Janina zaś wzięła Stellę na kolana i opowiadała jej tak zabawne historyjki, że dziewczynka zanosiła się od serdecznego śmiechu.

Artur promieniał szczęściem.

— Stella będzie zazdrosną, — rzekł do Anny. — Chciałaś ją pani zabawić, tymczasem bawisz ojca.

Zwrócił się natychmiast do Janiny i do dziecka, i wszelkie starania Anny o zwrócenie jego uwagi na siebie, były dziś daremne.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złote myśli.

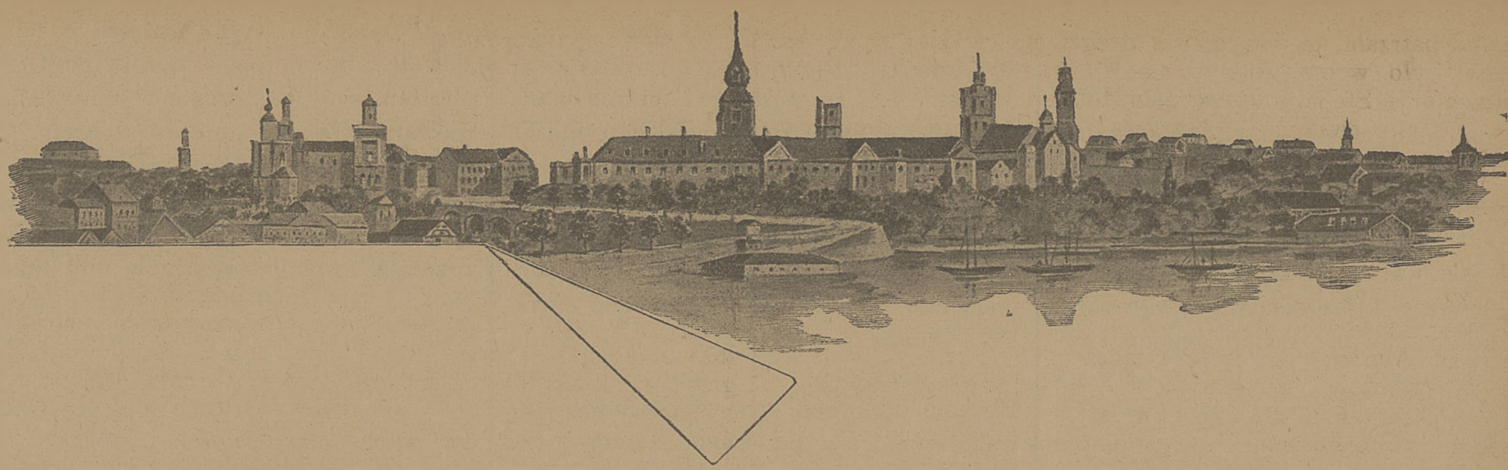
Przyjaciele moi, najpierw Mikołaj Schonberg, kardynał kapuański, po nim Tydeman Gire, biskup chełmiński i inni znakomici i sławni z nauki mężowie uprzedzili mię: że im niedorzeczniejszą teorya moja o biegu ziemi zrazu wydawać się będzie, tem większego uwielbienia i względów dozna, gdy przez ogłoszenie moich wyjaśnień, gruba mgła niedorzeczności mocą najoczywistszych dowodów usunięta będzie.

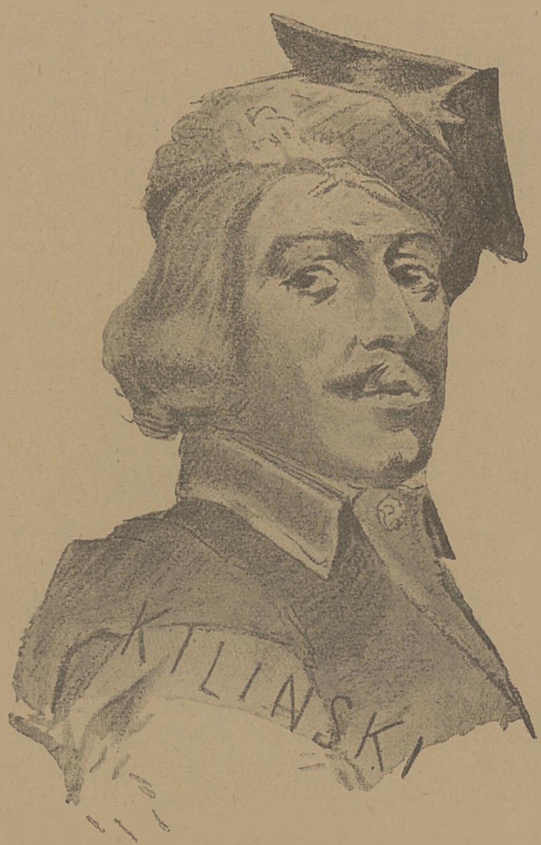
Mikołaj Kopernik.

*

Tacy, którzy się chwalą, mało zawsze czynią:
Im która głębszą rzeka, tem więc ciszej płynie.

Krzysztof Opaliński.





Tadeusz Kościuszko.

(Zarys do studyum człowieka i jego historycznej roli.)*

Miał naród ziemię, dużo ziemi, jako swój skarb najdroższy. Więc kiedy chciał oddać komu cześć najwyższą, okazać miłość największą, powszechną, i przekazać jego błogosławioną pamięć w najdalsze pokolenia, dopóki stanie narodu; to sypał z tej swojej ziemi pomniki, mogiły i kopce. Krwawe szlaki dziejowe u narodu tego były cmentarzami, znaczono je szeregiem, siecią małych mogiłek, kopczyków.

W zaraniu dziejowem, kędy zaledwo baśń gminna sięga, bywało już, że naród miał kogo czcić i miłować. Około prastarego gniazda nad Wisłą, wzniósł pomniki ziemne, których nie spalił ogień, nie zabrała woda, nie zniszczyła żadna z ciężkich dziejowych przygód. Stoją te niespożyte świadki wdzięczności i czci dla dobroczynnej dzielności Krakusa, dla poświęcenia Wandy. Nauka nie odszuka nigdy śladów tych bohaterów; ale że oni byli i czem byli, o tem mówią z wieku na wiek te mogiły. Tego, co one mówią, nic nigdy w pamięci narodu nie zatrze, wiary narodu w tych pierwszych bohaterów nic nie zagasi...

Mijały potem wieki, całe, liczne wieki, bywali wielcy i zasłużeni i sławni: a przecież, dziwna rzecz, już nikomu naród w całym ciągu dziejów mogiły wielkiej nie usypał. Aż dopiero po upadku bytu państwowego, znowu się raz jeden w ten sposób przejawiła dusza narodu; poświęcił on znowu około tego samego krakowskiego gniazda mogiłę ku czci i pamięci Tadeusza Kościuszki.

Dlaczego się tak stało? dlaczego po upływie lat — niewiadomo, czy dwóch tysięcy, czy tysiąca, ten jeden człowiek stał się dla narodu tak drogim, tego jednego uznano najgodniejszym? Każdy Polak musi sobie to pytanie zadać i powinien umieć na nie odpowiedzieć. Musiała być powszechną świadomość, dlaczego należy wznieść mogiłę Kościuszki: skoro naród cały uznaje, że to się godziło.

Bywali w Polsce sławniejsi ludzie, bywali i szczęśliwsi. Kościuszko nie był szczęśliwym; Ojczyzny nie przywrócił, z ran leczył się w więzieniu, musiał się tułać i umarł na wygnaniu. Ale był to człowiek, obywatel, „szlachcic od szlachetności“, żołnierz, dowódzca i władzca nad krajem, o sercu tak prawem, o duszy tak białej, o zamiarach tak czystych, o miłości tak serdecznej, o skromności tak wspaniałej, o poświęceniu tak zupełnem, o odwadze tak przykładnej, o szczerości tak uroczej, o prostocie tak szczerej, o cnocie tak niepokalanej; że jego, który żył tak niedawno — (są jeszcze ludzie, którzy go znali), — który należy do najbliższych dziejów, do bieżącej niemal polityki narodu, — opromieniła przecież odrazu — niemal taka sama legenda jak owych bajecznych bohaterów ze zarania dziejowego — tylko, że legenda żywa, na historycznej prawdzie oparta. A charakter i cnotę dopełniał u Kościuszki umysł podniosły, talenta wrodzone i głębokiem wykształceniem rozwinięte. Człowiek ten przedstawia w dziejach naszych przymierze przeszłości z przyszłością. Wyszedł on ze świata starej, wyłącznie szlacheckiej Polski, a wzbudził Polskę nową, nie obcą przecież, ale z tamtej się wyłaniającą, skoro on, szlachcic, mając przy sobie i pod swojemi rozkazami książąt i panów, dowodził także chłopom i mieszczanom. Był on tym, który pierwszy wcielił zamiary przeświecające z ustawy 3-go maja, ów dogmat polityczny narodu, który miał kiedyś określić wieszcz i psalmista narodowy, wołając: „Jeden tylko, jeden cud, z szlachtą polską, polski lud“. W postaci i w działaniu Kościuszki przejawiają się przeto ideały, przejawia się cała przyszłość odradzającego się narodu.

Dlatego jemu tylko ziemny wystawiono pomnik, a zwłoki jego umieszczono w narodowej świątyni; dlatego to zwłoki jego, przyodziane w sukmanę chłopską, złożono między marmury i brązy, tam, gdzie spoczywają obok niego królowie, królowe, jeden książe-hetman i jeden wieszcz-hetman — w sklepionych podziemach Wawelu.

* * *

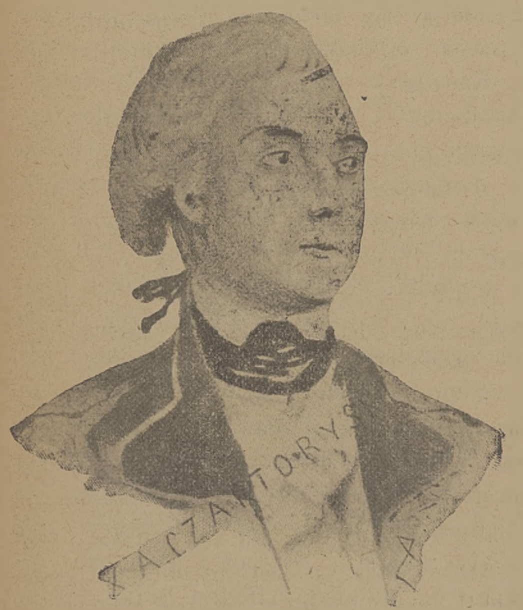
Nie mamy dotąd żywota Kościuszki, nie mamy dzieła o nim takiego, któreby zadowolnić mogło. Jest to zadanie bardzo trudne, zważywszy znaczenie tej postaci historycznej, czasy niezmierne zawikłane i brak prac przygotowawczych. Nawet materyały, dokumenta, nie są jeszcze należycie zebrane i ocenione.

Ale oto sztuka i poezya, które u nas wielkie spełniają posłannictwo, wyprzedzają w tej mierze i zastępują pióro badaczów. Lenartowicz wyśpiewał kilka serdecznych rapsodów, które może kie

---

*) Rychlicki: Tad. Kościuszko; Paszkowski: Dzieje T. Kościuszki; Zbiór wszystkich pism urzędowych itd., Kraków 1794; Comte D'Anneberg: Recueil des traités, conventions etc., Paris 1862! Wegner w Roczn. Tow. przyj. nauk. pozn. 1872; Szujski: Dzieje Polski.

dyś do ludu. Stachowicz próbował przechować ważne chwile z życia Kościuszki i zostawił dla następców malarzy bardzo cenny materyał w swoich obrazach. Matejko dał jednę wielką chwilę: Racławice. I bodaj, czy nie ten jego wspaniały obraz wzbudził myśl arcyszczęśliwą i zamiar chwalebny nakładcy, Fr. Bondy'ego, że spowodował dzieło artysty Zygmunta Ajdukiewicza, które nam w szeregu obrazów daje godny całokształt dziejów i żywota Kościuszki. Dzieło to prawdziwego talentu odpowiada już w swoim zakresie uczuciom, wyobrażeniom i pragnieniom naszym. Będziemy odtąd w domach naszych, w gronie rodzinnem oglądać i pokazywać te obrazy i będą nam one pomagać do gawęd o Kościuszce; aż kiedyś znajdzie się także historyk, który wszystko równie godnie opowie.



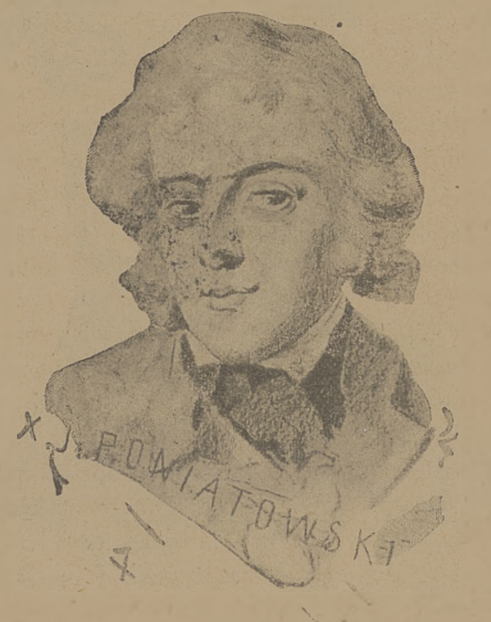
Tymczasem możemy przynajmniej zestawić główniejsze rysy postaci historycznej i człowieka i znamienne czyny jego; możemy starać się dać wyraz tej świadomości narodowej, która się objawiła usypaniem mogiły, która też musi dokładnie sobie odpowiadać na to pytanie: dlaczego Kościuszko właśnie jest tym człowiekiem dziejowym, który przez cały naród zgodnie jest uwielbianym i najserdeczniej kochanym?

* * *

Jest to niewątpliwem, że sama chwila dziejowa, w której Kościuszko wystąpił, przyczyniła się wielce do tego, że odrazu wszystkie prawe serca pozyskał, że wszystkie ramiona do niego się wyciągnęły, że w niego uwierzono. Była to bowiem chwila przygnębienia po dokonanych już dwóch rozbiorach ojczyzny, po sromotnej klęsce Targowicy. Zdawało się, że nietylko państwo upadło, ale naród przestał istnieć; że pozostali tylko gnuśni, obojętni, zaprzedani, tłumy i gromady niewolników. A przecież pomimo okropnego upadku większość narodu była zdrową; przecież przeważną część szlachty tworzyło to pokolenie, które wypracowało odradzającą społeczeństwo i państwo ustawę trzeciego maja; miasta przebudziły się i doszły do obywatelskiej świadomości, a lud wiejski był jeszcze białą, niezapisaną kartą i nadzieją przyszłości. Więc naród, lubo przygnębiony, był jeszcze pełen sił żywotnych, a posiadał także jeszcze dzielne resztki wojska polskiego. Najlepsi w narodzie — a tacy mają zawsze prawo za naród czuć, myśleć i działać i według ich miary naród sądzić należy — nie kładli się wcale żywcem do grobu, lecz byli pewni, że walka tylko jest przerwaną, że ona trwać będzie usque ad finem. Więc kiedy Kościuszko wystąpił, stało się to za sprawą najlepszych w narodzie, a wszyscy odetchnęli otuchą, gdyż nie był to dla narodu człowiek nowy, nieznany, lecz przeciwnie powitano go i przyjęto jako już dobrze znanego, jako już zasłużonego. Gdy stanął na czele narodu był on już takim, jakim pozostał do końca życia; a taki, jakim był, musiał być dla współczesnych tak sympatycznym, jakim pozostał dla potomnych i musiał wzbudzać szacunek i ufność.

Na urobienie charakteru Kościuszki wpłynęły szczęśliwe okoliczności. Potomek starej, ale niezamożnej, wioskowej szlachty, wyniósł z pod strzechy rodzinnej cnoty domowe, tradycye rycerskie, skromność obyczajów, przywiązanie do ziemi i chrześciańską miłość dla biednych, dla pracowitego ludu. Wychowanie i edukacyą otrzymał w szkole kadetów, dla której był prawem słynny przez ks. Adama Czartoryskiego ułożony katechizm rycerski, kodeks honoru, obyczajności, aplikacyi i miłości Ojczyzny. Takie wychowanie musiało przyjąć się dobrze u młodzieńca skromnego, który wyszedł z uczciwego gniazda, a uposażony był duszą wrażliwą, głową otwartą i wieloma talentami. Wszystkie te okoliczności ustaliły i rozwinęły dwa główne rysy jego charakteru: prawość i idealizm, a talentom jego dały podstawę rzetelnej nauki. Idealizm, dążność do wielkich celów, wiara w zadania święte, w prawa niespożyte, poczucie obowiązków, użycie wszystkich sił dla dobra Ojczyzny, a przez nią dla dobra — ludzkości — oto życie wewnętrzne, oto dusza Kościuszki, młodego oficera inżynieryi. Tradycya skromnego życia domowego i katechizm rycerski sprzyjały też zachowaniu naturalnej prostoty, otwartości i łagodności, które mu były wrodzone.

Tak wyposażony młodzieniec wysłany został na wyższą naukę do Francyi. Dwa lata przebył w akademii wojskowej w Wersalu, zdobywając całą wiedzę wojskową, jaką w Europie wówczas można było nabyć. Ale nadto, niepodobna przypuścić, żeby wielki ruch umysłowy i polityczny, który pod koniec XVIII wieku ogarnął Francyą, nie oddziałał na wrażliwą duszę polskiego rycerza idealisty. Powiał tam na niego szeroki prąd przeobrażeń, reform, horyzonty umysłu jego niewątpliwie się tam rozszerzyły. Powrócił do kraju jako człowiek stojący na wysokości europejskiej cywilizacyi, ale te wpływy zagraniczne nie zatarły przecież, ani nie zepsuły w nim takiego Polaka, jakim go zrobił dom i wychowanie. Brał on w pierś swoję magnetycznie wielkie idee, wstrząsające światem, ale nie wynaturzył się, nie poszedł na służbę namiętności i doktryn, nie przeniósł do Polski obcych, skrajnych niechrześciańskich kierunków. On, Polak, szlachcic, kochał wolność, ale zarazem i cnotę; on, żołnierz, hołdował karności i prawu. Wrócił więc do kraju skończonym, uformowanym człowiekiem.



Mianowany kapitanem, przeszedł teraz, zanim Ojczyźnie się oddał na wyłączną służbę, jeszcze jedną szkołę życia. Epizod romantyczny, miłość do elewki swojej, panny Sosnowskiej, był to wypadek, który ostatecznie zamknął epokę młodości formującej charakter. Przebieg wypadku tego nie jest dotąd krytycznie zbadanym, pewnem przecież jest, że były to za wysokie progi dla oficera szlachetki. Rozczarowanie atoli dotknęło człowieka, którego charakter i zasady były już dostatecznie wyrobione. Rozczarowanie nie wywołało u niego goryczy, ani nienawiści, ale sprawiło, że człowiek ten, który cierpiał i dojrzał, nie miał już odtąd innego ideału prócz Ojczyzny. W życiu jego nie odegrała już roli żadna inna kobieta, a dla tej jednej zachował do starości rzewne wspomnienie. Ten rys idealny przyczynił się niewątpliwie także do wzbudzenia w narodzie sympatyi dla Kościuszki. A do zupełnej harmonii przybywają jeszcze dwa znamiona, niemal konieczne: jego zamiłowanie do muzyki (gitara i skrzypce), która nie przestanie nigdy być jego pociechą i duchową karmicielką. Będzie on kiedyś w starości

zalecał młodzieży uprawę muzyki, jako pracę szlachetną, podniosłą, uszlachetniającą. Powtóre, nawyknienie do pracy ręcznej (tokarstwo), która często trudem swoim działała jak lekarstwo na rozbolałą duszę jego.

Dlaczego Kościuszko po tym epizodzie wyjechał do Ameryki? Być może, że chciał uciec przed egoistycznem cierpieniem i zniechęceniem, któreby mu w kraju zagrażało. Być może, że dusza ofiarna, serce gorące musiało szukać pola działalności, której w kraju już i jeszcze nie było. Bądź co bądź wyjechał tam, gdzie wielu szlachetnych z Europy wyjechało, żeby walczyć za wolność, za prawa narodu i ludzkości. Ten pobyt w Ameryce to już dzieje człowieka zupełnie skończonego. Dla naszych zaś dziejów fakt to ważny, nietylko z tego względu, że Kościuszko imię polskie rozsławił, ale przez oddziałanie na Kościuszkę samego i na usposobienia kraju. Kościuszko skąpał się tam niejako w cnotach patryotyzmu, poświęcenia, wytrwałości, męstwa, prostoty republikańskiej, wysiłków narodu, a wolnych od przymieszki gwałtów i dzikości. Były one zaprawdę cnotliwemi te pierwsze czasy wyzwolonej Ameryki pod dowództwem i rządami Waszingtona. Kościuszko jak naraz przystawał do owych stosunków i ludzi, a oni umieli jego ocenić. Inżynier, budowniczy i obrońca fortec, położył tam wielkie zasługi, na placu boju został jenerałem, a później kongres i lud umieli go uczcić należycie. Więc Kościuszko nabrał tam praktyki wojennego rzemiosła, a sława jego imienia sprawiła, że w kraju biły serca do niego, że bohater zamorski był już predestynowanym na bohatera narodowego. Wrócił do kraju jenerał, rycerz wolności i niepodległości, a kraj właśnie takiego potrzebował i wyglądał; miał też sposobność, zanim wybiła jego godzina, odznaczyć się w kraju jako generał, pod Dubienką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jan Kasprowicz.

Szkic literacki.

Napisała **Róża Erzepkowa.**

(Ciąg dalszy).

Zostawił dzieciom dobytek, ale ani córka, ani syn starca w chacie cierpieć nie chcieli, gdy stał się niezdolnym do pracy — i wygnali na wicher — na burze....

„Jan Rudawski“ to szlachcic, który z całym zapałem troszczy się o podniesienie dobrobytu i oświaty w swej wiosce — buduje chaty wieśniakom — szkoły dzieciom — i widzi w chłopie równego sobie człowieka. Za dobre serce swoje i szlachetne usiłowania nie doczekał się jednak nagrody.

W „Macieju Kosarczyku“ znów powtarza się motyw z „Salusi.“ — Ojciec córkę wygnał za hańbę, jaką domowi jego przyniosła. Na łożu śmierci jednak czyn ten okrutny spokoju mu nie daje — Kosarczyk skonać nie może i stygnącemi już usty domaga się Jagusi. Dopiero gdy Jagusię sprowadzono, gdy wargi jej na ręce swej poczuł i głowę córki do siebie przytulił — z ust jego z imieniem Jagusi ostatnie uleciało tchnienie.

Następne opowiadanie „Hanka Olpińska“ to dramat zawiedzionych macierzyńskich nadziei. Postać Hanki, która syna „zagon hojnie potem swym zlewając“, chce wyprowadzić „na ludzi“, oddana z niezrównaną plastyką, ogrzana ciepłem prawdziwego zrozumienia i współczucia.

„Marcin Szafran“ — to chłop brzydki — wioskowy Cyrano. Dziewczęta śmieją się z niego — żadnej dostać nie może — każda go zwodzi i wyśmiewa, aż Marcin po licznych zawodach dostał wreszcie mankolii. —

Tom ten zamyka poemat symboliczny „Maryan Olchowicz.“ Olchowicz to niby fantastyczny „król olch“ — sam poemat mglisty — niejasny — myśl jego przewodnia to pragnienie śmierci, która dałaby ciszę. —

Innym — nowym akordem zabrzmiała lutnia poety w wydanym rok później zbiorze liryków, zatytułowanym „Miłość.“ Zbiór ten obejmuje cztery poematy: „L'amore desperato“, „Miłość grzech“, „Amor vincens“ i „Z gór.“ Treścią jego — miłość.

To jedno słowo mówi za cały tom. Z każdej karty bowiem — z każdego wyrazu nieledwie bucha taki żar — takie uczucie mocne a płomienne, że wątek akcyi, jeżeli tu o tem wogóle mowa być może, ginie zupełnie z oczu — i słowa trzeba by chyba przetopić na lawę, by dać pojęcie o istocie tej poezyi. Język przepyszny mieni się poprostu od barw i blasków zwłaszcza w opisach przyrody — pełen woni, harmonii i siły zarazem. Poeta nigdzie nie omdlewa, nie roztkliwia się — przez całą „Miłość“ idzie jakiś prąd mocny, jakiś rozpęd nieokiełznany. Nie jest to lektura dla wszystkich oczywiście — są tam bowiem opisy zbyt drażniące a zdradliwe tem, że pod względem artystycznym tak pięknie oddane. Wyrwane z całości zwłaszcza — przyznajemy, że i zgorszyć mogą — gdy się wniknie jednak w całą treść tego tomu, to — jeżeli dobrze rozumiemy poetę — oburzenie znacznie złagodnieć musi. Poeta naszem zdaniem — maluje tu miłość przedewszystkiem jako potęgę — jako siłę władnącą światem, przed którą nie ujdzie nikt, — a choć przedstawia głównie rozkosz uczucia tego ze zmysłowej strony — nie przeczy i nie zatraca nigdzie pojęcia jej boskiego pierwiastku — czego u Tetmajera np. doszukać się trudno.

Tu jest prawdziwa namiętność — tam zmysłowość tylko, — K. maluje czar i pragnienie zmysłowej rozkoszy krótko, jędrnie — nie rozwodząc się, jakby nie chcąc płoszyć uroku chwili, który głęboko odczuwa — Tetmajer daje nam wstrętne obrazy — z upodobaniem zatrzymując się nad szczegółami i lubując się w rozpamiętywaniu na zimno. Ta siła — ta rzeczywista namiętność rozgrzeszyć powinna „Miłość“ w oczach wszystkich nieuprzedzonych.

Ponieważ — jak już wspomnieliśmy — treść nie nadaje się dla ogółu — poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance. Krzywdę jednakże wyrządzilibyśmy czytelnikom, gdybyśmy nie zwrócili uwagi jego na przepiękny opis lasu w drugiej części ostatniego poematu „Z gór“, a nie zapoznali go choć z urywkiem z trzeciej. Tło utworu tego — to Tatry — które poeta zna i kocha, bo rok rocznie bawi w Zakopanem.

Żył się on z tą przyrodą wspaniałą — z temi turniami i krzesanicami, których tajemniczy a groźny urok tak dobrze przypadać się zdaje do natury jego talentu. Potężna to i zbratana snać z życiem wśród hal wirchów i pierś, która takie „o haj!“ w przestwory cisnąć umiała!

....O haj! o haj!....
W porannych blasków kraj,
Ponad grzbietami skał,
Zwartych w zygzaków wał,
W kamiennych zamków bastyony,
W tumów wspaniałe portale;
Które oblały promieniste fale,
Wystrzelił dziki, szalony,
Namiętny krzyk....
To w błyskawiczny mig
Wspiął się w młodzieńczym szale
Na krzesanicy skraj,
Na opalową grań,
Zwinny juhasik młody
Po siwy kwiat szarotki:
Z przepaści patrzy nań,
W ciemne owita mgły,
Cierpliwa śmierć....

* * *

O haj! o haj!
W zawody
Ze śmiercią pójdzie on —
W to jemu graj!
Niech pod nim ściana drży,
Niech się zawali perć,
Niech granitowy trzon
Wstrząśnie się cały, jak wiotki
Młodego świerku pień,
Gdy dmuchnie śnieżny wiew:
On się przyczepi do skały,
Niby ta nikła cień,
Którą kosówki krzew,
Z szczelinki małej

Gdzieś tam u góry
Wysuwający swe pajęcze nóżki,
Rzuca na grani.
On na niej —
Na stromej turni, krzyżami zawiśnie
I z piersi wyrzuci w lazury,
W porannych blasków kraj:
O haj! o haj!
Co jemu śmierć? co lęk?
Co zimne głazów poduszki?
Co jemu chróstu pęk,
Który przechodzień mu ciśnie
Na tę samotną mogiłę?
Zuchwałą żądzy siłę
W stęsknionem czuje łonie,
Krew ogniem gra!
Stanie na szczytu koronie,
Niby królewski ptak,
Swej lubej hasło da,
Ten swój rozgłośny znak
W porannych blasków kraj
Na sto wyrzuci staj:
O haj! o haj!....

* * *

Urwać nam tu trzeba. Przepięknego opisu, jak echo rozlega się wśród gór, przytoczyć nam już nie sposób, bo i tak pod ręką rośnie nam ta praca ponad pierwotne zamiary!

Cykl poezyi objętych wspólnym tytułem „W ciemności schodzi moja dusza“ rozpoczyna „Krzak dzikiej róży“, który pojawił się we Lwowie w r. 1898. Cykl ten poeta nazywa „tęsknym śpiewem“ — głosem rezygnacyi splecionym z nieśmiałym żalem. W ciemności schodzi dusza poety, zazdrości tym, co w grobach leżą — żąda ciszy — a w ciszy znowu drży przed własnym cieniem. „Życia ogromne morze“ grzmi przed nim, a on na brzegu stoi zadumany — przechodzi wszystkie fazy smutku od rozpaczy do rezygnacyi i wreszcie ze znękanej duszy wypływa ku gwiazdom modlitwa:

„Modlitwo moja, cicha i bez słów....“

Sonetami, opiewającemi las szumiący, jako przystań spokoju i źródło pociechy, kończy się cykl tego tomu, nie przynoszący nowych motywów — odbijający stan duszy poety w tem samem oświetleniu, co „Anima lachrymans.“ Cykl drugi „Z wirchów i hal“ rozpada się na dwie części. Pierwsza mieści wrażenia „Z Alp.“ Najpochlebniej wyróżniła z nich krytyka pieśni wyśpiewane „na jeziorach włoskich.“ Poeta maluje tu w prześlicznych obrazach i rymach narodziny Afrodyty — jej czary i władzę nad światem i szczęście, jakie płynie z kochania. Jest to więc znowu „miłość“ i znowu płomienna — przedstawiona głównie ze strony cielesnej. Jest to „pieśń ciała“ jak sam poeta mówi.

Druga część „Z wirchów i hal“ to motywa i obrazy „z Tatr.“ Treść jest pokrewna — tło podobne — tu i tam góry — ale odrębny zupełnie nastrój — zaraz rzeźwiejszy, swojski ton i sposób obrazowania inny. Tu jest poeta w swoim żywiole — odnajduje się tu w całym rozmachu i dumie swej młodzieńczej krzepkości, wspina się w błękity i woła:

„Na krawędzie przepaści, ponad turnie załomy,
Tu gdzie orły jedynie tulą skrzydła znużone,
Hej! wspięliśmy się dumnie i w błękitów ogromy
Wzrok topimy zuchwały i dłoń wznosim po słońca koronę.

Dla olbrzymów te szczyty, a dla karłów poziomy!
Gardźmy płazem, co nie śmie nawet spojrzeć w tę stronę!
W ten krąg złoty wpatrzeni, w znak sił naszych widomy,
Zakochajmy się w sobie! wszak jesteśmy, jak blaski wcielone!“

. . . .

(Dokończenie nastąpi.)

Do dziewicy polskiej.

Na krwawej niwie życia, co widnieje w dali,
W białej szacie i z gwiazdą promienną nad czołem,
Z duszą podobną niebios kryształowej fali:
Bądź jasnym cnoty aniołem!

Nad zmartwiałego świata bryłą lodowatą,
Gdy zgasi światło życia ojcobójczą ręką,
Spali myśli i uczuć swych księgę bogatą:
Bądź słońcem, złotą jutrzenką!

Lecz gdy lody stopnieją, gdy serce zapłonie,
Gdy się błękit rozjaśni po ciemnej zawiei
I spłynie zdrój kryształny na zatrute tonie:
Bądź świeżym kwiatem nadziei!

Na drodze poświęcenia nie zlęknij się krzyża,
I gdy Bóg na Ojczyznę naszą zsyła kary,
Pomnij, że przez krzyż tylko do nieba się zbliża:
Bądź cierniem w wieńcu ofiary!

A skoro z krwi męczeńskiej kwiat życia urośnie
I dawna błyśnie gwiazda nad Polską i Litwą,
O! wtedy, w tej wolności pierwszej naszej wiośnie:
Bądź świętą podzięk modlitwą!

Uzbrój się w miłość wielką, nadzieję i wiarę,
A idąc zakreślonym w niebie życia torem,
Czy spełniasz kielich szczęścia, czy goryczy czarę:
Bądź Polką — niewiasty wzorem!

Niech się spełni rój marzeń, co ci dźwięczy w łonie,
Bądź jasną, czystą, świętą jak niebiańskie kwiaty,
Bądź węzłem, spajającym dwa przeciwne światy:
Bądź perłą w Boga koronie!

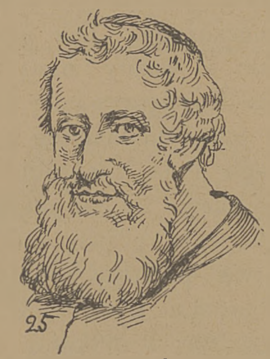
Gustaw Pawłowski.

Arcybiskupi Gnieźnieńscy i Prymasi.

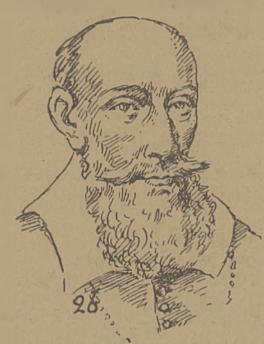
(Ciąg dalszy.)



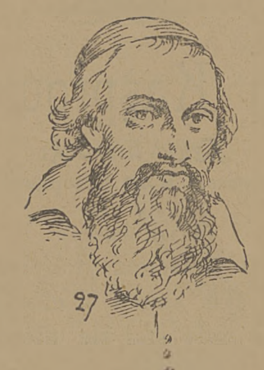
24. HENRYK z Bremy
(de Brem) z zakonu Franciszkańskiego ustanowiony Arcybiskupem przez Papieża Marcina IV, nie przyjął tej godności.



25. JAKÓB II,
herbu Swinka, kustosz metropolitalny, prekonizowany 30 lipca 1283. Sakrę biskupią otrzymał w Kaliszu 19 grudnia roku 1283 i zarządzał archidyecezyą gnieźnieńską blisko 31 lat. Umarł r. 1314.



26. BORZYSŁAW,
herbu Belina, archidyakon poznański i kanonik gnieźnieński, wybrany drogą kompromisu w Uniejowie Arcybiskupem, prekonizowany był dopiero r. 1317 z powodu śmierci Papieża Klemensa V. Umarł w tym samym roku w Awinionie, nie objąwszy dyecezyi.



27. JANISŁAW
archidyakon gnieźnieński z rodziny Kotwiczów. Towarzyszył Borzysławowi w podróży jego do Awinionu i tam po jego śmierci mianowany przez Papieża Jana XXII 7 listo-

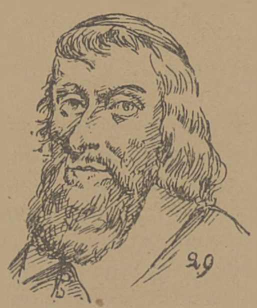
pada r. 1317 Arcybiskupem gnieźnieńskim. Rządził dyecezyą 24 lata i umarł w Łęczycy r. 1341.



28. JAROSŁAW BOGORYA SKOTNICKI

z archidyakona krakowskiego i kanonika metropolitalnego wybrany przez kapitułę gnieźnieńską drogą kompromisu na Arcybiskupa w r. 1342, udał się osobiście do Awinionu, gdzie Papież Klemens VI prekonizował go na Arcybiskupa 8 lipca 1342 r. Umarł w Kaliszu 17 września 1376, mając sto lat wieku.

Mąż był to uczony i zdolny, kształcił się w Bononii, a wróciwszy do ojczyzny został archidyakonem krakowskim i kanonikiem gnieźnieńskim, później zostawszy Arcybiskupem gnieźnieńskim, wizytował często dyecezyą i godził Biskupów pomiędzy sobą i ze szlachtą.



29. JAN II SUCHYWILK,

siostrzeniec Arcybiskupa Jarosława, dziekan krakowski, kanonik gnieźnieński i kanclerz Kaźmirza Wielkiego pochodził z możnego rodu Grzymalitów. Gdy wuj jego zaniewidział nagle w Żninie i w r. 1372 zwolnionym został na własne żądanie z urzędu arcybiskupiego, wyniesiony na stolicę gnieźnieńską, prekonizowanym był przez Papieża Grzegorza XI dnia 28 kwietnia roku 1347. Umarł w r. 1382 w zamku arcybiskupim w Żninie.



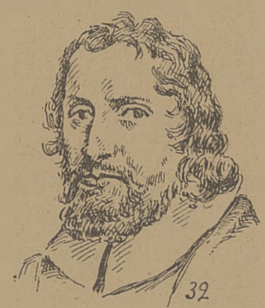
30. BODZANTA,

herbu Szeliga, syn Wiesława ze Szeligów, wielkorządca dóbr królewskich w Księstwach krakowskiem i sandomierskiem, kanonik gnieźnieński i krakowski, proboszcz św. Floryana na Kleparzu w Krakowie, zatwierdzonym został na Arcybiskupa przez Papieża Urbana VI dnia 9 marca 1382, za usilnem staraniem króla Ludwika. Umarł 26 grudnia 1388. Prawnym elektem kapitulnym był Dobrogost z Nowegodworu, ale król nie tylko nie chciał go uznać, lecz w podróży do Rzymu kazał go pojmać.



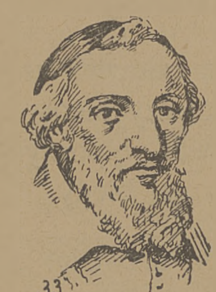
31. JAN III OLIT KROPIDŁO,
Książę Opolski,

Biskup kujawski. Uzyskawszy za pośrednictwem stryja swego, księcia Opolskiego, biskupstwo poznańskie, a następnie kujawskie, po zawakowaniu Arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, wymógł na Papieżu Urbanie V, że tenże w r. 1389 mianował go Arcybiskupem gnieźnieńskim. W roku 1394 wszakże zrzekł się Arcybiskupstwa, ponieważ otrzymał je bez zezwolenia króla Władysława Jagiełły i wbrew woli kapituły. Przez 5 lat przeszło w archidyecezyi gnieźnieńskiej panowało wielkie zamięszanie i rozdwojenie.



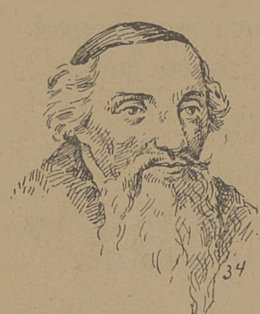
32. DOBROGOST NOWODWORSKI,

herbu Nałęcz, zwany Wydrzyoko dla bolących oczu. Z kantora gnieźnieńskiego, dziekana krakowskiego i kanonika poznańskiego najprzód elekt Arcybiskup gnieźnieński, potem Biskup poznański, nareszcie rzeczywisty Arcybiskup gnieźnieński, ale potwierdzony przez Papieża Bonifacego IX na usilne prośby Władysława Jagiełły, objął arcybiskupstwo gnieźnieńskie dopiero 26 marca r. 1394. Umarł we wsi Chełmie r. 1402, pochowany w Gnieźnie.



33. MIKOŁAJ I KUROWSKI,

herbu Szreniawa, dziekan krakowski i kanclerz koronny, przeniesiony z biskupstwa kujawskiego do metropolii gnieźnieńskiej przez Papieża Bonifacego r. 1402, umarł 3 września r. 1411, pochowany w Gnieźnie.



34. MIKOŁAJ II TRĄBA,

kanonik gnieźnieński, krakowski i sandomirski, podkanclerzy koronny, po nieprzyjęciu przez króla Władysława wybranego jednomyślnie Arcybiskupa Wojciecha Jastrzębca, Biskupa poznańskiego, przez Papieża Jana XXIII bullą przeniesiony na arcybiskupstwo gnieźnieńskie w r. 1412, w tymże roku odbył uroczysty wjazd do Gniezna. Umarł r. 1422 w Łubnicy na Spiżu, pochowany w Gnieźnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na uroczystość zesłania Ducha św.

Niezbadanym cudem Duch święty zstępuje
Na uczniów Chrystusa w językach ognistych,
A pokój wlewając do serc ich przeczystych,
Drogę im do celu świętego toruje.

Za pomocą łaski i do nas przychodzi
Pocieszyciel święty do przybytku duszy,
Gdy moc Jego darów serce nasze skruszy,
A blask prawd zbawiennych umysł wypogodzi.

Przeto prosim Ciebie, o! Ty, Światło żywe,
O rosę niebieską Twej Bozkiej *mądrości*,
Która pokonując w nas wszelkie słabości,
Sprawia, że czyn, słowo nasze niekłamliwe.

Przyjdź, Porcie tonących, i zamieszkaj z nami,
Rozumu udziel nam siłę niezwalczoną,
Ty w pokusach życia bądź naszą obroną,
Gromiąc fałsz nauki Twej między ludami.

Udziel, Ojcze sierót, nam zbawiennej *rady*
We walkach codziennych i srogich z szatany,
Tyś to na pociechę strapionych zesłany,
Więc nas wyswobodzisz od grzechu zagłady.

Zstąp do serc naszych, Skarbie *umiejętności*,
I ulżyj nam brzemienia, które dźwigamy,
Widzisz, pod ciężarem krzyża upadamy,
Ty nas cierpieć naucz dla Twojej miłości.

O! Gwiazdo żeglarzy, dodaj *męstwa*, mocy,
Byśmy mogli oprzeć się pokusom świata,
Niech nas węzłem zgody Twoja łaska brata,
Ty w niebezpieczeństwach służ nam ku pomocy!

Bądź nam wodzem w myślach, o! Duchu [Swiętości
Aby chęci nasze budujące były,
By zawsze do celu świętego dążyły —
Ty zapal w nas iskrę szczerej *pobożności!*

O! Pogromicielu w nas słabości wszelkiej,
Natchnij nas dobrocią i *bojaźnią* Boga,
Niech przed nami pierzcha moc pokusy wroga,
Chwała, cześć na wieki Twej potędze wielkiej!

3. 6. 1900. *Urszula z nad Warty.*

MODLITWA.
(Fantazya wiosenna.)

Na zagonie rodzinnym klękam w pokorze.

I ręce me składam w zachwycie niemym, w cichem błaganiu duszy, stęsknionej ciepła i blasków promiennych, co niecą w sercu światła srebrne nadziei i wiary.

I ciebie błagam, Ciebie Różana i Jasnolica, Ciebie, Dziewico słońca i lazurów! Pod Twoje stopy kwieciste ślę szeptem łzawym modlitwę ducha mojego.

Z krainy czarów, z zieleni gajów odwiecznych przybywasz w purpurze Królewskiej na dolinę senną.

Do serc zbolałych, co zastygły w cierpieniu, do dusz wątpiących, co wiarę w Twe blaski straciły, przybywasz, Świetlista, z uśmiechem szczęścia i rozpalasz nad niemi promienistą tęczę przeczuć zaziemskich...

Przybywasz, więc bądź błogosławiona!

Na białej twej skroni lśni korona barw dyamentowych, co budzą w duszach tajemne błyski snów prześnionych. A szata Twa wonna powiewem bujnym koi przędzę niedoli i cierpienia.

Przybywasz, Radosna, więc bądź błogosławiona!

Więc dłonią hojną Ty rzucaj na niwę złote ziarna nadziei!

I łzą oczu modrych zwilżaj plony słabe, a cieniem szaty osłaniaj przed skwarem bólu i burzą cierpienia. Osłoń je, promienna, by rosły w ciszy i zakwitły kwieciem barwnem.

I z promieni gwiaździstych od lazurów Twojego czoła Ty nastrój lutnię dźwięczną i zabrzmij słowiczymi tony, pieśnią Twojej duszy i Twojego serca, hymnem wiosennym nowego życia.

I warkoczem zórz purpurowych Ty utul w uścisku serdecznym lasy i pola, i wody ciche. I pieść je w puchu łabędzim Twego czaru, i nuć im siebie, by Cię wielbiły na wieki.

Przybywaj, Złocista, i bądź nam błogosławiona!

Jan Zakrzewski.

Zorza.

Zaświeciła ranna zorza,
nad uśpioną ziemią,
w której skarby niewidziane,
niesłyszane drzemią.

Zaświeciła ranna zorza,
a jej skry promienne
rozlewają się i płyną
nad te smugi senne.

Płyną wielką, złotą falą
ponad żytnie łany,
musną kłosy i kłos każdy
wnet jak rozegrany.

Chwieje głową, cicho szumi,
z wiewem się kołysze,
z rannym wiewem, który idzie
w dal, w szumiącą ciszę.

I od razu, jakby świat ten
rajską był kapelą,
całe pola zaszumiały,
lśnią się i weselą.

Całe pola zaszumiały,
błogosławiąc zorzy
za to ranne przebudzenie,
za ten promień boży.

Zaszumiały razem z niemi
w ten przestwór daleki
nasze stawy i wądolce,
jeziora i rzeki.

Zaszumiały razem z niemi
stare, siwe drzewa,
skowronek wzleciał w górę
i radośnie śpiewa.

Niby jakieś zmartwychwstanie
dzwoni w jego głosie,
a tu zorza się uśmiecha
w najdrobniejszej rosie.

A tu świeci ranna zorza
nad naszą wioszczyną,
wokół blaski jej ogniste
wciąż płyną i płyną.

Płyną wielką, złotą falą
nad podarte strzechy,
gdzie tak dużo trosk się gnieździ,
a mało pociechy.

Gdzie się człowiek ze snu budzi,
a nie wie, czy kiedy
zazna chwili wypoczynku,
końca swojej biedy.

Gdzie pod drzwiami czyha nędza
i za kark go bierze
i gdzie gorżkiem tylko łkaniem
ranne są pacierze.

Co tam troska! co tam bieda!
co tam gorżkie łkanie!
zorza świeci jaśniejąca
na zbudzonym łanie!

Zorza świeci nad zorzami,
promienista, złota:
Dalej! dalej! niecierpliwa
czeka nas robota!

Dalej w pole, tam, gdzie w blaskach
szumią kłosy żyta,
gdzie nas wczesny skowroneczek
rannym śpiewem wita.

Rannym śpiewem zmartwychwstania,
grzmiącym ponad ziemią,
w której skarby niewidziane,
niesłyszane drzemią.

Jan Kasprowicz.

Przyjaciółki

NOWELETA.

W piecu ogień palił się, trzaskając i sycząc. i przez kraty drzwiczek rzucał migotliwe, czerwone błyski w ponury cień pokoju.

Czasami język ognisty oświetlił przelotnie jedną postać niewieścią, co majaczyła na łóżku, jak plama ciemna; czasami znowu rzucał blaski na figurę jasną, siedzącą na podnóżku wysokiego klęcznika.

A potem w głąb pieca się chował i syczeć przestawał, a pokój znowu cichł i ciemniał.

Dla tych dwóch kobiet szara godzina była zwykle chwilą zwierzeń i szeptów poufnych. Od jakiegoś czasu coś się musiało zmienić między niemi, bo milczenie dzisiejsze wyglądało nie na kłótnię chwilową, lecz na przyjęty już raz na zawsze zwyczaj przepędzania tej godziny.

„O takiej chwili, gdy dwa serca płaczą,
Jeśli co mają przebaczyć — przebaczą,
A jeśli mają zapomnieć — zapomną!“

Ale one nie miały sobie nic wzajemnie do przebaczenia, nawet nic do zapomnienia! Coś się w ich duszach zmieniło tylko, coś znikło, coś innego może narodziło na to miejsce... Co? — nie wiedziały. Kto zmianę sprowadził: czas? życie? czy ludzie? — także nie wiedziały.

Zresztą wszystko im było jedno w tej chwili; czuły tylko, że dźwigają całe góry ciężarów na duszach, i czuły, że nie mają już odwagi, jak dawniej, ulżyć sobie zrzuceniem gór tych jedna na piersi drugiej.

A ogień palił się coraz równiej; przestał syczeć a trzeszczeć i coraz rzadziej rzucał czerwone przelotne błyski na te dwie kobiece postacie, jedną jasną, drugą ciemną, co naprzeciw siebie siedziały. I cisza była coraz głębsza i cień coraz czarniejszy.

A w tym cieniu dwie ich dusze spotkały się z sobą w przestrzeni i prosić, a zachęcać, a skarżyć sobie poczęły.

— Mów ty pierwsza! — szeptała bez głosu jedna.

— Zacznij ty, bo ja nie mogę! — odpowiadała druga.

— Ciężko mi! — łkała bez jęku jedna.

— Mnie jeszcze ciężej! — łkała druga.

Ogień raz ostatni syknął, przesunął się po ich czołach schylonych i niewyraźnych kształtach, i zwolna gasnąć począł.

W pokoju było coraz ciszej i coraz ciemniej.

A zachęcone tą ciemnością i tą ciszą, dusze zeszły się teraz tak blizko, że się przeniknęły i stopiły w jedno.

I znowu się zwierzały sobie szeptem bez słów i bez dźwięku:

— Nie pozwólmy życiu wchodzić między nas, a latom ostudzać wzajemnej wiary w siebie. Cóż nam zostanie, gdy utracimy wspólność naszą!

— Tyś pierwsza przestała mi ufać! poskarżyła się jedna.

— Tyś mnie w tem prześcignęła! — dodała druga.

— Wróćmy się wstecz! — zakończyły obie razem.

I rozeszły się nieuchwytne w coraz większej, głębszej ciszy, w coraz większym, czarniejszym cieniu pokoju.

Każda wróciła w ciało swe, które opuściła chwilowo, i rozpoczęła z niem niedosłyszane rozhowory.

I mówiły stopom: „Idźcie ku sobie!“ a ustom: „Złączcie się!“ a rękom: „Obejmijcie się!“ a sercom: „Czujcie, jak dawniej!“ I tylko niewiadomo który z tych członków ociągał się najdłużej, a któryś się ociągać musiał, bo w ciszy coraz głuchszej, w cieniu coraz czarniejszym przeszło pół godziny.

Nagle na łóżku drgnęła jedna ciemna postać, z klęcznika podnóżka ruszyła się druga, jasna.

Stanęły i zdawało się, że chciały iść ku sobie. Wtem drzwi zaskrzypiały, i pokazał się na progu służący z wielką jasną lampą, z kloszem w kwiaty.

Rozwiała się ciemność, pierzchła cisza. Kobiety spojrzały na siebie, uśmiechnęły się jednocześnie z lekka, i każda wyszła przez inne drzwi pokoju...

Anna Kłopotowska.

POD UROKIEM.

Dokoła słońce... słońce!... Natura spragniona
Życiodajnego światła, całą piersią chłonie
Młode siły, ukryte w jego wrzącem łonie,
I błyszczy, kwitnie, śpiewa — szałem upojona!

Wiosna!... wiosna!!... Wyciągam stęsknione ramiona
Ku cudnej czarodziejce... Krew mi w żyłach płonie,
Serce rozsadza piersi... wdycham kwiatów wonie;
Nęci mię blask ten złoty, nęci ruń zielona...

W gaju życie aż tętni. Szum drzew, ptasząt gwary,
Brzęczenie pszczół — w rozgłośną jedną pieśń [się zlały,
W bezbrzeżny hymn radości. Z wrzącej uciech czary
I ja chcę pić!... Precz myśli, coście mi zabrały
Słodycz młodzieńczych wrażeń i naiwnej wiary!
Wiosno! Weź mię w objęcia! Jam twój... jam [twój cały!...

Leon Rygier.

O Zachodzie słońca.

SCHERZO.

Życie jest jak niebo, a złudzenia jak gwiazdy złote. Kiedy oderwie się błyszczący punkt od firmamentu i ginie gdzieś w czarnej przestrzeni, wtedy żal jakiś chwyta za serce, i ludzie mówią, że czyjeś zgasło życie, a to tylko jedno złudzenie umarło.

Słońce zachodziło czerwono a pogodnie. Pod zielonym dachem winogradu stało na schodach altany dwoje młodych. Ona patrzała na zieleń łąk, które się wyciągały przed nią aż pod stopy gór wysokich, a on utkwił oczy w białej twarzy dziewczęcia i chwytał wzrokiem każde drgnięcie ust jej i oczu. Palące się niebo rzucało złote refleksy na jasne włosy obojga, powiew łagodny z doliny przynosił ciche szepty wieczoru, którymi żegna ziemia usypiające słońce.

I stali tak długo przy sobie, aż słońce się na sam brzeg widnokręgu zsunęło, a stoki gór w fioletowym cieniu tonąć poczęły.

Wtem chłopiec odwrócił głowę, wyciągnął rękę ku szarzejącej dolinie i patrzał chwilę. Piersi podniosło mu westchnienie, zwrócił znów swe duże oczy na dziewczynę i cichym głosem, pełnym uniesienia i zachwytu, mówić począł:

— Czerwone słońce ginie za siną mgłą gór, obłoki jaskrawemi plamami przerywają jasny ton niebieskiego sklepienia. Na czole twem i włosach kładzie zachód ostatnie gorące pocałunki... O jakże ty jesteś piękną!...

Dziewczę z zadowoleniem pogładziło włosy — spojrzała nań, i oczy ich zbiegły się w długiem, jak uścisk namiętnem spojrzeniu. I przypomniała sobie, co mówiono jej raz o nim... że jest poetą, że pisze wiersze!

A on mówił dalej, wlepiając wzrok w dal bezbrzeżną.

— Daj mi rękę... czuję, jak w mojej dłoni drżą twe drobne paluszki... nie bój się! Pójdziemy razem w ten płomienisty zachód, oblani jego tęczami — pójdziemy wsłuchiwać się w chóry łąk dalekie i w cichy klangor żórawi, a potem będziemy patrzeli w gwiazdy złote i wysrebrzali twarze wzrokiem księżyca...

Zamgliły się oczy dziewczęcia, bo nie słyszała go jeszcze nigdy tak mówiącym — zawsze był wobec niej nieśmiały... Główka jasna pochyliła się na ramię chłopca, on przyciągnął ją lekko ku sobie i tkliwie, drżąco zaszeptał:

— Pójdź ze mną!... Tyś piękna i młoda, ale ci samej źle na świecie... Pójdź ze mną, bo moje serce bije tak gorąco, krew tak szybko krąży w mych żyłach, oczy szukają tylko twych oczu, a pierś twej piersi...

Jakby z lękiem się cofnęła, lecz on przyciągnął ją znowu ku sobie.

— I nie bój się, że dłoń moja tak gorąca, że oddech moj skroń ci pali, bo ja cię szanuję, jak pamięć mojej matki... tylko chcę wzrok i umysł napoić twym obrazem na czas długi, chcę przelać w ciebie krwi mojej tętno i ból, co piersi mi szarpie, i tęsknotę, co łzy z pod powiek wyperla... i odejdę od ciebie cicho, bez skargi... tylko ten wieczór daj mojemu szczęściu!

Chciał iść naprzód, lecz ona stała nieruchoma, zarumieniona — oczy przykryła rzęsami i czoło pochyliła ku ziemi. Chłopiec patrzał jej w oczy niespokojnie.

— Julio — mówił to wieczór ostatni... jutro już nie będziemy żegnali razem słońca!... Przeżyjmy tych chwil kilka, jak żyją bogi, w zachwyceniu miłości i szczęścia! Ta zorza czerwona długie, szare życie ma mi rozświecić wspomnieniem... Patrz!... już nikną złote blaski na chmurach... Pójdź ze mną!

Dziewczyna wysunęła się z jego ramienia, z po za ściśniętych warg wybiegło:

— Nie...

Lecz on nie przestawał nalegać:

— Słyszysz, jak jęczą w oddali łąk bagnistych chóry?... nad nami już klucz żórawi przeleciał... tam na wschodzie już miesiąc z lasu wysuwa twarz białą... Dlaczego ty nie chcesz iść ze mną... Julio?...

Ona nic nie odpowiadała zakłopotana, a chłopiec coraz namiętniej, z jakąś rozpaczą prosił:

— Więc nawet tych kilku chwil poświęcić mi nie chcesz? Dlaczego?... o, powiedz mi dlaczego, bo dziwna burza w piersi mej wzbiera!... Czy już nie zostało ci dla mnie nic serca?!

Julia drgnęła i spojrzała nań łagodnie.

— O nie! — odrzekła.

On przypadł jej do nóg i całując dłoń małą, prosił:

— A więc pójdź!... pójdź!

— Kiedy wieczorem — mówiła cicho — chodząc po łąkach, można dostać kataru...

. . . .

Długo patrzała, jak jego wysmukła sylwetka roztapiała się w szarym mroku...

A księżyc już srebrzył mgliste opary na wschodzie i gwiazdy zaczynały migotać.

W. S.

KLUSZYN.

(Fragment z przeszłości.)

I.

....W promieniach wiosennego słońca 1610go roku, zajaśniał orzeł biały nad krainą moskiewską, jak zwiastun błogiego pokoju nad krainą zgrozy i mordów.

Z pod Smoleńska wyprawiono posłów do wichrzących z Moskwą bojarów, upominając ich do zgody, do przywrócenia pokoju w krainie znękanej tak długim krwi rozlewem. Ale Wasyl Szujski nadęty kilką pomyślnemi utarczkami, a szczególnie wojskiem, złożonem z Niemców, Szkotów, Szwedów, Anglików i Francuzów, a kupionem za pieniądze od owego Karola Sudermańskiego, co Zygmuntowi III wydarł tron szwedzki, kazał odpowiedzieć, że żadnego poselstwa polskiego nie przyjmuje i wysłał kniazia Chanańskiego i kniazia Bariatyńskiego z wojskiem moskiewskiem, a brata swego Dymitra z owem wojskiem cudzoziemskiem do wzięcia Biały, zamku nad Mieją, będącego w ręku Polaków.

Na wiadomość o pochodzie moskiewskiego wojska ku Białe, poruczył dowodzący wyprawą hetman Żółkiewski oblężenie Smoleńska Potockiemu, wojewodzie bracławskiemu, a sam ruszył pod Carowe Zamieście, gdzie obozem rozłożyło się dziesięć tysięcy Moskali, pod Hrehorem Wołujewem i kniaziem Jeleckim. Po krwawej utarczce zajął wielki szlak, do Możajska wiodący, którędy Wołujew posiłków oczekiwał, odciął Moskalom drogę do odwrotu i obsaczył ich do koła. Nocą tedy, lasami, wymknęli się posłańcy z obozu moskiewskiego do stojącego ztamtąd o dwanaście mil pod Mozajskiem kniazia Dymitra, błagając go o śpieszny ratunek. Ruszył tedy kniaź Dymitr, by skruszyć garstkę zapamiętałych Polaków. Hetman polski zaś, skoro posłyszał o zbliżaniu się nieprzyjaciela, poruczył rotmistrzowi, Jakóbowi Bobowskiemu, trzymanie na wodzy obsaczonych pod Carowem Zamieściem Moskali, a pozostawiając na miejscu wszystkie straże, w obliczu nieprzyjaciela stojące, i zakazawszy trąbić i bębnić — by niczem nie zbudzić uwagi nieprzyjaciela, wyruszył nagle przed zachodem słońca.

Jak chmura cicho płynąca, posuwa się wojsko polskie wśród głębokiego milczenia. Czy ucieka przed groźną potęgą Moskwy? Czy idzie szukać pomocy, gdzie jej znaleźć nie zdoła? Czy może wódz polski z przestrachu nie wie, co robi? nie wie, dokąd idzie? On niespodziankę robi nieprzyjacielowi i idzie na jego spotkanie. Bóg tylko wie, czy wyjdzie żywy z pomiędzy tłumów nieprzyjacielskich: ale przestrach i ucieczka, to nieznane mu rzeczy.

Przez całą noc szło wojsko polskie, brnąc w błotach i grząskich bagnach, aż z brzaskiem dnia stanęło pod Kluszynem, nad obozem głęboko uśpionego nieprzyjaciela, znajdując łatwe zwycięztwo w nagrodę mozolnego pochodu. Ale dla czegoż staje i podal i szeregi swe porządkuje? Czy może na widok tego ogromu sił moskiewskich wódz polski uznaje, że tu broń złożyć trzeba? O! on broń swą tylko wraz z trupem swoim złoży przed nieprzyjacielem: ale on nie uderza na wroga uśpionego, on jak lew rzuca się nań dopiero, gdy mu stanie naprzeciw do walki gotowy.

Wtem coraz baczniej przypatrują się Moskale, aż zdumieni widzą, że Polacy do boju się szykują — a z śmiechem i urąganiem rozsuwają się tłumy moskiewskie w szeregach nieprzejrzanych.

Na prawem skrzydle stanęło wojsko cudzoziemskie pod Jakóbem Pontusem i Krzysztofem Summem, w liczbie dziesięciu tysięcy. Lewe skrzydło zajęło wojsko moskiewskie, przeszło czterdzieści tysięcy liczące, pod kniaziami Dymitrem Szujskim, Andrzejem Galicynem i Daniłem Mezeckim. Przeciw tej sile, osłoniętej prócz tego długim płotem, rozdzielającym obydwa wojska stanął zastęp polski, ledwie dziesięć tysięcy ludzi liczący. Na prawem skrzydle szyku polskiego stanął pułk Zborowskiego, a przybocznym hufcem pułk Kazanowskiego i Dunikowskiego. Na lewem, pułk Strusia, starosty chmielnickiego, a przybocznym hufcem pułk hetmana pod dowództwem Janusza Koreckiego i czterysta kozaków pod Piaskowskim. W siekanych hufcach zaś szły odwodowe roty pod okiem hetmana, a wszystkie pułki były konne, bo trochę piechoty i dwa działa dla trudnej jeszcze drogi nie przybyły.

II.

Wychodzące słońce czwartego lipca, oblało płomienną łuną uszykowany zastęp polski: płomieniem łysnęły szable i kopie polskie — i płomienną świetnością wionął w powietrzu czerwony proporzec Polski. Pod nim hetman, na rumaku niepokalanej białości — jak włos na głowie, jak dusza w piersi hetmańskiej. Z zachwytem patrzą wojownicy polscy w szlachetne oblicze swego wodza, jaśniejące wieńcem promieni słonecznych i świetniejszym jeszcze wieńcem promiennej wielkości duchowej.

A nad wodzem polskim, wysoko w powietrzu, orzeł zawisł — olbrzymi i nieruchomy i nieruchomem okiem nurzy się cały w widoku postaci hetmańskiej.

Czy wiecie, co to za orzeł? To orzeł z rodzinnych niw hetmana, z dalekiej Turynki, to ów orzeł, co niegdyś hetmana polskiego osłonił skrzydły swemi od palącego skwaru południowego słońca, gdzie będąc niemowlęciem, zostawionym był od niedbałej piastunki na otwartej błoni.*)

Czegoś tu przybył siwy orle, piastunie hetmana? Czy i dziś przychodzisz osłonić go skrzydły swemi od skwaru lipcowego? Albo przychodzisz widzieć go w promiennym blasku wielkości? Czegoś tak wzrok utkwił w białym orle, co nad hetmanem skrzydła swe roztoczył? Czy się tak napatrzyć nie możesz jego śnieżnej piękności? Czyż się tak w nim rozkochał, że jest kochankiem wypiastowanego od ciebie hetmana? O tak! Jak ty niezmierzone obszary powietrza, jak ty śmiałą swobodę lotu, jak ty promienną światłość jasnego słońca, tak hetman, piastunek twój, kocha tego orła białopiórego. Ten orzeł, ten kochanek jego duszy, to marzenie jego serca, to jasne słońce jego myśli. A jak ty lotem skrzydeł ciągle dążysz ku słońcu i nigdy z niego oczu nie spuszczasz, tak i hetman, piastunek twój, lotem dąży ciągle ku owemu orłu na proporcu Polski i nigdy zeń oczu nie spuszcza i nigdy, nigdy, aż do statniej chwili skonu, oczu swych zeń nie spuści.

Wtem orzeł w powietrzu głęboko na dół wytężył szyję, a okiem wrył się w hetmana; i rumak hetmański na ziemi stanął jak wryty pod swym jeźdźcem i wyprężył uszy, i wszyscy wojownicy Polski pochylili się naprzód, a cała dusza ich w ucho zbiegła — bo hetman mówi:

— Nie chciałem oczekiwać nieprzyjaciela, wolałem pójść mu naprzeciw, bo tak przystało wojownikom Polski. Ale nie myślcie, że idziecie na pewne zwycięztwo, bo nieprzyjaciel nasz lepiej od nas opatrzony w broń i w dowódzców, i pięćkroć silniejszy od nas. Czy ośmielicie się nań uderzyć?

Długi przeciągły okrzyk boju odpowiedział na hetmańskie zapytanie.

— Poznaję was, poznaję! To wy pogromcy Szwedów, Niemców i Tatarów to wy, rycerze orła białego, co nieprzyjaciela dopiero po walce obliczają. A ten orzeł, to ten sam, co wiódł polskie hufce pod Kijów, Wrocław i Grunwald, ten sam co was widział walczących pod Byczyną, Rewlem i Krasnostawem, ten sam, którego gromy huczały już nad wszystkiemi ludy, pomiędzy Łabą i Dnieprem. Dziś niechaj zahuczą nad podstępną Moskwą. Dziś czeka nas bój, co po wszystkie czasy wrytym zostanie w dziejach Polski słonecznem pismem albo krwawemi rysy, bo to bój o sławę orła naszego, i w boju tym albo Moskwa w proch się ugiąć musi przed orłem Polski, albo my wszyscy z orężem polegniemy. Komu życie miłe, ten niechaj zostanie, a za mną niech tylko ten ruszy, kto nad podłe życie woli śmierć wielką, bo my na śmierć idziemy, na świętą śmierć za orła Polski; Za mną! kto kocha Boga i Polskę!

— Boga Rodzico Dziewico!

A orzeł hetmański w powietrzu groźno załopotał skrzydłami i jak piorun strzelił naprzód, i rumak hetmański na ziemi, co dotąd jak posąg stał nieruchomy, jakby pojmując wysokie znaczenie słów hetmańskich, wspiął się w górę, zarżał głośniej od grzmiących trąb i sadził naprzód szalonemi rzuty, jak gdyby całą Moskwę chciał garnąć pod swe kopyta, a za nim warczą chorągiewki polskich grotów, szumią kity polskich szyszaków, połyskują szable w polskich dłoniach, ogniem zieją nozdrza do boju chciwie lecących koni polskich, i jak wicher, jak nawałnica, wpadli na wroga i konie i jeźdźcy, a od piorunowego ich uderzenia od razu kruszy i obala się całe lewe skrzydło moskiewskie i już tańcują konie polskie po tułowach nieprzyjacielskich.

Wtem nadciągnęła i piechota z dwoma działami i wypłoszyła Niemców na prawem skrzydle, co z pod ukrycia płotów strzelali do Polaków, którzy ich tam z konia dosięgnąć nie mogli, a Niemcy i Moskale wraz co tchu uciekać poczęli do poblizkiego lasu.

Ale jazda francuzka i angielska jeszcze opór stawia Polakom, będąc równie w długie kopie zbrojna. Wnet skinął hetman na swych usarzy i na kozaków Piaskowskiego, na dół wraz zaszumiały dzidy. Sława Bogu! Sława Bogu! i jak chmury, gromy ciskające uderzyli polscy wojownicy na żołdactwo cudzoziemskie.

Czy słyszycie ten twardy łoskot uderzającej stali? To polskie szable i kopje hulają po głowach wrażych, to gody, to huczne zapusty oręża polskiego. Hulaj, hulaj orężu polski! bo to wróg podły jak gad co się kryje przed zbrojną stopą a syczącem żądłem godzi tylko w nogę

*) Podanie ludowe.

bezbronną, to wróg nikczemny, co nie ma Boga ni narodu, bo jego Bogiem jest żer obfity, a jego narodem to gromada, co wraz z nim za żerem chodzi po ziemi Bożej, hulaj oręźu polski, bo to podłe żołdaki bez mózgu i bez serca. podlejsze od bydląt, bo się same na rzeź sprzedały, to plugawe wyrzutki wszystkich ludów tej ziemi, obrzydłe siepaki obrzydłych tyranów.

I hulał polski oręż, póki tylko wroga stało na polu Kluszyńskiem. Gdzież jesteś Jakóbie Pontus? Gdzież szuba sobola, którąś przyrzekł hetmanowi polskiemu? Cóż to jest? I własną szubę cisnąłeś i broń rzuciłeś, i pędzisz lasami jak opętany! Gdzież ty jesteś kniaziu Szujski, wielowładny carze? I koronę carską zapomniałeś w Moskwie, i kolasy carskie porzuciłeś w obozie, i na lichej szkapie, bez obuwia*) pędzisz przez chaszcze, bagna i bory, jak gdyby ci na karku siedziały wszystkie mary piekieł? Już cię ni okiem dojrzeć, ni uchem dosłyszeć, a ty pędzisz i pędzisz, zimnym potem śmiertelnej trwogi zlany?

Nie dziwcie się, bo mu jeszcze nad uszami warczą chorągiewki polskich grotów, nie dziwcie się, bo mu jeszcze dusza drży od piorunów polskiego uderzenia. Gdzież tedy owe nieprzejrzane tłumy moskiewskie? Gdzie Szkoty, Szwedy, Niemcy, Angliki i Francuzi? Wszystkich zmiotło ramię polskie, jak wicher stepowy, a od strasznych gromów orła białego jedni skryli się w nory i bagna, a drudzy trupem legli na polu Kluszyńskiem.

A na polu Kluszyńskiem, na czerwonym proporcu Polski szeroko roztoczył swe skrzydła orzeł biały, śnieżny rumak hetmański dumnem w koło spogląda okiem i dumnemi ruchy niesie wielkiego wodza Polski do stolicy carów, która go kornemi przyjmuje pokłonami, a orzeł hetmański zakrakał okrzykiem tryumfu i strzelił w górę. by braciom orłom w obłokach, zanieść wiadomość o wielkim orle hetmanie na ziemi. S.

---

*) Historyczne.

†

Nekrologia.

W Lubczynie w powiecie kempińskim w Poznańskiem, umarł śp. **Teodor Dembiński**, obywatel bardzo wybitny, czynny, znakomity gospodarz i gorący Polak. Mieszkając niedaleko granicy Ślązka, rozwijał bardzo pożyteczną działalność około podniesienia i oświecenia śląskich włościan przez zakładanie Kółek włościańskich, któremi szczerze opiekował się aż do śmierci. Urodził się 18 lipca 1834 roku w Jaktorowie z ojca Teodora, landrata wągrowieckiego, jednego z ostatnich landratów Polaków w Księstwie i matki Teresy z Lipskich. Odbywszy szkoły w Wągrówcu i Poznaniu, wstąpił do wojska do artyleryi. Zostawszy oficerem, porzucił wojskowość i poświęcił się gospodarstwu. Wstąpił do słynnej wówczas praktycznej szkoły agronomicznej jenerała Dezyderego Chłapowskiego w Turwi, który poznawszy w nim wybitne zdolności, mianował go swoim jeneralnym rządcą. Jako taki poślubił w r. 1862 p. Albertynę z Braunków. W r. 1865 wziął w dzierżawę Wierzenicę pod Poznaniem od hr. A. Cieszkowskiego, z którym łączyła go zażyła przyjaźń, a który wysoce cenił jego zalety i wiadomości Tutaj ś. p. D. prowadził dalej dzieło Chłapowskiego, kształcąc u siebie rolników, zarówno synów możnych rodzin, jako też zwyczajnych urzędników i włodarzy. Wychował ich też w ciągu swego życia całą generacyą, bo blisko 90 dzielnych gospodarzy. Zajmował się też gorliwie i szczerze Towarzystwami. Cześć jego pamięci!

Wiadomości.

Stan zdrowia Najprzew. X. Arcybiskupa, dzięki Bogu, stale się polepsza. Zaniepokojenie sobotnie w mieście powstało ztąd, że Arcypasterz, czując się w tym dniu słabszym przyjął Sakramenta św. i przez Przew. X. Prałata Dr. Wanjurę został namaszczony Olejem św.

„Posener Tageblatt“ wspominając o bardzo smutnej, a na szczęście nieprawdziwej pogłosce, dotyczącej Najprzew. X. Arcybiskupa, którą szerzono w sobotę po mieście, dodaje: „Miejmy nadzieję, że jeszcze bardzo długo żyć będzie — wedle dawnego wierzenia ludowego, odnoszącego się do tych osób, o których mylnie opowiadają, jakoby umarły“.

Kilka procesów od razu zamierza, jak się zdaje, wytoczyć naszemu pismu tutejsza królewska prokuratorya.

Proces o artykuł p. tyt. „Lojalni i wierni poddani“ zamieszczony w nr. 14 „Pracy“ już wytoczony i oskarże-

nie redaktorowi naszemu już doręczono.

Prócz tego trwają dalsze przesłuchy już nie tylko wydawcy i redaktorów, ale nawet naszych pomocników administracyjnych. O co właściwie chodzi, sami dotąd nie wiemy. Że się zanosi na jakąś ważniejszą akcyą wynika ztąd, iż wszystkich w Redakcyi i Administracyi zatrudnionych ściśle wypytywano o ich stan majątkowy i t. p. Nawet do prywatnego mieszkania administratora naszego pisma, pana Szmytkowskiego, przybył wcale niespodziewanie policyant i to w samo południe żądając energicznie natychmiastowego wydania wszystkich papierów osobistych, a mianowicie wojskowych pod groźbą natychmiastowego zabrania administratora ze sobą, gdyby tenże swych papierów nie wydał. Policyant aczkolwiek przyjęty przez naszego administratora już w pierwszym pokoju i pomimo oświadczenia gotowości wydania papierów — bez ceremonii, oczywiście bez zdjęcia chełmu z głowy — pofatygował się wcale nieproszony nawet i do drugiego pokoju rozglądując się na wszystkie strony. To „energiczne“ wystąpienie policyanta wprawdzie zadziwiło, lecz nieprzeraziło naszego administratora, ale wycisnęło rzewne łzy u przelęknionej żony i drobnych dzieci.

To też Szanowną Dyrekcyą policyi zapytujemy niniejszem, czy policyant oprócz zażądania papierów pod groźbą natychmiastowego zabrania administratora ze sobą miał też polecenie lustrowania dalszych pokoji prywatnych?

Głośny krakowski socyalista Daszyński, redaktor socyalistycznego pisemka „*Naprzód,*“ napadł na pismo nasze w sposób iście godny wichrzyciela. Panu Daszyńskiemu niepodobają się nasze artykuły owiane duchem szczerze patryotycznym, niepodobają się p. Daszyńskiemu zamieszczane w „Pracy“ podobizny Ojca św. i innych władców. Irytuje też socyalistę liczny zastęp wiernych czytelników naszych, których oczywiście chętniejby widział skupionych około swego socyalistycznego sztandaru, lecz nie dla „psa kiełbasa“. Inteligencya i zdrowy lud nasz nie pójdą w socyalistyczny dym i pod tym względem daremny twój trud, panie Daszyński. Krytyka z tej strony nie przyniesie nam ujmy, lecz przeciwnie, policzkiem byłaby dla nas każda pochwała z ust socyalisty. To też prosimy p. Daszyńskiego o dalszą krytykę, atoli w przyszłości pozostawimy ją bez odpowiedzi.

Wiec kobiet wielkopolskich. Od Komitetu wieca tego odbieramy pismo następujące: Wiec, który odbył się 24 maja b. r., odzywał się do patryotyzmu waszego, matki Polki, zagrzewając was do kształcenia dzieci w czystym języku i zarazem wyświecił prawa nasze, usprawiedliwione wobec rządu.

Żądania nasze skreśliłyśmy w petycyi do sejmu, którą wszystkim Polkom do podpisu przedkładamy. Mamy nadzieję, że żadna Polka nie zaniedba obowiązku i przyłączy się do petycyi.

Odnośne arkusze do podpisów wyłożone są: w Domu katolickim św. Marcin 69, w Biórze pomocy ul. Wiedeńska 10, u p. Ignatowicza ul. Wrocławska 4, u p. Mroczkiewicza Stary Rynek. Komitet.

Na fundusz jubileuszowy H. Sienkiewicza nadesłał p. Wierzbowski z Charbowa 1,50 mk. (w znaczkach pocztowych). Dalsze datki na ten cel przyjmujemy chętnie.

Swięcenia dyakonatu odebrali w niedzielę, dnia 20-go z. m. z rąk Najprzewielebniejszego ks. Biskupa Andrzejewicza w kaplicy królewskiej w Poznaniu następujący subdyakoni: ks. Błażejewski Teodor, ks. Hemerling Bronisław, ks. Jurek Hipolit, ks. Dratwa Jan, ks. Grühn Wojciech, ks. Klemt Walenty, ks. Krenz Antoni, ks. Mann Włodzimirz, ks. Małecki Józef, ks. Matuszewski Marceli, ks. Reiter Wojciech, ks. Steinmetz Paweł.

Kolonie wakacyjne. W mieście naszem odbyło się dnia 19-go z. m. wieczorem walne zebranie wydziału „kolonii wakacyjnych“ Towarzystwa „Stella“. Myśl do tej instytucyi, która dzieci poznańskie podczas wakacyi wysełą na wieś, powziął były nauczyciel poznański p. Kużaj, a wprowadził ją w czyn ś. p. Dobrowolski, naczelny redaktor „Dzien. Pozn.“ póżniej zajęło się tem Tow. „Stella“. Według sprawozdania kasowego było w roku zeszłym dochodu 26 050 mk., wydatków 28 000 mk. Towarzystwo kupiło w Kobylnicy pod Poznaniem grunta i budynek, w którym część dzieci pomieszcza, reszta wyjeżdża na wieś do rodzin polskich, po dzieci się zgłaszających.

Wystawa robót terminatorów w Poznaniu. Szanownym Panom Majstrom i Pryncypałom z Poznania i prowincyi, których uczniowie zapewnili obesłanie wystawy robót terminatorów, donosimy uprzejmie, że wykończone na ten cel przedmioty odstawiać należy w czasie od 5-go do 8 go czerwca r. b. pod adresem:

„Wystawa robót terminatorów, Poznań, Pałac Działyńskich, Stary Rynek“.

Uroczyste otwarcie wystawy, na które już dzisiaj wszystkich rozwojowi naszego przemysłu zapraszamy, nastąpi w niedzielę 10-go czerwca o 12-tej w południe.

KOMITET.

Wystawy robót terminatorów w Poznaniu.

J. Kużaj, prezes. *J. Zamiara*, sekretarz.

Wystawa rólnicza, urządzona tutaj przez Niemców, zapowiada się świetnie. Na placu wystawowym za bramą Rycerską już wszystkie budynki są przygotowane; wznoszą się wieże rozmaitych pawilonów i z niektórych budynków powiewają chorągwie. Zamówienia okazów na wystawę były tak liczne, że znaczna ich część nie mogła już być przyjętą.

Samo Księztwo Poznańskie wystawi 371 koni, 801 bydła, 826 owiec i 373 świń. Na premie wyznaczyła Izba rólnicza W. Księztwa 25,000 marek, prowincya i miasto Poznań 10,000 mk., niemieckie Towarzystwo rólnicze przeszło 8,000 m.

Na wystawie będą przedstawione motory pędzone nie naftą, ale spirytusem. Wielka restauracya na wystawie będzie wieczorami oświetloną 200 lampami nie za pomocą nafty, ale także spirytusem. Ma to być reklama dla używania spirytusu, żeby nim zastąpić naftę, która staje się coraz droższą.

Zachęcamy rólników naszych do jak najliczniejszego zwiedzenia wystawy. Wystarczy dzień jeden na to, bo przecież nie chodzi koniecznie o to, ażeby niektóre przedmioty gruntownie badać, lecz o to, aby nabrać ogólnego poglądu na obecny rozwój rólnictwa, na narzędzia i maszyny, jakiemi pracuje nasz przemysł, jaki wyrabia sam i jakim się posługuje.

Również rzemieślników, których zawód stoi w pewnym bliższym stosunku z rólnictwem, jak piekarzy, młynarzy, kołodziejów, kowali itd. zachęcamy do najliczniejszego zwiedzenia wystawy.

Wystawa otwartą będzie od dnia 7-go czerwca południa do dnia 12-go czerwca włącznie.

Zwracamy baczną uwagę Szan. Czytelnikom na inserat Księgarni Polskiej (W. Templowicz) w Poznaniu, Hotel Francuski, p. t. „Zarys dziejów Polski porozbiorowej“ w numerze niniejszym zamieszczony.

Wygoda, w Poznańskiem. Mieliśmy tu w naszej Wygodzie piękną uroczystość poświęcenia nowej figury. Pomimo zimnego i słotnego dnia zebrało się dużo ludzi, a nasz czcigodny Ksiądz Proboszcz Konarski nie zważał na wicher i słotę, tylko przybył blizko milę drogi, aby wygłosić słowo Boże i aby nas pokrzepić na duchu.

Pouczył nas, co właściwie oznaczają figury św. i jak je mamy szanować. Na zakończenie zaśpiewaliśmy pieśń „Kto się w opiekę“. Dopiero pare miesięcy jest u nas czcigodny Ksiądz Proboszcz między nami, a już parafianie czcimy, kochamy i szanujemy Go jak ojca, bo też nigdy nie odmawia nam, gdy potrzebujemy duchowej opieki. Dlatego składamy Wielebnemu Księdzu Proboszczowi serdeczne podziękowanie za Jego trudy i mozoły.

Wdzięczni parafianie z Wygody.

Jeden za wielu.

Grodzisk, d. 29 maja 1900. Bank Parcelacyjny w Poznaniu na Piekarach 18 po rozparcelowaniu gospodarstwa Walentego Banacha w Grąblewie nabył tamże ładny szmat ziemi od p. Gottlieba Nitschke'go. Będą to piękne parcele pod budowle dla małych osadników albo robotników, bo tylko $1\frac{1}{2}$ kilometra od miasta i tuż przy przystanku kolejowym ku Opalenicy. Jesteśmy Bankowi bardzo wdzięczni za to, bo niejedna siła robocza zostanie na miejscu mając sposobność nabycia gruntu na 30 letnią upłatę z małą zaliczką.

Mogilno. Posiadłość w Kwieciszewie, dawniej Karowa, sprzedał p. Józef Stark p. Kawieckiemu z Mielżyna za 9000 mk. W Chabsku pod Mogilnem, jak było ogłoszone, nastąpiła sprzedaż gospodarstwa p. Smyka dnia 28 maja przez p. Starka.

Pruski Starogard. (Prusy Zachodnie) 22 maja. Korespondencya zamieszczona z Pruskiego Starogardu w numerze 20 ym „Pracy“ z r. b. na stronie 505-ej, omawiająca założenie interesu bławatnego (łokciowego) mija się z prawdą. Autor korespondencyi twierdzi, że w Pruskim Starogardzie istnieje tylko jeden taki interes katolicki, bez wybitnego charakteru polskiego w tej branży. Właścicielem tego rzekomego interesu jestem niżej podpisany, więc proszę o zamieszczenie następującego sprostowania:

1) Nieprawdą jest, że w Pruskim Starogardzie istnieje tylko jeden interes katolicki w branży bławatnej (łokciowej); 2) Nieprawdą jest, że ten istniejący tutaj tylko jeden interes katolicki w tej branży nie ma wyraźnego

charakteru polskiego; 3) Mylnem jest twierdzenie (domniemanie) autora, że tylko czysto polski interes bławatny ma tutaj najlepsze szanse istnienia; 4) Nieprawdą jest, że interes w branży bławatnej będący tutaj do nabycia lub też do wydzierżawienia może być przejęty za bardzo przystępną cenę i że jest tak korzystnie położony, jak opisuje autor.

J. Przędziński, kupiec.

Innych punktów nadesłanego nam sprostowania nie zamieszczamy, gdyż te potwierdzają, a nie prostują podane w korespondencyi fakta. — Przyp. Red. „Pracy.“

Nowe Miasto. (Prusy Zachodnie). Rodak nasz, p. Zelma z Nowego Miasta nabył drogą kupna większe gospodarstwo od Niemca Straussa z Omula, które tylko pomiędzy Polaków rozparcelować zamierza. W krótkim czasie już drugie gospodarstwo wykupił od Niemca.

Dysseldorf, dnia 25 go maja 1900. Towarzystwo św. Rocha w Dysseldorfie obchodzi w niedzielę, dnia 10 go czerwca 1900 r. na sali św. Pawła ul. Elżbiety (Luisenstr.) 11-letnią rocznicę swego istnienia za pomocą Pana Boga na obczyźnie. Program jest bardzo urozmaicony. Odegranym będzie: *Akademik czyli Ofiara za Ojczyznę,* obrazek ludodowy z muzyką i śpiewami. Deklamacye: „Bratu“, deklamowane przez p. Wałkowskiego. „Zjawisko z Kroż“, deklamowane przez p. Perdziaka i „Do Polki“ deklamowane przez p. F. Matylewicza. Żywe Obrazy: „Przysięga Kościuszki“ i „Pożegnanie Ojczyzny“ (wzięte z „Pracy“) z deklamacyą przez pana Perdziaka.

Oby się uroczystość ta przychyliła do powiększenia Towarzystwa św. Rocha! Na uroczystość szanownych Rodaków jaknajuprzejmiej zaprasza Zarząd.

Od Redakcyi.

Panu Józefowi Mał. z Inowrocławia. Księgarnia polska Tempłowicza w Poznaniu, hotel Francuzki.

Panu Janowi T. w Rauxel. T. Łaganowski, Poznań, Chwaliszewo 2.

W. S. G. Księgarnia Cybulskiego w Poznaniu.

Panu Apol. Stok.. we Lwowie, Najserdeczniej dziękujemy za zwerbowanie nam abonentów i za przesłanie życzenia „aby liczba prenumeratorów rosła, a liczba sprzedawczyków spadła do zera!“

Kółko śpiewackie „Lutnia“ we Wrześni Notatki nie mogliśmy zamieścić, gdyż doszła nas za późno, już po wydrukowaniu numeru 22-go na dzień 27-go maja.

Panu Józefowi Wronie w Tuchowie (Galicya). Kartę Pana posłaliśmy do Berlina owemu rodakowi, który masło zakupuje.

Panu Michałowi Kabajowi w Głobikówce (Galicya). Prenumeratę na „Czytelnię Polską“ przyjąć musi każda poczta w Galicyi.

K. G. W. „Jeszcze się ten nie urodził, ktoby wszystkim dogodził“ — mówi słusznie przysłowie. W wiadomej sprawie liczyć się musieliśmy z większością Czytelników, która żądała więcej powieści itd. a nie życzyła sobie, aby ją nudzić suchemi paragrafami prawnemi. Zresztą czego Pan jeszcze żąda od nas? Chyba szybkę z okna. Co do owego portretu noworocznego to był tylko żart humorysty „Pracy“. który z pewnością zrozumiał każdy z naszych Czytelników bardzo dobrze.

Panu Wojciechowi B. w Szamotułach. „Herb polski“ w kolorach zamieścimy na wielokrotne życzenia nowych Czytelników jeszcze raz na początku lipca r. b.

Panu Józefowi Ch. w E. (Saksonia), — Dobrze Pan robisz, że sobie nie pozwolisz niemiaszkom pluć w kaszę, daj nam Boże jak najwięcej takich wiarusów!

Pan F. K. w Krobi. — Załatwiliśmy listownie.

Panu Ant. Rak. w L. (Górny Ślązk). — Księgarnia polska Tempłowicza w Poznaniu (hotel Francuzki).

Panu I. Z. w Wejherowie. — Księgarnia Cybulskiego w Poznaniu.

Tow. kat. mężów i młodzieńców w Załężu (Górny Ślązk). — Za przysłane *„Pracy“* i *„Czytelni Polskiej“* najszczersze pozdrowienie i „Szczęść Boże“ dalszym działaniom tych zacnych naszych pism — najserdeczniej dziękujemy.

Panu W. P. — „Bractwo kwestarskie“ w Poznaniu, Wielkie Garbary.

M. K. R. 77 Sz. — U nas w Poznaniu i w W. Ks. Poznańskiem tak; ale może jest inny przepis dla Prus Zachodnich? Najlepiej poinformuj się Pan u biegłego prawnika.

Logogryf*)

(ułożyła Murya Kwiatkowska z Strzelisk w Galicyi.)

Sylaby:

a, ce, ci, ci, dje, dje, e, e, gas, gor, gram, fez, i, in, ir, kan, kuck le, nem, ni, ri, rod, suc, wa, za, zmo.

Znaczenie wyrazów:

1) sławny głomodor, 2) miasto na Syberyi, 3) miasto w star. Grecyi, 4) sławny w star. myśliwy, 5) wyspa, 6) kniaź ruski, 7) szkoła filoz. grecka, 8) miejscowość słynna z bitwy, 9) kraj w Azyi, 10) nuncjusz pap. w Polsce, 11) pseudonym słynnej autorki polskiej.

Początkowe litery czytane z góry na dół tworzą nazwisko najsłynniejszego żyjącego literata polskiego, końcowe litery czytane z dołu do góry, tworzą nazwisko najsłynniejszego żyjącego malarza polskiego.

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę tj. książkę wartościową. Los rozstrzygnie komu nagroda przyznaną będzie. Rozwiązania przyjmujemy do 12-go czerwca włącznie. Dla oszczędzenia portoryum prosimy nadsyłać rozwiązania na kartach pocztowych.

Rozwiązanie Logogryfu z nr. 16-go „Pracy“ podamy w następnym numerze.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Ażeby uniknąć pomyłki, nadmieniam, iż w Krotoszynie prócz mnie niema więcej polskich fachowych zegarmistrzów.

B. Sadowski

jedyny polski fachowy zegarmistrz

w Krotoszynie (Krotoschin).



Rodacy!

Kto pragnie nabyć prawdziwie dobry zegarek, zegar i t. p. i przytem dużo pieniędzy zaoszczędzić, ten powinien z całem zaufaniem udać się do mnie, a ręczę, że kto raz odemnie zegarek kupi, ten z zadowoleniem zawsze i wszędzie mnie polecać będzie. Już od 8 mk. począwszy zegarki srebrne ze złotym brzegiem na 6 kamieni, zegarki srebrne z wizerunkiem Matki Bozkiej (jak rycina) już od 10 mk., zegarki damskie szczero-złote już od 16 mk. począwszy. 269

Bliższe szczegóły w cenniku, który darmo i franko wysyłam.

Z powodu śmierci właściciela nadarza się z rąk niemieckich nadzwyczaj korzystne kupno pięknej

wsi

szlacheckiej, w sercu Kujaw położonej, **tuż przy miasteczku, z dworcem i z szosą w miejscu.** Obszaru 1000 mórg incl. 150 mórg znakomitych łąk, **ziemia od skiby do skiby buraczana I kl.,** śliczne urodzaje zapowiadają obfity sprzęt, doskonałe budynki, piękny inwentarz, **dwór wielkopański o 10 ciu pokojach w obszernym parku,** hipoteka uregulowana. Cena już ostateczna 250,000 mk. przy zaliczce 60 tysięcy marek. **Grundsteuerreinertrag przeszło 4 tysiące marek.** Jestto czyste okazyjne kupno i pospiech pożądany. Majątek bezpośrednio graniczący sprzedano w zeszłym roku po 450 marek za morgę, a ziemia ta sama.

Bliższych informacyi udzielą

Drwęski & Langner,
Centralna Agentura Dóbr w Poznaniu.

Patenty na wynalazki

wyrabia i sprzedaje we wszystkich krajach
Międzynarodowe biuro patentowe techniczne
J. Brandt & G. W. Nawrocki w Berlinie W.
Fryderykowska 78.
(Właśc. firmy: A. Mühle i W. Ziołecki.)

Zielona Apteka
Edmunda Dzierzgowskiego
Poznań, ul. Wrocławska 31.

urządzona podług najnowszych wymagań, poleca **wszelkie środki zagraniczne i krajowe** oraz **artykuły chirurgiczne i gumowe** po cenach konkurencyjnych. Wysyłki franko odwrotnie; w miejscu w dom. 874

Fabryka wody selterskiej i limonad musujących.
$1^1/_2$ minuty od placu Piotra.

Przez noc delikatną, olśniewająca biała płeć, bez piegów, węgrów, przy stałem używaniu **Kuhna Cremu Vional**, Mr. 1,30 i **mydła Vional** 50 i 80 fen. Prawdziwe tylko u Fr. Kuhna, skład perfumów pod koroną, Norymbergia. Tutaj: M. Levy'ego drogerya, plac Piotra 2 i R. Wolff'a, drogerya, pl. Wilhelmowski 3. 1060

Ból zębów spróchniałych

usuwa natychmiast na pewno **„Kropp'a wata do zębów** (20$^0/_0$ waty Carvacrol) za flaszkę 50 fen. tylko prawdziwa w Centralnej drogeryi B. Śniegockiego i u Pawła Wolffa, plac Wilhelmowski 3.

Dla Narzeczonych!!

Bardzo wiele pieniędzy

zaoszczędza każdy, kto — kupując ślubne pierścionki, zegarek, lub biżuteryą żąda mego katalogu. 297

J. Strzelecki, Mogilno, (filia w Inowrocławiu).

Tapety

w najnowszych pięknych deseniach poleca od najpojedyncz. do najwykwintniejszych tapet salonowych 190

Elbląski interes wysyłkowy tapet
C. Quintern, Elbląg (Elbing).

M. Kaniasty

Poznań, ul. Wrocławska 18, I p.

Przyjmuje od godz. 9—6.
Wprawia zęby sztuczne na płytkach i bez płytek.
Zęby na sztyfcikach, sztuczne korony itd 311

Specyalność: **Plomby złote, amalgamatowe i cementowe** (białe) — najlepszy środek utrzymania zębów własnych.

Ceny możliwie nizkie.

Praktykuje od roku 1890.

Kołdry
(Steppdecken)

w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko ***w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder***

R. Bild'a

a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. 43

R. Bild'a
pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**
Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.

Pożyczki na hipoteki

na grunta wiejskie i miejskie natychmiast i później. Warunki jak najkorzystniejsze. Prospekt do dyspozycyi.

Allgemeine 90
Verkehrs-Anstalt,
Berlin S. W. 12,
Zimmerstrasse Nr. 87.

Smyrneńskie
wyroby ręczne
i 1025
dywany smyrneńskie

cenniki darmo i franko.
Fabryka wełny
Wilh. Lau, Arnswalde.

W zamian daję przędzę smyrneńską za wełnę owczą.

Poszukujący posad: zaraz od 1. 7. lub później

Urzędnicy gosp. i leśni, gorzelnicy i Oficyaliści dworscy

wszystkich stopni płci obojga.

Organiści.

Personał kupiecki.

zechcą się zgłaszać do biora zleceń 339

S. Tuczyński,
Poznań, ul. Rycerska 10.



Edmund Paulus
Markneukirchen Nr. 206.

Rzetelne źródło zakupna wszystkich instrumentów dętych i smyczkowych harmonik ustnych i ręcznych tylko w dobrym wykonaniu i po cenach najtańszych pod gwarancyą.
Cenniki franko. 33-

Sprzedaż

domu

w powiatowem mieście, w którem się znajduje handel, piekarnia i piękne pomieszkania jest z korzystnemi warunkami zaraz do sprzedania. Wpłaty potrzeba 6 do 10 tysięcy marek, reszta pozostaje na hipotece po $4^1/_2{}^0/_0$.

Zgłoszenia do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **S. nr. 296.**

Z powodu podeszłego wieku właścicielki i wyprowadzenia się jest do sprzedania

masiw kamienica

na prowincyi, niedaleko od Poznania, o jednym piętrze. 10 wielkich pokoji z przynależnościami, obszernym ogrodem i parkiem. Posiadłość ta, położona przy ulicy kolejowej w mieście, gdzie sąd, gimnazyum i t. d. nadaje się **na fabrykę cygar i t. p.**, gdyż oprócz domu mieszk. są jeszcze wielkie zabudowania osobne o jednym piętrze, stosowne na fabrykę jakąkolwiek. Cena kupna 21,000 mk. Bliższych wiadomości udzieli 340

Fr. Niedzielski,
Poznań, Piekary nr. 6.

Do sprzedania nowy **gościniec** masiw z rolą 20 mg. pszennej i żytniej, budynki masiw, utrzymanie pewne i dobre. Bliższ. wiad. udzieli **Fr. Niedzielski**, Poznań, Piekary 6. 341

Córka uczciwych rodziców, władająca językiem polskim i niemieckim, może się zaraz lub od 1 lipca zgłosić jako

uczennica

do handlu towarów krótkich, galanteryjnych, bielizny, materyałów piśmiennych i t. d.

Max. H. Molla
w Koźminie.



Greif 31 a = ca. 11 Kg. Schneidigster Halbrenner am Markt. 107
Greif 36, Hocheleg. Damen-Luxusrad.
Greif 23, besonders stabiles Tourenrad.

Bernh: Stoewer, A.G.

Stettin, ca. 1600 Arbeiter.

Stoewer's Nähmaschinen

wetteifern in Vorzüglichkeit der Construction mit

Stoewer's Greif-Fahrrädern.

Vertreten auf der Pariser Weltausstellung.

Vertreter: Alfred Kirschner.

UCZNIA

z odpowiedniem wykształceniem szkólnem przyjmie zaraz 308

M. Jankowski,
Drogerya w Grodzisku.

Poszukuje się od 15. czerwca młodej, pracowitej, dobrze wychowanej

Panienki

z przyzwoitej rodziny, któraby się chciała bezpłatnie wyuczyć gotowania, prania, prasowania, porządków domowych, wogóle gospodarstwa miejskiego. 333

Zgłoszenia uprasza się nadesłać pod **„Panienka“ 100** postrestante ***Gnesen.***

---

2 uczni

z dobrem wychowaniem przyjmie zaraz 323

W. Liskowiak
w Wrześni,
malarz dekoracyjny.